









RÓŻA.

# STUDIUM MAŁŻEŃSKIE

przez

WALERYĄ MARRENĘ.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat 72  
00-260 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

Nakładem Tygodnika Wielkopolskiego

Drukarnia J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.

1872.



2165

<http://rcin.org.pl>

Pan Henryk Wieliński oświadczył się pannie Róży.

Taka wieść rozeszła się nagle na balu u prezesa B. w Tulniku. Wieść ta nie nudała w sobie nic nadzwyczajnego. Pan Henryk i panna Róża były to dwie najświetniejsze partye w okolicy; więc w ogóle uważano za bardzo sprawiedliwe, by one właśnie połączyły się wieczystym węzłem, mnie zaś mniej niż każdego innego wieść ta powinna była zadziwić, — znałem Henryka od dziecka, był kiedyś moim uczniem, dziś pozostał przyjacielem, chociaż, nie powiem wcale, by mi się to wychowanie udało.

Nadto wiele wpływów krzyżowało się w koło bogatego jedynaka, by surowe słowa nauki i prawdy znalazły przystęp do jego ucha; psuli go rodzice, położenie, majątek i cały świat otaczający zgubnym przykładem swoim. Daremnie mówiłem mu o wzniosłych rozkoszach wiedzy, o tym spokoju, jaki dać może tylko praca i sumiennie spełniony obowiązek, o wystarczaniu sobie i poleganiu na własnej sile — to wszystko zdobyć nie mogło przekonania dziecka, przywykłego od pieluch do miękkości, próżniactwa, pochlebstwa i do tego, by kaprys jego był prawem dla wszystkich. — Gdzie tylko spojrział w około, wszędzie znajdował zaprzeczenie nauk moich, zaczawszy od rodziców, którzy mieli dla każdej pracy tę nieokreśloną pogardę ludzi, niezdolnych do niej, niepojmujących, by mieli inny cel życia jak bawić się, stroić i używać, a skończywszy na służbie, która nic nie robiąc skarżyła się nieustannie

na nawet zatrudnień, wszyscy jeśli nie słowem to czynem, przeczyli: zwycięzko zasadam, które daremnie siłilem się wpoić w ucznia mego.

Przecież natura jego złą nie była; jeśli nie słuchał rad moich, potrafił ocenić ich szczerłość, zachował mi ufność i miłość swoją. Ja pomimo wszystkiego przywiązałem się do niego serdecznie; były w nim zarody szlachetne i uczciwe, które życie przyćmiło wprawdzie, ale stłumić zupełnie nie mogło. Bezdziectny i samotny pokochałem go całą miłością gorącego serca, tak dalece, że osiadłem w jego majątku.

Przez długie lata nauczycielskiej pracy, zaoszczędziłem niewielki kapitał, który aż nadto wystarczał skromnym potrzebom moim, mogłem więc zachować moją niepodległość i oddać się spokojniejszym zajęciom rolnego gospodarstwa. W tym celu wziąłem od mego dawnego ucznia mały folwarczek w dzierzawę, a czyniłem to tem skwapliwiej, że Henryk odziedziczywszy po rodzicach obszerny majątek, potrzebował nieraz rady i czynnej pomocy mojej. Z usposobieniem jego czyż on mógł zająć się czemkolwiek pilnie i z pożytkiem? podróże i wesołe życie pochłonęłyby dawno mienie jego, gdybym ja nie czuwał nad niem zastępując go o ile to było w mocy mojej. Wieleż razy wpadłszy w kłopoty z powodu nieogłędnych wydatków, Henryk obiecywał poprawę i znów skoro, mógł tylko, powracał do dawnych nałogów. Przecież pomimo to wszystko, dzięki może usilności mojej, majątek jego był dotąd w dobrym stanie tak dalece, że mój dawny uczeń uchodził słusznie za najlepszą partyę w okolicy. Miał lat niespełna trzydzieści, powierzchowność jego nie zadowolniłaby może zbyt wybrednego oka, przecież był on co się zowie pięknym chłopcem, wysoki, silny, biały, rumiany, z jasnemi niebieskiemi oczyma, które patrzyły na świat wesoło, swobodnie, z pogodnem czołem bez bruzdy żadnej, bez śladu troski lub głębiej dojmującej myśli. Wykształcenie jego, sposób myślenia, gusta i obyczaje równały się zupełnie z powszechnym poziomem a jeśli tam były uczucia i pojęcia szlachetniejsze, niż się to w ogóle zdarza, uczucia te i po-



jęcia leżały gdzieś daleko na dnie ducha, ukryte przed okiem świata, a może jemu samemu nieznane. Takim był Henryk Wieluński. Nie dziw więc że ku niemu zwrócone były oczy wszystkich, i że wieść o oświadczeniu się jego, lotem błyskawicy obiegła całe zgromadzenie.

Usłyszawszy ją udałem się do głównego salonu. Mój dawny uczeń siedział obok panny Róży. O zamiarach jego wiedziałem od dawna chociaż nie pochwalałem ich w zupełności, teraz jednak z nowym uczuciem spojrzałem na kobietę, która miała stać się żoną mego przybranego syna.

Panna Róża skończyła rok dziewiętnasty i była dobrze wychowaną panną w całym światowym znaczeniu tego słowa. — Miała kilkakroć sto tysięcy posagu i odebrała do tego posagu stosowną edukację, grała na fortepianie przyzwoicie, śpiewała nie zbyt fałszywie, mówiła po francuzku i po angielsku czystym akcentem, ubierała się u pierwszej warszawskiej modniarki, wedle angielskiego zwyczaju jeździła konno, ale na tem się kończyło naśladowanie angielskich wzorów, bo panna Róża pilnie strzeżona przez poświęconą matkę, nie miała najmniejszej skłonności do żadnej emancypacji. Panna Róża nigdy na krok od domu nie oddalała się sama, nigdy nie rozmawiała sam na sam z żadnym mężczyzną, bywała tylko w wyborowych towarzystwach, a jedynym jej czytaniem był *Journal des demoiselles*, *Musée de famille*, *Kronika rodzinna* i t. p. była doskonale wychowaną czyli trzymaną w systematycznej niewiedomości wszystkich realnych warunków bytu, nie miała najmniejszego pojęcia o obowiązkach, jakie ją czekały i była pozbawioną najzupełniej samodzielności i inicjatywy niezbędnej w życiu.

Panna jednak, zapewne poznawszy dawnego nauczyciela Henryka, przystanęła i zwróciła się do mnie, ożywiona tym stereotypowym uśmiechem, z jakim dobrze wychowane panny, powinny zawięzywać konieczną rozmowę, przez grzeczność, z jaką nudną figurą. Wiodocześnie uśmiechając się łaskawie, panna Róża nie czy-

niła tego dla mnie, ale dla człowieka, z którym związany byłem ścisłą przyjaźnią, był to sposób jak inny okazania mu swego współczucia.

Chciałem więc skorzystać z tego dobrego usposobienia.

— Jestem szczęśliwy, wyrzekłem, że traf pozwala mi choć na chwilę zbliżyć się do pani.

Ten frazes zdawkowej grzeczności, nie wymagał odpowiedzi, użyłem go jako wstępu koniecznego do dalszej rozmowy.

— I ja cieszę się bardzo, odparła jednak panna, żem pana tu spotkała.

Mówiąc to podała mi drobną rączkę.

Było to już więcej, niż wymagania konwenansów. Widocznie kochała Henryka, ucieszyłem się, chociaż doprawdy nie miałem czego, powinienem się był zastanowić, że każda dobrze wychowana panna, kocha swego narzeczonego w dzień zaręczyn, szczególnie kiedy ten naręczony jest przystojny, młody, bogaty. Wszakże on przerywa nudną jednostajność jej dziewiczego bytu i otwiera przed nią upragnione podwoje życia, jest koniecznym wstępem do tej najważniejszej uroczystości wyprawy, która zwykle tak zupełnie zaprzęta pannieńskie umysły. Grzeczność jej więc dla mnie była bardzo naturalną, przecież pociągnęła mnie za serce.

— Pani! zawołałem, widzę że jesteś równie dobrą jak piękną.

Na ten pospolity wykrzyknik, Róża spuściła oczy i zarumieniała się według wszystkich reguł. . . .

— To pan jesteś zbyt dobry, szepnęła.

Ten rodzaj rozmowy nie mógł doprowadzić do niczego, chciałem wyjść z niej koniecznie i wydobyć jakie żywe słowo, z tej tak sztucznie wyuczonyj istoty.

— Jesteś pani tak łaskawą, wyrzekłem, że upoważniasz mnie do małej prośby?

Oczy dziewczyny spoczęły na mnie ciekawie.

— Oto siadźmy tutaj, mówiłem dalej, i porozmawiajmy chwilkę.

Na tę niezwykłą propozycyą, uśmiech na ustach Róży przemienił się w lekki grymas, świadczący, że jej

— 7 —  
usposobienie wewnętrzne przestało z nim harmonizować.

— I owszem, odparła z pewnym przymusem, oglądając się niepewna, jakby nie wiedziała, czy nowe stanowisko zdobyte tego wieczora i osobiste położenie moje upoważniało ją do tej rozmowy. Przecież po chwili wahania usiadła na brzegu kanapy, zbierając szerokie fałdy sukni jak ptaszek skrzydła każdej minuty gotów do odlotu, i pochyliła ku mnie głowę, ustrojoną w spadające loki i kamelie, jakby oczekując jakiegoś ważnego zwierzenia.

Spojrzałam więc z trwogą i litością na to biedne niedołężne stworzenie, które, dzięki spaczonym pojęciom podlegało w znaczeniu moralnym rodzajowi skaleczenia, jak nogi u chińskich kobiet, lub głowy dziecinne w jakimś pokoleniu dzikich Indyan, co zamiast być myślącą ludzką istotą, skazaną była na jakieś sztuczne, bezużyteczne życie, ale panna Róża nie zdawała się wcale zasługiwać na litość, była ona w tej chwili promieniającą szczęściem i wesołością, siedziała wprawdzie wyprostowana ze spuszczonej oczyma obok Henryka, przecież jej uśmiechnione usta i zarumienione lica świadczyły o zupełnym zadowoleniu a nawet o pewnym wzruszeniu serca. Ręka, w której trzymała wachlarz, drżała lekko, a pierś podnosiła się szybko. Czyż działo się to za sprawą uczucia, zapytywałam sam siebie i nie mogłam na to znaleźć odpowiedzi.

Czyż ta istota mogła wiedzieć co jest uczucie? — Rysy jej piękne, chociaż nie rozwinięte, na wpół dziecinne, na wpół ukształtowane, nieruchome wiecznym przymusem, były piękne, ale na tej zatartej karcie, nie podobna było nic wyczytać, a przecież, w uśmiechu jej koralowych ust, w przelotnym spojrzeniu czarnych źrenic, było coś świadczącego, że w tej nierozwikłanej istocie drgały jakieś ukryte siły, że zdolną ona była kochać, myśleć, nienawidzić, że może kochała już i myślała po swojemu, wedle urobionych idei i konwencyonalnych zasad, które wpojono jej od dzieciństwa, ale to wszystko musiało pozostać tajemnicą dla wszystkich, nawet dla tego, któremu oddawała się bez namysłu. Bo i cóż namysł zna-

czy dla tych, co nie doszli do świadomości siebie, co znaczy wolna wola dla istoty nie mającej wytkniętego kierunku, nie wiedzącej czego ma chcieć i pragnąć? Spoglądałem więc z rodzajem trwogi na tę młodą piękną kochającą się parę i zamyśliłem się nad niepojętą lekko-myślnością, z jaką ludzie zazwyczaj przystępują do tej najważniejszej sprawy w życiu. Fakt ten uderzał mnie nieraz, ale nigdy tak boleśnie jak w tej chwili, gdy dotykał ukochanego przezemnie człowieka, gdy widziałem, z jaką odwagą brał za żonę, za towarzyszkę życia, kobietę nieznaną jemu, nieznaną jeszcze samemu sobie? i znowu stawiałem pytanie, co z tej kobiety zrobi życie, bo dzisiaj była to tajemnicza larwa, z której mógł zarówno wytworzyć się cudny motyl, jak éma obrzydła. Ale te wszystkie pytania były daremne, — przyszłość dopiero odpowiedzieć mi mogła po niewczasie. Jednakowoż pomimo to, iż mówiłem sobie sto razy, że panna Róża nie jest jeszcze osobą, a zatem i zbadaną być nie może, starałem się w ciągu wieczoru przybliżyć się do niej. Rzecz ta łatwą nie była, bo jak tu przystąpić staremu człowiekowi, nie posiadającemu żadnej światowej dystynkcyi, do świetnej dziewczyny na balu, bez wywołania grymasu, niechęci lub znudzenia na jej twarz uśmiechnoną. Przecież po kolacyi upatrzyłem chwilę, w której przechodziła sama przez boczny salon i zbliżyłem się do niej. Nie tańczono jeszcze, nie zabierałem jej więc drogiego czasu, a Henryk rozmawiał właśnie z jej matką, pora więc była stosowną, ale ja nie bardzo wprawny w szermierkę słów z tym rodzajem motylowatych istot, złożyłem ukłon pannie Róży i nie wiedziałem od czego zacząć.

To wprowadziło mnie w prawdziwy kłopot, chciałem zawiązać z nią swobodną zwyczajną gawędkę, do której ten wstęp uroczysty okazywał się zupełnie nie właściwym. Milczałem nie wiedząc od czego zacząć.

— I coż mi pan masz powiedzieć, spytała ze skrywaną ciekawością.

Patrzyłem z zajęciem na grę jej twarzy, na lśnią-ce pukle czarnych włosów, z których dolatywała mnie

wyszukana woń heliotropu, ale to nie mogło starezyć za odpowiedź.

Ona była prawdziwie podobna do kwiatu którego imie nosiła; piękna i bezmyślna rozkwitała spokojnie.

W tej chwili dały się słyszeć pierwsze dźwięki muzyki zaczynającej wygrywać jakąś skoczną polkę.

Fałdy sukni zatrzepotały jak skrzydełka.

— Pani pilno, wyrzekłem, powrócić do tańca.

Mówiłem to z całą prostotą ducha, uważając za rzecz bardzo naturalną, że młoda dziewczyna lubi zabawę.

Ale panna Roza przybrała wyraz obojętny, wstrząsnęła ukwieconą główką i odparła sznurując usta.

— Wcale nie. — Chociaż ruch jej i oczy mówiły co innego.

— Jakto, pochwyciłem, pani nie lubisz tańczyć?

— O nie, wyrzekła wyraźnie wbrew oczywistości, rzucając ukradkowe spojrzenie na balową salę.

— Więc cóż pani lubisz spytałem zdziwiony.

Na to niedyskretne pytanie, panna spojrzała na mnie wielkimi oczyma, i odpowiedziała długim frazesem, w którym kwiaty, wieś, wiosna, poezya, splatały się w sielankowe obrazy pełne konwencyonalnej niewinności i wdzięku.

Nie pytałem o nic więcej, i pierwszy lepszy pozór posłużył mi do zerwania rozmowy, z której nie mogłem się niczego spodziewać. Ja nie pragnąłem wcale powtarzać z nią po raz setny stereotypowej rozmowy prowadzonej z wszystkimi pannami w podobnym wypadku, ja chciałem pochwycić w niej jakie żywe słowo i niemierzone uczucie. Pod tym względem nie powiodło mi się, może wzięłem się do tego niezręcznie, może atmosfera balu nie sprzyjała szerszym zwierzeniom, dość że nie skorzystawszy nie z chwili przebytej z narzeczoną Henryką, oddaliłem się równie nieświadomy jak byłem dotąd, jej rzeczywistej istoty.

— A tak, oświadczyłem się dzisiaj i naturalnie zostałem przyjętym.

Bal trwał dalej. — Widziałem jak piękna panna przechodziła koleją z rąk do rąk i z coraz nowym tancerzem mknęła po gładkiej posadzce; twarz jej od zmęczenia i gorąca była coraz różowszą, pierś falowała coraz szybciej, ale prócz tych powierzchownych oznak nie dojrzałem nic więcej. Panna Róża pozostała dla mnie nieczytelnym hieroglifem. Czy była nim dla wszystkich? . . . czy Henryk lepiej odemnie znał swoją narzeczoną i wiedział, co się kryje pod konwencyonalną maską narzeczoną obyczajem? czy też zadowolniał się tą maską, biorąc ją w dobrej wierze za prawdę? — były to kwestye, które postanowiłem mu zadać, ale przekonawszy się jak mało chwila obecna sprzyjała poważniejszej rozmowie, pozostawiłem je na później.

Sam jednak nie mogłem się wnieść do ogólnego ruchu i wesołości. coś mnie dręczyło i niepokoilo o przyszłość, na przekór tym, co przyjmowali ją tak nieogłędnie; w obec tych ludzi igrających wyraźnie z życiem, zrodził się w sercu mojem smutek dziwny. Czyż było ono tak małym darem, by rzucać szczęście lub nieszczęście jego na wolę losów? Czyż w piersi ludzkiej nie są złożone pierwiastki tego wszystkiego, co wielkie, piękne i szlachetne? Czyż ludzie nie powinni rozwijać ich zamiast zagłuszać i znaleźć szczęście w dojsciu do wysokich przeznaczeń człowieka?

Myślałem to wszystko, patrząc na wirujące pary, i nie mogłem oczów odwrócić od tej jednej, która zajmowała mnie wyłącznie, a ponieważ panna Róża była dla mnie niezrozumiała, zwróciłem więc całą uwagę na mego dawnego ucznia.

Henryk był wesołym, ożywionym i nadskakującym, jak wypadalo być narzeczonemu bogatej i pięknej panny; ale daremnie śledziłem w rysach jego śladu jakiegoś głębszego uczucia, nie było w oczach jego rozczulenia ni zadumy, jaką miłość piętnuje wybranych swoich, tylko czasami, gdy patrzył na Różę, źrenice zapalały mu się powszednim blaskiem, zapewne dla tego tylko, że on był młody a ona piękna. Ale i to zwyczajne uczucie krwi i nerwów było przelotnem, znikomem, nie

znamionowało pożaru zmysłów, któryby przynajmniej mógł służyć za usprawiedliwienie tego małżeństwa.

Chociaż młody, Henryk nie miał już lat dwudziestu, bawił się, używał dostatków i żył wiele, a to wszystko znamionowało się na jego twarzy pewną obojętnością i odcieniem znudzenia, które nie pozwalało mu na zbytne wrażenia. Henryk był zupełnie panem siebie w obec tej pięknej dziewczyny, której ręki zażądał.

Rano dopiero, gdy promienie wschodzącego słońca wdarły się do salonów gasząc nielubieżnie światła lamp, goście rozjeżdżać się zaczęli. Henryk pożegnał się jeden z ostatnich i zbliżył się do mnie w chwili właśnie, gdy zapinałem ostatni guzik paltota.

— Jedziemy razem, wszak prawda — wyrzekł ze zwykłą swobodą.

Nie miałem nic przeciwko temu: spodziewałem się, że zechce mi coś powiedzieć, zwierzyć się z uczuciami swemi, wsiałem więc do jego koczka i ręce konie uniosły nas z przed ganku na szeroką drogę wysadzoną jarzębiną, wiodącą do majątku Henryka Smogóry.

Był to śliczny ranek październikowy, młoda zieloność obsianych pól perlila się od rosy i połyskiwała tęczowemi blaski, tumany mgły opadały zwolna wlokąc się podartemi szmatami nad ziemią, korale jarzębin błyszczały świętecznie, a żółkniejące liście zdawały się przechowywać słoneczne promienie i rozweselać niemi jesienny krajobraz. W oddali siniały i błękitniały co raz bardziej w mgle ranniej pasma wzgórzy obrosłych czarnemi lasami sosen i jodeł, odkrywając gdzieś gdzie porozrzucane chaty w wąwozach, kościół lub dwór bielejący na tle sadu, powietrze było ciepłe, ciche, tą dziwną ciszą ukojenia i spokoju, jaki cechuje schyłek roku, zarówno jak schyłek pożytecznego życia; żaden wiatr nie wionął, żaden się głos nie ozwał, umilkły wiosenne skowronki i letnie świerszcze — tylko czasami wróbel zaświegotał.

Jechaliśmy czas jakiś, obadwaj w milczeniu; Henryk palił cygaro, a ja spoglądałem z zachwytem na

świat otaczający; piękność jego przejmowała mnie rozkoszą, pierś moja rozszerzała się, wznosiły myśli, czułem się w tej chwili zupełnie szczęśliwym, owem szczęściem bez burz i niepokojów, jakie dać może tylko spokój sumienia i rozwinięte pojęcie.

Spojrzałem na mego dawnego ucznia chcąc podzielić się z nim wrażeniami memi, ale dostrzegłem, że jego oczy zamiast błędzić po otaczającym świecie, utkwione były w dym ulatujący z cygara, i uśmiechnąłem się mimowolnie; zdawało mi się, że musiał, jak każdy zakochany, wysnuwać z własnej myśli stokroć piękniejsze obrazy niż te, które mógł zobaczyć, że dostrzegał postać ukochanej, rysującą się dla niego na tle mgły powietrznej, błękitnego dymu i promieni słońca. Patrzałem więc na niego z radością i rozrzewnieniem, gdy odezwał się niespodziewanie płosząc marzenia moje.

— Wojciechu! co to się stało ogierkowi, że upada na przednią nogę?

Te słowa skierowane do furmana odjęły mi słodkie iluzyc, któremi się kołysałem, przerywając je gwałtownie. Widocznie serce i myśl Henryka nie były wyłącznie Różą zajęte.

Wojciech zaczął tłumaczyć zdarzony wypadek, ale to nie zadowolniło Henryka, który wyskoczył z powozu i zaczął troskliwie opatrywać ową szwankującą nogę z tak wyłącznym zajęciem, jak gdyby nie innego nie zajmowało go pod słońcem.

Wreszcie załatwiwszy tę ważną sprawę, wsiałł na powrót do powozu i jechaliśmy już dalej stępa, przez wzgląd na ogierka. Znowu pomiędzy nami trwało milczenie, znowu oczekiwałem próżno na jakieś zwierzenie, aż wreszcie zacząłem pierwszy.

— Więc żenisz się z panną Różą?

Mój dawny uczeń ziwnął, przeciągnął się nie dbale i odparł mi najspokojniejszym głosem.

Te słowa, ton, jakim wymówione były, przejęły mnie dreszczem trwogi, zdawało mi się, że widzę swobodne dziecko, igrające nad przepaścią; przecież Henryk nie był weale dzieckiem, powinien więc być



mieć równie dobre jak i ja pojęcie życia, ale są ludzie, co z własnej woli, lub siłą okoliczności, pozostają zawsze dziećmi, których chyba zły los i gorzkie doświadczenie na ludzi pasować może.

Spojrzałem na młodego człowieka i spytałem powtórnie mimowolnie prawie.

— Więc na prawdę chcesz się z nią żenić?

Wyrazy te widać uderzyły go naiwnością swoją, bo roześmiał się głośno i odparł.

— A dla czegożbym się oświadczał?

Była to bardzo logiczna odpowiedź, przecież nie zadowolnili mnie weale.

I zastanowiłeś się dobrze nad tem, co czynisz, wyrzekłem?

Henryk wzruszył ramionami.

— Nad czem się tu bardzo zastanawiać, odparł lekko, panna posażna, dobrze wychowana, ładna i przepada za mną.

— Czyż to wystarczy na szczęście życia, pytałem niewzruszony chcąc koniecznie zmusić myśl jego do zapatrzenia się poważniej na tę kwestyę.

Ale usiłowania moje próżnemi były.

— Ach! zawołał, kochany Joachimie, widzę, że swoim zwyczajem bierzesz tę kwestyę z abstrakcyjnego stanowiska, ja się w teoryę twoję wdawać nie myślę, tylko postąpię praktycznie, biorąc za żonę ładną i bogatą dziewczynę, wszakże wszyscy tak robili, robią i robić będą.

Ta zwykła ogólnikowa odpowiedź, to powoływanie się na zwyczaj przyjęty, były to dla mnie rzeczy nie zrozumiałe, gdyż przyznaję to w pokorze ducha, nie mogłem nigdy pojąć, by rzecz jaka przeciwna zdrowemu rozsądkowi, stawała się przez to samo dobrą, pożyteczną lub odpowiadała potrzebom indywidualnym człowieka, że ją tysiące ludzi popełnia. Dla mnie teorya i praktyka były to zawsze dwa wyrazy jednobrzniące, bezwarunkowo odrzucałem z myśli to wszystko, co w czyn wprowadzić się nie dało, to też słowa mego dawnego ucznia dotknęły mnie do żywego, chociaż znałem zwykłe jego zasady.

— Ja, na twojem miejscu Henryku, odparłem, nie troszczyłbym się o to co robią, lub robili inni, ale zapytałbym swego własnego serca i sumienia o potrzebie jego.

Mój dawny uczeń uśmiechnął się znowu z politowaniem właściwem ludziom światowym, dla niefortunnnych myślicieli, co považają się kontrolować ich zwyczaje.

— To też wyrzekł swobodnie, serce moje nie bierze weale udziału w tej sprawie.

— Jakto, spytałem, więc nie kochasz nawet panny Róży?

— Ah! biedny Joachimie, pochwycił, jesteś nieoszacowany z twemi wielkimi frazesami, spojrz w koło siebie w rzeczywiste życie i powiedz, kto się dzisiaj kocha, przekonaj się raz, że miłość, ta choroba mózgowia od bardzo dawna wyszła z mody.

Kto się dziś kocha? to zdanie na wszystkie tony powtarzają ładne panny zaprzędając się bogatym mężom, mężczyźni żeniący się dla zwyczaju, konwenansów, lub co najczęściej dla spłacenia długów i rozsądni niby rodzice, chcący wybić z głowy dzieci niewczesne marzenia. Tak, że stało się ono w końcu rodzajem aksjomatu, przeciw któremu nikt wystąpić się nie odważa; wypowiedziawszy je, społeczność zasypia spokojnie, załatwiwszy się raz z tym burzliwym pierwiastkiem serca, tak niebezpiecznie występującym w życiu. Czy przeto usunięty on jest na prawdę, czy władze skazane na milczenie i milczące długo, nie odezwą się w daniej chwili niespodziewaną katastrofą i skrępowane nie przybiorą potwornej formy? Nad tą kwestyą świat nie zwykł się zastanawiać, a jeśli podejmie ją jaki bystrzejszy badacz, głos ogólny woła: „daj pokój, poco przywołujesz znów do życia tę utrapioną marę, my o niej wiedzieć nie chcemy“. Ale z wolą lub mimo woli społeczeństwa, żywotne kwestye dopominają się bytu, łamiąc faktyczny narzucony spokój, pod którym zagrzebać je chciano.

To wszystko jednak leżało po za granicami pojęcia Henryka, on w zupełnie dobrej wierze powtarzał:

„Kto się dzisiaj kocha!“ — Nie posiadał tego bystrogo poglądu, co pozwala odgadywać uczucia pod maską obojętności, lub myśl głębszą pod salonowym uśmiechem, sądził więc na prawdę, że czynnik sercowy raz na zawsze z życia wymazany został, tak samo jak demonomania . . . i opętania średniowieczne.

— Czy jesteś tego zupełnie pewnym Henryku — spytałem?

Spojrzał mi w oczy z takim zdziwieniem, jak gdybym podawał w wątpliwość pewnik matematyczny.

— No, zapewne, odparł z uśmiechem po chwili namysłu, szczęściem dla nas kochają się jeszcze młode dziewczęta, romansowe piękności, ale my mężczyźni. . .

Wyrzekł to z tem głębokiem przekonaniem o wyższości płci swojej, nie dopuszczajacem żadnej wątpliwości, ani zaprzeczenia; wyraźnie w jego pojęciu miłość była moralnem kalectwem, mogącym się tylko objawić w niższych formach stworzenia, a zatem ród mężski musiał od niego być wolnym.

— Więc Róża ciebie kocha — wyrzekłem tylko.

— Naturalnie, odpowiedział, jakżeby mnie ona kochać nie miała.

I mówiąc to, spojrzał okiem tak pełnem pewnością, iż tego faktu arcyprawdopodobnego zresztą nie mogłem podawać w wątpliwość.

Była w nim jednak, krzycząca choć powszednia bardzo niesprawiedliwość. Czyż ta dziewczyna, oddająca serce swoje człowiekowi, który głośno wyznawał niewiarę w miłość, nie czyniła tego w nadziei, że wzajem jest ukochaną? — działo się tu więc moralne oszustwo, które jakkolwiek tolerowane obyczajem, nie traciło przecież swego ohydneho charakteru dla tego, że nie szło o materyalne fakta, ale o rzeczy stokroć droższe o miłość i wiarę.

Nie mogłem wstrzymać się od wyrażenia tej myśli.

— Ona sądzi zapewne — wyrzekłem — że ty ją kochasz.

Henryk wzruszył ramionami, jak gdyby szereg dziecinnych prawdziwie uwag, które mu czyniłem, uczynił go niecierpliwie.

— Przecież — odparł logicznie — skoro chcę się z nią żenić, nie mogę jej nic innego powiedzieć.

— A jeśli ona ci wierzy?

— Spodziewam się, że wierzy.

— Więc gruntując przyszły wasz stosunek na fałszu, jakże spodziewać się możesz potem zaufania.

Jednak ta perspektywa wcale nie zatrwożyła Henryka; daremnie po mojej stronie była logika, za nim był obyczaj, więc odparł mi znowu sakramentalnym frazesem. —

— Przecież wszyscy tak robią, a ja nie myślę być bocianem i przetwarzać świata, któremu dotąd jest z tem bardzo dobrze i wygodnie.

Dobrze i wygodnie, słowa te łatwo było mu wypowiedzieć, bo nie zastanawiał się nad ich głębszym znaczeniem; zmysły nasze przez porównanie tylko sądzić mogą, ale dla oka, które nigdy nie widziało słońca, mrok może się zdawać pełnym światłem; tak samo i w moralnym świecie kulawe związki, jakie spostrzegamy w koło, mogą reprezentować szczęście.

Ale myśli tych nie sformułowałem wyraźnie, a Henryk też, nie czekając odpowiedzi, mówił dalej ze zwykłą pewnością swoją.

— Ja nie myślę wcale brać małżeństwa au tragique, jak widzę ty je uważasz, — nie myślę zamknąć siebie i żonę w domowym klasztorze, boby nas to oboje na śmierć zanudziło; łączymy się, by nam było lepiej a nie gorzej na świecie.

Tu już nie mogłem wytrzymać i rzekłem.

— Idzie o to tylko, jak się to lepiej ma rozumieć; ja uważałbym, że w stosunku małżeńskim pierwszą podstawą szczęścia jest zjednoczenie serc, myśli i pojęć.

— Ah! jak to pięknie brzmi — zawołał mój dawny uczeń — ale jak to straszliwie nudnym byłoby w praktyce. Mnie zaś, przyznam ci się Joachimie, mało obchodzi myśli i gusta mojej przyszłej żony, byle nie przeszkadzała mi robić tego, co mi się podoba.

— Ależ ty czy wzajem dasz jej podobną wolność?

— Ma się rozumieć, nie chcę, by mnie kto tyrani-

zować, ale też nikogo tyranizować nie myślę — Róża wie o tem dobrze.

Miał on za sobą przynajmniej pozorną słusność, wszakże można stosunki ludzkie na rozmaity sposób urządzić, jednak ten jeden tykający się najdrażliwszych stron człowieka, zdawał mi się zasługiwać na wyjątek.

— Więc, zapytałem, chcąc rzeczy doprowadzić do ostateczności, chcecie pozostawić sobie wzajem wolność nieograniczoną?

— Nieograniczoną! — powtórzył Henryk lekko zgorzszony tem wyrażeniem — to zbyt wiele, wszak wiesz, że wolność ludzka obwarunkowaną jest zawsze pewnemi względami świata przyzwoitości.

— Rozumiem, rozumiem, — więc byle te były zachowane.

Żadne z nas więcęć żądać nie ma prawa.

Wymawiał to z taką swobodą, zdawał się tak przekonany, że w życiu nie stanąć nie może na wspak tym zasadom, że zapytałem samego siebie, czy przypadkiem on nie miał prawdy i nie miał słusności biorąc w ten prosty sposób zawiłe sprawy ludzkie.

— A jednak — zawołałem z widocznem wahaniem — gdyby żona twoja kochać cię przestała?

Alé ta ewentualność nie zdawała się wcale przerażać Henryka.

— Zniósłbym to z rezygnacją — wyrzekł z lekkim uśmiechem, i nie miałbym w tem nawet wielkiej zasługi, bo tak jak ty, mój stary poetyczny przyjacielu, nie przywiązuję wielkiej wagi do tego przelotnego uczucia; zresztą dla czegoż kochałby mnie nie miała? będę dla niej przecież zawsze grzecznym, uprzejmym, nie myślę żałować na stroje, ani bronić jej zabaw, przeciwnie chciałbym jej uprzyjemnić życie — czegoż mogłaby żądać więcęć?

— Są to bardzo chwalebne zamiary — odparłem z kolei z troszką ironji — ale gdyby przypadkiem to wszystko jej nie wystarczyło do szczęścia, — gdyby kochając sama, zażądała wzajemności?

— Róża jest dobrze wychowaną panną — odparł stanowczo, a gdyby miała podobnie dzieciinne zachcian-

ki, to trudno, ja na to nie poradzę i siebie zmienić nie potrafię.

— A gdyby — ciągnąłem dalej ten szereg przypuszczeń — zawiedziona z twojej strony znalazła miłość gdzieindziej, gdyby pokochała?

— O mój Boże, przerwał mi Henryk śmiejąc się serdecznie z tym rodzajem emancypowanego niedowierzania, jakie ma każdy prawie mąż w podobnym wypadku; cóż ci zawiniła biedna Róża, że ją o takie rzeczy posądzasz?

— Ależ ja nie posądzam weale, przypuszczam zaledwie.

Na seryo coś musiało ci się w niej nie podobać, czy uważasz ją za lekkomyślną kokietkę?

— Ja nie znam jej prawie weale, zawołałem przerażony, doniosłością jaką nadawał słowom moim, nie zauważyłem nic, a raczej nabrałem przekonania, że jestto dopiero materiał, z którego los i życie wyrobić może zarówno wzorową kobietę jak bezmyślną wietrznicę.

— Róża jest wzorowo wychowana.

— Byłoby o tém wiele do powiedzenia, jeśli nazywasz wzorowem wychowaniem to, że ona nie ma pojęcia o realnem świecie i nie potrafi sama sobie poradzić w żadnym ważniejszym wypadku życia, to zgadzam się z tobą zupełnie!

Ale Henryk nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w polemikę o tej ważnej kwestyi i powtórzył z przekonaniem.

— Jest wybornie wychowana, skromną i pobożną, a przyznasz sam, że to są najlepsze gwarancje przyszłości.

Nie podzielałem zupełnie tego zdania, nie chcąc jednak zbaczać od głównego przedmiotu rzekłem.

— Dajmy na to, że masz dzisiaj wszelkie możliwe gwarancje, przecież *errare humanum est*, gdyby cię one zawiodły, gdyby żona twoja pokochała innego?

Mówiąc to, patrzyłem mu badawczo w oczy, chcąc dopatrzeć w nich zbawiennęj trwogi, smutku, lub nie-

pokoju przynajmniej, ale na twarzy jego nie zaryso-  
wało się żadne z tych uczuć.

— Ha! cóż chcesz, wyrzekł w końcu z namysłem,  
może masz i słusność, wszystko zdarzyć się może, w  
razie gdyby moja żona miała tak zły gust, by jej się  
inny podobał, to przecież dla tego w leć bym sobie  
nie strzeżił z rozpacz.

— Więc cóżbyś uczynił, zapytałem, sądząc, że  
pod tym spokojem kryją się jakie gorsze jeszcze za-  
mysły.

Tymczasem bardzo niesłusznie posądzałem o to  
Henryka, bo odparł z uśmiechem.

— Niechby się sobie kochała, nie widzę, w czem-  
by mi to tak bardzo przeszkadzać mogło.

Znałem go doskonale, mówił to zupełnie na seryo,  
po namyśle, jako swoje ówczesne uczucie.

— W takim razie wyrzekłem, masz słusność,  
możesz się ożenić na ślepo, nie spotka cię przynaj-  
mniej nie nieprzewidzianego.

Rzeczywiście, zasady jego mogły podobać się lub  
nie podobać, ale nie można mu było zaprzeczyć lo-  
giki i jedności, przecież mimowolnie spoglądałem  
w przyszłość z niepokojem, na pozór wszystko było  
obmyślane, szarmonizowane w pojęciach i zamysłach  
jego, a przecież było w nich coś rażącego, coś potwor-  
nego, nawet ten człowiek mówiący tak spokojnie o ka-  
tastrofach życia, nie będący w stanie nawet uczuć ich  
całej grozy, pomimo pozornego spokoju budził we mnie  
litość prawdziwą, wyraźnie był on dotknięty rodzajem  
moralnego kalectwa, niezdolny pojąć błogości rodzin-  
nego ogniska, i szczęścia wynikłego ze zjednoczenia  
dwóch serc nierozdzielnym węzłem. — Henryk nie  
zważając wcale na milczenie moje, zaczął mi rozwijać  
rozmaite plany przyszłości, w których przyznać muszę,  
konie, ekwipaże, urządzenie domu, bez porównania  
większą rolę grały od żony; nie przerywałem mu wcale,  
byłem pogrążony w myślach, które pomimo woli przy-  
bierały ponurą barwę.

Myslałem nad zmarnowaną pracą moją nad tym  
człowiekiem, nad naukami sianem w jałową rolę, sam da-

remnie cierpiałem, żyłem daremnie, skoro nie zdołałem żadnej z zasad moich wszczepić w niego, skoro w najważniejszych kwestyach były pomiędzy nami tak zupełne, kardynalne różnice pojęć, uziłowania moje próżnemi zostały, świat, ta niekzemna hydra stugłowa, z którą toczyłem walkę nieskończoną, zwyciężyła mnie na tem polu, nie zdołałem wydrzeć jej łupu tej duszy, i byłem smutny, jak każdy człowiek, którego zawiedzie cel szlachetny. Henryk miał dobre serce, i chociaż nie szedł za radami memi, kochał mnie prawdziwie, zauważył więc zasepienie moje i odgadł jego przyczynę.

Joachimie, wyrzekł z uśmiechem podając mi rękę, nie gniewaj się na mnie, wiem co myślisz, ale przyznaj przynajmniej, że jestem szczerym z tobą, że mógłbym z łatwością prawić ci sentymentalne frazesa, a nie czynię tego, cóż chcesz, jestem jakim mogę, nie czuję się zdolnym do wielkich czynów, wielkich idei, i wielkich poświęceń, mnie potrzeba łatwego życia, wbrew woli i chęciom twoim chowano mnie w niem od dzieciństwa, jam stworzony właśnie do tego powszedniego szczęścia dobrobytu i użycia, którem ty pogardzasz.

— Obyś je miał tylko zawsze Henryku, zawolałem rozrzewniony, bo przeczuwam, że droga, którą wybierasz, doprowadzić cię może daleko od tego celu.

Ale on uśmiechnął się znowu, z niedowierzaniem ludzi, którym wszystko dotąd szło łatwo jak z płatka.

Na tem skończyła się rozmowa nasza dnia tego, nieraz potem powracaliśmy do niej, nie raz pojedyncze kwestye, względem przyszłości, którą sobie gotował, poruszane były pomiędzy nami, i jak zwykle bywa, każdy pozostał przy swoim zdaniu.

W ciągu tego czasu często miałem sposobność widzieć pannę Różę, ale nigdy nie zdarzyło mi się rozmawiać z nią na seryo, lub pochwycić w niej jakiegokolwiek żywe, nie mierzone słowo, więc: do ostatniej chwili nie mogłem odgadnąć, czy na seryo uderzało serce w jej białej piersi, czy też odpowiadała ona zupełnie moralną nicością swoją pragnieniom przyszłego męża.



Czasem zdawało mi się, że jakaś niewyraźna iskra gotowa była trysnąć z jej czarnych oczu, że usta porusza się wreszcie, prosto z serca idącym słowem, ale były to tylko przelotne błyski, zgaszone w tejże chwili konwencyonalnym uśmiechem lub wyrazem. — Henryk miał słuszność. Panna Róża nazbyt dobrze była wychowana, by pozostał jej jakibądź atom samodzielności, miała ona na każdy wypadek przygotowany giest lub frazes, których zapas był niewyczerpanym i w każdym razie umiała znaleźć się właściwie. Zdawało mi się tylko, iż on nie łudził się wcale rachując na jej miłość, kochała ona Henryka i uczucie to zdradzała co chwila rumieńcem lub spojrzeniem, ale stosunki ich były tak skrepowane formami i przyzwoitością, przestrzegana niezmiernie ściśle przez matkę Róży, iż nigdy nie mogło przyjść pomiędzy nimi do żadnej nawet poufalej rozmowy i zaledwie w razie jakiegoś większego zgromadzenia, mogli ukradkiem pod okiem kilkudziesięciu osób, zamienić skrycie słów kilka, zwykle zaś Henryk przyjeżdżał co dni kilka do Tulnika, wioząc pudła Lur-owskich cukierków, zastawał całą rodzinę ceremonialnie zgromadzoną w salonie, całował w rączkę panią domu i narzeczoną, ścisnął się z panem prezesem i po kilkogodzinnej ogólnej rozmowie, żegnał się tym samym sposobem, później Róża z matką pojechały do Warszawy po wyprawę, Henryk naturalnie im towarzyszył, a tam narzeczeni widywali się tylko wśród stosów koronek i matery, w towarzystwie nieuniknionych szwaczek, haftarek, modniarek i to widywali się na bardzo krótko, bo Róża miała nadzwyczaj ważne zajęcia toaletowe i musiała wyteżać myśl i fantazyę, na wybór gustownych strojów, on miał równie ważne zadanie, wyekwipowania się i urządzenia domu, stosownie do wymagań położenia, jakie zajmował i majątku panny, z którą się żenił.

Więc pośród tych zajęć, zaledwie mogli znaleźć hewilkę czasu na zasięgnięcie wzajemnej rady co do czynionych zakupów. Było to kilka miesięcy gorączkowego życia, zajęcia się wyłącznie rzeczami, nie zasługującymi wcale na uwagę myślących ludzi. Tutaj

najmniejsza fraszka nabierała nadzwyczajnego znaczenia, debatowano z poważną miną dnie całe nad krojem sukni, kolorem obicia lub fasonem powozu, jak gdyby od tego zależnem było szczęście lub nieszczęście przyszłości.

Zwyczajny to sposób przygotowywania się do najważniejszego faktu w życiu, małżeństwa, sposób tak ogólnie przyjęty, że nawet przestał zwracać uwagę, a jednak gdy widział najdroższego sobie człowieka, biorącego tak lekkomyślnie na barki obowiązki, których doniosłości nie dał sobie nawet pracy rozważyć, nie mogłem się oprzeć tajemnym przeczuciom i z niepojętym smutkiem oczekiwałem dnia zaślubin.

Dzień ten nadszedł nareście i obchodzonym był z całą uroczystością, na jaką zasługiwało połączenie dwóch znakomitych domów i majątków. Był to właśnie luty, koniec karnawału; ziemia okryta była śniegowym całunem, skośne promienie słońca, przysyłaniały tumany śniegu, kręcące się w mroźnem powietrzu; na całej przestrzeni nieba i ziemi nie było nic widać, tylko wirującą białą kurzawę wśród ponurego ryku zimowego wichru. Był to jeden z tych dni, w którym błogo jest siedzieć przy wesóło płonącym ognisku, w ciichym domu, w którym dreszcz przejmując aż samą myśl wychylenia się za próg jego.

Pomimo to grono weselne licznie zebrane w wielkim salonie w Tulniku, oczekiwało tylko na solenne wejście pauny młodej, by wyruszyć do kościoła; sanki pozaprzagane czekały przed gankiem, a konie parskaly niecierpliwie, szarpiąc lejce, które zmarznięte ręce furmanów zaledwie utrzymać mogły.

Stałem w oknie, spoglądając naprzemian na posępne szkielety drzew, obwieszane śronem, wstrząsane niemilosyernym wichrem, i owo strojne, wykwiłtne zgromadzenie, jaśniejące wszystkimi barwami tęczy, gdy nagł drzwi się otworzyły i ukazała się w nich młoda narzeczona. — Tej chwili przypomniála ona osobliwie kwiat, którego nazwę nosiła, była cudnie piękną w ślubnej zasłonie, z wiankiem zieleni na ciemnych włosach, a może wzruszenie nadawało jej oczom

głębokie spojrzenie i piętnowało twarz nie dziecinnym wyrazem.

Henryk, który stał naprzeciw drzwi, w których się ukazała, spoglądając na nie z widoczną niecierpliwością, jakby pilno mu było już zagarnąć ją pod panowanie swoje, postąpił ku niej, ale nie on jeden to uczynił: w rogu salonu, w pośród młodzieży stał bardzo młody chłopiec, dziwnie smutny i blady; pierwszy raz dzisiaj widziałem go w domu rodziców Róży, musiał mieć jednak prawo znajdowania się tutaj, — bo zdawał się doskonale świadomym miejscowości, zwyczajów domowych i znał prawie wszystkich obecnych, — chłopiec ten czemuś nieokreślonym wyróżniał się od tłumu, tak, że koniecznie zauważyć go musiałem. Miał zaledwie lat dwadzieścia, twarz jego ogorzała o regularnych rysach, miała czerstwość i urok pierwszej młodości, a jednak jakieś przedwczesne bóle czy zawody piętnowały mu już czoło dojrzałością cierpienia.

Orzy jego z za czarnych rzęs mgliły się łzami i ogniem tłumionym, brwi ściągnięte rysowały się ciemnym łukiem po nad niemi, ryjąc na czole jakąś zaledwie dostrzeżoną bruzdę.

Wśród ogółu zatartych fizyognomji, ten człowiek w pół dziecinnym wieku, jaśniał całym majestatem myśli i uczucia.

Jakie one były? czemu w wieku szczęścia i uśmiechów miał to smutne spojrzenie? czemu tak ponuro patrzył na świat otaczający i blademi usty zaledwie odpowiadał na powitania i słowa zwrócone ku sobie? — Tego nie mogłem odgadnąć. A zaczepiano go, jak gdyby widoczna boleść jego była wyzwaniem dla obecnych. Widać nie umieli jej zrozumieć ani uszanować.

— Adasiu! wołano na niego ze stron wszystkich, — Adasiu, gdzieżeś się ukrywał przez parę miesięcy? Co robiłeś w karnawał?

Musiałeś chorować, bo wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

On jednak odpowiadał zaledwie na te pytania, w których nie przebijało się wcale współczucie, tylko czeza liłość, a więcej jeszcze ciekawość gawiedzi, stał cichy i ze

spuszczonem czołem, ręce jego szarpały rękawiczki, nerwowym bezmyślnym ruchem, a na ustach zaciśniętych, tkwił taki wyraz, jak gdyby na sercu leżał mu ciężar straszny, a on szukał daremnie jakiej wiernej piersi, ażeby płakać go swobodnie.

Teraz gdy drzwi się otwarły, i weszła Róża w całym blasku piękności i uczucia, gdy Henryk postąpił naprzeciwko niej, on także poruszył się z miejsca, a oczy jego namiętne, cisnęły błyskawicę, zdawało się, że chciał stanąć przy niej, czy między niemi, ale ręce jego opadły bezsilne, twarz pokryła się gorącym rumieńcem i zbladła nagle.

W tej chwili nikt nie zważał na niego, wszyscy patrzyli tylko na piękną parę, ku której cisnął się tłum zebranych. Chłopiec spoglądał na to szklistym wzrokiem, jakby pasując się wśród wewnętrznej męki.

Tymczasem ruch nadzwyczajny zrobił się w salonie: wyjeżdżano do kościoła. Poszedłem za innemi, czekając na swoje sanki oparłem się o filar ganku, gdy niespodzianie ujrzałem przy sobie piękną, bladą twarz i smutne oczy Adama.

Nie wiem, jak się to stało, że siedliśmy razem do sanek; o nim zapomniano zupełnie, a on widać nie był w stanie pamiętać o sobie, widząc go samego ofiarowałem mu miejsce; przyjął je nie zważając na nic, tak zaabsorbowany własną myślą, że świat otaczający przestał dla niego istnieć, że nie zdolnym był, zdać sobie jasno sprawy, gdzie się znajduje. Otulony futrem siedział przy mnie, a ja spoglądałem na niego w milczeniu, zapytując siebie, jaki dramat rozgrywał się w sercu tego pięknego dziecka.

Wśród tumanów śniegu i wycia wichru, dojechaliśmy do kościoła; była to smutna muzyka weselna, którą niebo darzyło narzeczonych; za to kościół ubrany był dywanami i oświetlony świecami; proboszcz ze stufą na ręku, oczekiwał młodej pary; wówczas mój mileczący towarzysz wysunął się szybko ku Róży, chciał podać jej ramię i poprowadzić do ołtarza, ale zaledwie zbliżył się do niej i spojrzawszy w jej oblicze, promienne w tej chwili miłością i szczęściem, zatrzy-

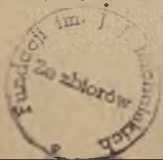
mał się niby piorunem rażony, zadrżał cały i podniósł z wolna rękę do bladego czoła, jakby chcąc usunąć jakieś myśli palące. Ta niema scena, trwała krótko jak mgnienie oka, nie wiem nawet czy zauważyła ją Róża, której myśli i oczy tonęły w sklepieniu kościoła, jakby przebić je chciała modlitwą gorącą, rodzice, krewni otoczyli ją w koło, i Adam na chwilę znikł mi z oczów.

Teraz też cała uwaga moja skupiła się w narzeczonych, którzy przystąpili do ołtarza i przyklekli na przygotowanych poduszkach. Róża była przesłiczną, twarz jej płoniła się, bladła, walczyły w niej jakieś tłumione obawy tej nieznannej przyszłości, i miłość gorącego serca, którą teraz dopiero jawnie ośmieliła się pokazać, patrzyła na Henryka z rodzajem uwielbienia, jak gdyby był dla niej najwyższym, najlepszym, najpiękniejszym na świecie; na jej dziecięcej twarzy, jaśniało postanowienie, przeczucia życia mówiły jej, że przyszłość jego od niej zależeć będzie, a ona przysięgała sobie, że przyszłość ta będzie szczęśliwą, oddawała mu myśli i uczucia swoje, z gorącą modlitwą, z wiarą, że błogosławieństwo boże, osłoni dom ich i serca, modliła się szczerze, zapominając o świecie otaczającym, o kosztownej sukni i koronkach, co ją osłaniały, jak ją nauczono się modlić. Prosiła o to wszystko, co Bóg rozrzucił w koło hojną ręką, dla tych co myśleć umieją, prosiła o duchowe skarby w niej i w nim zarówno złożone, nie rozumiejąc, że sama zapracować na nie musi, chciała, by Anioł niebieski lub cud jaki dał jej to, co koniecznie wprzód zrozumieć trzeba i pozyskać własną zasługą, więc modlitwa jej chociaż szczerza musiała być bezskuteczną.

I przy tej pięknej rozkochanej dziewczynie, nieświadomej świata i siebie samej, która może nie była jeszcze myślącą istotą, ale w której drzemały bogate materiały przyszłości, spojrzałem na Henryka i zapytałem siebie z boleścią, czem zasłużył na tę miłość, czem ją mógł odptącić?

Obok ufniej, rwącej się do bytu narzeczonej, był narzeczony chłodny, sceptyczny, zawczasu odrzucający z

\*



życia wszystkie uczuciowe pierwiastki, więc cóż w przyszłości wiązać ich mogło? co zjednoczyć te dwie istoty nieznanne sobie wzajemnie, a krepujące się dozgonnym ślubem? jakież rękojmie trwałości dawał ten związek, oparty na sztucznych złudzeniach, a tak rażącej w głębi dysharmonji.

Przystąpiono wreszcie do obrzędu, ksiądz zaczął słowa przysięgi, którą oni powtarzali po nim. Henryk jak zwykle z niedbałym uśmiechem na ustach, jako dopełnienie koniecznej formalności, Róża z przejęciem prawdziwem. Ona przysięgała na seryo, on w półżartem — które z nich miało dotrzymać? Stawiłem przyszłości to pytanie. Gdym obejrzał się po kościele, ujrzałem mego młodego towarzysza ukrytego w półcieniu filaru; głowa jego opuszczoną była na piersi, a blade czoło perlilo się kroplami potu, wyciśniętego znać jakąś straszłą walką wewnętrzną; gorejące źrenice utkwione były w dziewczynie klęczącej przed ołtarzem z niewypowiedzianym wyrazem bólu. Widocznie ją kochał, kochał bez wzajemności, bo wzrok jej ani razu nie zatrzymał się na nim, nie zatroskała się o niego ani chwili jednej i minęła go obojętnie, bez rumieńca, bez drżenia, jak każdego innego weselnego gościa. Jednak ból i miłość Adama nie miały wcale dziecinnego charakteru, przechodziły miarą swoją wiek jego, jakieś dziwne rozpaczne postanowienie błyszczało mu w oczach, i piętnowało twarz jego znamieniem dojrzałości, nie był to zwyczajny chłopiec, którego cierpienie rozplynie się w łzy bez śladu, — cierpienie to pasowało go na człowieka i mogło zabić go lub wyrobić na hartownego męża. Teraz kruszyło się w nim serce, w głębi jego ducha jakieś światy zapadały w otchłań niepowrotnej przeszłości, żegnał na zawsze mary dziecinne, pragnienia i sny młodzieńcze. Czy dalej miał wysnuć sobie świat inny? czy też upaść zwyciężony od razu na progu życia? Namiętny, energiczny duch jego zarówno zdolnym był do tych dwóch ostateczności, przechodził prawdziwą próbę ognia. Patrzyłem na niego z coraz większym współczuciem i mimowolnie na miejscu Henryka stawiłem go obok Róży. Równie młodzi, szcze-

rzy, kochający oboje, powinni byli stanąć razem na ślubnym kobiercu; przez jakież fatalne nieporozumienie znyliło się serce dziewczyny? czemuż on nie był jej wybranym? czemuż ta obca, chłodna postać mego dawnego ucznia stanęła pomiędzy nimi i rozerwała te dwie istoty zda się stworzone dla siebie? Było to jedno z tych zagadnień, jakie co dzień napotkać można w życiu.

Po ślubie państwo młodzi wsiedli do eleganckich sanek, całych wybitych niedźwiedzim futrem, on posadził ją w nich, otulił jak swoją, i na czele orszaku ruszyli ku dworowi. Tylko z pod narzuconych okryć wionęła ku nam zasłona narzeczonej; biała jak całun śniegowy rozścielony na ziemi, niby na wieczne pożegnanie.

Adama nie dojrzałem w tej chwili, umyślnie czy przypadkiem skrył się w tłumie gości, i więcej nie widziałem go ani na wspaniałym obiedzie, przy którym pito zdrowie państwa młodych, ani na balu, który po nim nastąpił. Szukałem go próżno, aż w końcu zapytałem jednego z młodzieży, co się z nim stało? nikt go nie widział i nikt nie zatroskał się o to, znać obcym był w kole towarzyszy, jak w rodzinnem kole, bo dowiedziałem się, iż był to ubogi krewny rodziców Róży, u których nawet chował się czas jakiś.

Któż mógł pamiętać o biednym, zrozpaczonym chłopcu, przy świetnej uczcie, wśród szalu zabawy? Czemuż nie dzielił jej z innymi, wszak miał do tego prawo?

Dla mnie wieczór ten włókł się leniwo, wreszcie znudzony jednostajnym widokiem kręcących się par tancerzy, kazałem zaprzędk i cichaczem wyniknąłem się do domu. Śnieżna zawieja ustala, rozdarły się chmury przysłaniające niebo, a na jego ciemnym szafirze iskrzyło się gwiazd tysiące, rzucając mdłe światło na ziemię, śniegiem okrytą. Powietrze było mroźne i ciche, jak oko zasiągnąć mogło, zima panowała samowładnie na wyludnionej białej równinie.

Jechałem czas jakiś pogrążony w milczeniu, a przerażającą ciszę otaczającego świata, przerywało tylko

głuche uderzenie kopyt końskich, i jednostajny dźwięk dzwonka zawieszono u sanek. Mknąłem szybko tą samą drogą, którą rano wraz z całym ślubnym orszakiem jechałem do kościoła, mknąłem go i zakręciłem obok cmentarza, obrosłego brzoza, które jak wiadomo rysowały się ciemniejszymi liniami, na jednostajnym tle krajobrazu, gdy nagle wzrok mój zatrzymał się na jakimś niezwykłym przedmiocie. W pośród mogił cmentarza coś czerniało na wół przysypane śniegiem, niby jakiś kamień ogromny naśladowający postać pochylonego na klęczkach człowieka; przetarłem oczy, byłże to sen lub złudzenie, widmo jakie czy halucynacja; konie parsknęły i zatrzymały się w biegu, furman z trwogą obrócił się do mnie, wskazując niespodziane zjawisko. Obadwaj znaleźmy miejscowość doskonale, nie było tu nic, nic wcale, żadnego kamienia, kłody, ani przedmiotu, coby mógł kształt ludzki udawać. Co być może? zapytałem więcęj samego siebie niż drżącego ze strachu furmana.

Ten jednak zaczął żegnać się i spluwać, a konie zaryły się w śniegu i grzebały go niespokojnemi kopytem.

Co to być może, powtórzyłem machinalnie, i nie czekając dalszych objaśnień, nie zważając na przedstawianie furmana, zeskozyłem z sanek i zacząłem zbliżać się do tego tajemniczego przedmiotu.

Byłże to człowiek? w każdym razie ani brzęk zbliżających się sanek, ani moje kroki, ani głośnie wołania nie wywołały w nim najmniejszej oznaki życia, przy migotliwym gwiazd świetle, nie połobua było rozpoznać nic więcęj, nad ciemny kształt niewyraźny, pochylony o kilkanaście kroków od drogi, pomiędzy pniami brzoż wysmukłych. Zbliżyłem się coraz bardziej, zdjęty ciekawością, aż ujrzałem wyrażenie człowieka owiniętego futrzanym płaszczem, znać klęczał pod kamiennym krzyżem grobowca, obejmując go rękoma, aż móż musiał ściąć jego członki, śnieg przysypał, i tak pozostał wół martwy na mogile.

Polnośłem go z trudem, bo nie dawał znaku życia, sitywne ręce jego przymarzły prawie do krzy-



za, wreszcie po długich wysileniach, odkryłem twarz zakrytą futrzanym kołnierzem, pochyłoną na piersi, twarz ta była mi dobrze znana, tkwiła mi od rana w pamięci, to był Adam. Chłopiec był jednak strasznie zmienionym, surowy wyraz tkwił na jego ściągniętych rysach, powleczonej siną bladością, wielkie oczy zamknięte zdawały się w dół wpadnięte, a przyknięte usta zamknęły się widać słowem rozpaczy. Wówczas, gdy bawiono się w domu rodziców Róży, on umyślnie czy przypadkiem zablądził na cmentarz, i o mało nie pozostał tu na zawsze. Bądź jak bądź, teraz nie czas było zastanawiać się nad tem, co się stało, traf szczęśliwy sprowadził mnie tu w samą porę, by nie dopuścić śmierci człowieka, bo przerażony przyłożyłem mu rękę do piersi, i uczulem bicie serca słabe i niewyraźne, ale dające mi nadzieję uratowania go jeszcze.

Przy pomocy woźnicy zaniósłem go na sanki, odkryłem wszystkiem, co miałem pod ręką i wiozłem do siebie, pędząc co koń wyskoczy. W cichym domku moim zrobił się ruch niezwykły, gdy przyjechałem nagle obciążony żywym ciężarem, na wpół umarłego człowieka. Szczęściem medycyna, a przynajmniej praktyczne jej zastosowanie, nie było mi zupełnie obcym, mogłem więc, nie czekając na przybycie doktora, mieszkającego o mil kilka, zająć się przywróceniem go do życia, przy pomocy starej klucznicy i pokojowego chłopca, roztarłem jego sztywne członki, aż wreszcie pierś poruszyła się westchnieniem, otworzył ociężałe powieki i spojrzał wokoło oczyma, w których przy wracającej przytomności, malowało się bolesne zdziwienie, jakby pytał się, gdzie jest? kto znajduje się przy nim? a usta jego zadrgały niewyraźnymi słowami.

Troska ta była nie w miejscu, dałem mu znak milczenia, ale on nie zaspokoił się tą niemą odpowiedzią.

— Kto pan jesteś! wyrzekł gwałtem, wydobywając głos ze ściśniętej piersi, dla czego się mną zajmujesz?

W tych słowach kryła się hardość dumy, czy boleści?

— Panie Adamie! wyrzekłem, ściskając rękę jego, do której ciepło życia wracało stopniowo, nie turbuj się o nic, jesteś u przyjaciela.

Ten wyraz wywołał na twarz jego coś nakształt smutnego uśmiechu, widocznie chociaż tak młody, mało miał przyjaciół na świecie i wiedział o tém dobrze, ale myśli jego zmacone nie mogły objąć dokładnie obecnej chwili, rzeczywistość wymykała mu się z pamięci, miesząc się z tworam i wyobraźni; leżał nieruchomy, przyjmując z biernym poddaniem starania nasze, jakby duch jego tonął w krainach tajemniczych, realniejszych dla niego, niż obecna chwila, jakby to, co zajmowało myśl jego, obchodziło go wiele więcej, niż on sam.

Bez oporu, skargi, ni słowa dał się położyć w łóżko, wzrok jego był szklisty, usta poruszały się tylko regularnym oddechem, tak leżał spokojny, cichy jak dziecko, znać doznane moralne wstrząśnienie, czy niemoc fizyczna zwyciężyły go i odjęły mu na teraz przynajmniej wolę i siły. — Ten dziwny stan, budził we mnie nieokreśloną obawę, której nic nie usprawiedliwiało, bo powrócił do normalnego stanu, członki odzyskały elastyczność, tylko tajemnicze milczenie i zupełna apatya chorego kazały mi się lękać nowych zawiązań. Więc niespokojny usiadłem przy nim, odprawiłem ludzi, kazałem rozpalić ogień na kominku i czuwałem resztę nocy. Wkrótce głucha cisza zaległa mój domek, tylko blaski płomienia padały chwilami na bladą twarz Adama i odbijały się w jego otwartych źrenicach. — Patrzałem na niego z wzrastającym współczuciem, tak gwałtowne ciche zamknięte w sobie cierpienie, było anomalią w jego wicku, zdradzało wyjątkową siłę serca i moc charakteru; chłopiec ten bez kierunku, steru i opieki, mógł zmarnować się, skonać gdzie z bólu, lub pójść w życie fałszywą drogą, niemniej przecie była to istota wyjątkowa, zdolna czuć tak głęboko i cierpieć w milczeniu. Czy ta, co była powodem rozpacz y jego wiedziała o tém? jak mogła pozostać nieporuszono-

na taką miłością? W cichości ducha obwinałem Różę, zapominając, że ta przygłuszona, skrępowana istota, trzymana w dusznej atmosferze konwencyonalnych idei, starannie dobieranych przez matkę, nie mogła być odpowiedzialną ani za czyny, ani za uczucia, ani też za wybór, jaki uczyniono w jej imieniu. Wszak ona dotąd patrzyła na świat cudzeni oczyma, żyła cudzeni myślami i nie miała o niczem zgoła innego pojęcia nad te, które jej poddawano. Jeśli z niej miała w przyszłości wyrobić się samodzielna kobieta, cały proces myślowego rozwoju musiał odbyć się w niej teraz dopiero, gdy zawczasu rozrządziła już niepowrotnie przyszłością swoją.

Dworek mój był zaledwie odległy o kilkaset kroków od pałacu Henryka, z okna mego mogłem widzieć, rysujące się na szarym tle śniegu, masy drzew, otaczające go z boków i spostrzedz nawet światła, zapadające się w oknach salonów. Zapewne oczekiwano państwa młodych i czyniono przygotowania na ich przyjęcie; tam było wesele, tu boleść, ten zwykły obraz ludzkiego życia, uderzył mnie gwałtownym kontrastem, i mimowolnie serce moje skłaniało się ku cierpieniu, zapominając o szczęśliwych lgnęło do tego biednego dziecka, co o mało dla miłości swojej nie poniosło śmierci, bo tylko traf szczęśliwy pozwolił mi je uratować. Jakim sposobem zamiast do weselnej sali, zabłądził na cmentarz, czego szukał pomiędzy zmarłymi? czy zaprowadził go tam przypadek? czy też chciał popełnić rozmyślnie samobójstwo? Myśl moja pracowała nad tym problematem darennie, a jego usta ścięte niemocą, nie zdolne były mi go rozjaśnić.

Tak mijały ciche godziny, aż zwyciężyło mnie znużenie i w fotelu obok łóżka chorego zasnąłem snem twardym; snu tego nic mi nie przerwało, bo kiedy otworzyłem oczy, wschodzące słońce zaglądało już do okna i padało na mnie pełnym blaskiem; zerwałem się przerażony i spojrzałem na Adama. On nie spał także, bo na jego twarzy, której matowa bledłość odbijała się rażąco na tle czarnych włosów, rozsypanych na poduszce, błyszczały oczy smutne, namiętne. W tej

chwili zdawał się zbierać myśli rozpierchłe i wodził źrenice po niskich białych ścianach nieznanego dworku, w którym się znajdował.

— Gdzie ja jestem? co to się stało, wyrzekł widząc, że się przebudził.

Głos jego odzyskał już naturalne brzmienie, twarz była przytomną, jednak nie odpowiedziałem mu wprost ale zapytałem z kolei.

— Naprzód powiedz mi pan jak się czujesz?

— Alboż ja byłem chorym, przerwał; jakim sposobem tu się znajduję?

Nie wiedziałem sam co mu powiedzieć i wpatrzyłem się z zajęciem w tę piękną młodą postać, budzącą się do życia i do cierpienia, bo na ustach jego tkwił taki bolesny wyraz, iż zdawał się żałować snu mogiły, i tęsknić do niej, bezsilne ręce zwieszały się załamane na łóżko, jakby nie miał siły dźwignąć ich do czynu, a na czole ciężżyła troska, niby ślad walk, które go zwyciężyły.

Oczy jego gwałtownie domagały się odpowiedzi.

— Musiałeś pan, wyrzekłem oględnie, zabłądzić gdzie wśród zadymki, bo spotkałem cię na cmentarzu.

— Tak zabłądziłem na groby, pod wielki krzyż kamienny, odpowiedział ponuro.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Ten krzyż, wyrzekł po chwili stłumionem głosem, to nadgrobek ojca mojego.

— Byłeś pan przy nim pół martwy.

— Martwy zupełnie, powtórzył, ogarnął mnie spokój — cisza.

I czemuż pan przywróciłeś mnie do życia?

Te ostatnie słowa wyrzekł tak, jakby one mimowolnie wyrwały mu się z piersi, ja w nich zrozumiałem samobójcę. Nie dziwiło mnie to, był on w wieku, w którym uczucia są gwałtowne i zazwyczaj nie znajdują równoważników w rozumie; znałem po części dążności pewnej frakcyi młodzieży, karmiącej się poezjami mistrzów i biorącej szal za uczucie, postanowienie gorączki, za rozwagę, cierpienie za znamię wyż-

szości, a samobójstwo za śmierć chwały pełną. W tem wszstkiem była namiętna logika właściwa dwudziestu latom, bo jeśli dla człowieka co potrafił czuć i myśleć życie miało być tylko męka, ciągłą męką bez pożytku, jeśli gorące serca musiały koniecznie zastygać, gorzknąć i więdnąć, w walce ze światem, śmierć wyzwalała je z więzów ciała, w całej pełni zapалу i prawdy, śmierć pasowała na bohaterów.

Doktryny te, kursowały pomiędzy młodzieżą, rzadko kto jednak wyznawał je tak silnie, by aż stwierdzić ofiarą życia, ten człowiek obłąkany niemi, był jednak wielkim w swoim upadku, bo jakkolwiek się mylił, był w zgodzie sam z sobą, czynny swoje stosował do pojęć.

— Panie Adamie, zawołałem biorąc w swoje jego ręce, dla czegoż pan chciałeś umrzeć?

Podniósł się na poduszkach, i spojrział na mnie. Jakby zapytywał, jakie mam prawo do tajemnic jego, Zrozumiałem wzrok jego.

— Mógłbym być ojcem twoim, wyrzekłem odpowiadając na myśli nie wymówione.

Te słowa zrobiły na nim dziwne wrażenie.

— Moim ojcem, powtórzył zwilżonym głosem, moim ojcem, czy pan go znałeś?

Widać wspomnienie to było dla niego świętością, nawet w śmierci, to zranione serce garnęło się do jego mogiły.

— Nie znałem go, odpartem wzruszony, ale gdyby niebo obdarzyło mnie synem, chciałbym, żeby był do pana podobnym.

— Do mnie, wyrzekł zakrywając oczy rękoma, a cóż ja zrobiłem dobrego, komu przydałem się na co, sam cierpiący, złamany, bezsilny.

To były piękne słowa, instynkt tego dziecka zaprotestował w nich przeciw zgubnym zasadom; czuł widać, że był stworzony na coś lepszego, niż to, by umrzeć marnie pod śniegowym całunem.

— Mógłbym zapytać, odrzekłem poważnie, dla czego śmiałeś tak bardzo zwątpić o przyszłości i o sobie samym, by opuszczać walkę życia, ale nie mam

prawa tego uczynić: przypadek zrzucił, żeś pana ocalił od niechybnej śmierci, mam nadzieję, iż drugi raz nie narazisz się na nią, tak bez namysłu; życie może być ciężkie, gorzkie, bolesne, ale wierz pan memu doświadczeniu, są chwile co wynagradzają nam wszystko, są uczucia i pojęcia, które rozjaśniają nam cierniste drogi i dniom starości nawet nadają urok wiosniany.

Mówiłem to z mocą przekonania, ale on, przerwał mi z tłumioną gwałtownością.

— Wiem, wiem, co mi pan powiesz; będziesz mi wychwalał spokojność sumienia, spełnienie obowiązków, obojętną ciszę serca, zdanie się na los i opatrność, — czy sądzisz pan, że nie powtarzano mi to w koło na wszystkie tony. Ale ja nie mam obowiązków do spełnienia, sierota, sam na świecie, nikt nie zatroskałby się o śmierć moją i chyba krzyż stojący nad grobem ojca mojego rozciągnąłby miłosierne ramiona i nad moim ciałem. — Nie mogę zharmonizować się z otaczającym światem, bo wszędzie dostrzegłem fałsz i rozstrój, haniebne czyny, pod maską słów szlachetnych, sprzedajność, zdradę i nیکczemność obleczone w szaty ludzkie, stojące na wyżynach i urągające wszystkiemu co szczerze i jasne.

Kiedy to mówił, oko jego promieniało zapalem, wymowne usta zdawały się ciskać pioruny na kłamane enoty i kłamane wielkości.

— To prawda — wyrzekłem łącząc się całym sercem z jego oburzeniem — tylko ci, co to poznać i czuć umieją, mają podwójny obowiązek: stanąć do walki z fałszywymi bogami, torować inne drogi spółbraciom, a jeśli zginąć przyjdzie, to przynajmniej zginąć w obronie prawdy, ale nie rozpaczać zawczasu. Jeśli wszyscy szlachetni, bez sporu z polą ustąpią, to cóż dziwnego, że świat zostanie pastwą nیکczemnych! I pan śmiesz mówić, że nie masz obowiązków? każdy je ma na tej ziemi, chociażby ten najprostszy: stać na stanowisku jak żołnierz wśród boju, i w danej chwili dać świadectwo prawdzie. Rzadko przyjdzie stwierdzić je życiem, ale co dzień, co minu-

ta, trzeba będzie stawić czoło ciemnocie i przesądom, narazić się na śmiech, na oburzenie ludzkiej gawiedzi, ponieść ciężką ofiarę serca — oto są według mnie święte obowiązki, od których żaden człowiek uchylać się nie ma prawa, jeśli nie jest tchórzem i nikiem.

Adam słuchał mnie z uchylonem czołem.

— Pan masz słuszość — wyrzekł po cichu — musisz mieć słuszość, ale jesteś bez miłosierdzia dla upadłych. Czy nie cierpiałeś pan nigdy, że tak okropnie potępiasz tych co cierpią.

Widocznie słowa moje trafiły w cel właściwy — ubodły go ostrą prawdą.

— Ja nie potępiam nikogo — odparłem zwolna, patrząc mu w oczy — mówię tylko, czego od każdego człowieka społeczeństwo ma prawo wymagać.

Mówiłem to spokojnie, a jednak on załamał ręce gwałtownie.

— Więc cóż pozostanie dla nieszczęśliwych, gdy odmawiasz im pan nawet prawa śmierci?

— A któż jest szczęśliwym? spytałem — bo te niebaczne dziecinne słowa przywiodły mi na pamięć dawne bóle, dawne zawody drzemające jak rany niezagojone w głębi piersi. Gdybyś pan mógł spojrzeć w serca ludzkie — mówiłem dalej — wiele znalazłbyś pan pomiędzy niemi nie krwawych; wierz mi, człowiek może dźwignąć krzyż swój, jakkolwiek ciężki, i pracować ze zboląłą myślą.

— Pan mówisz o bólu tak chłodno — odparł chłopiec z goryczą — czy wiesz, że są chwile, w których on odejmuje przytomność, wolę, siły, myśli. Czy wiesz, że są momenta, w których pragnąłem głowę roztrzaskać, piersi rozpruć lub oszaleć, byle odjąć się jego mocy?

Teraz mówił o sobie, po raz pierwszy podstawiał siebie, zamiast tej bezosobistój istoty, po za którą krył się dotąd.

Ośmielony tém, chcąc koniecznie wypowiedzieć do reszty tego hardego ducha spytałem.

— Pan kochałeś?

— Ale na te słowa zadrżał, przyciskając obydwojma rękami piersi, jakbym ja wydzierał mu ztamtąd śmiertelną tajemnicę.

— Zkąd pan wiesz, szepnął mierząc mnie nieufnym okiem.

Uśmiechnąłem się lekko.

— W twoim wieku, wyrzekłem, panie Adamie, jakaż inna może być przyczyna rozpacz.

Chwilę zdawał się mocować sam z sobą, widocznie osobistość moja budziła w nim ufność, ale on przywykł tak do ukrywania uczuć, w otoczeniu ludzi, którzy nie odpowiadali mu w niczem, że milczenie stało się dla niego drugą naturą, pożerał się i trawił sam w sobie. W cichości ducha, rodziły się w nim myśli szalone, gwałtowne uczucia, postanowienia rozpaczne, nikt nie zmusił go nigdy, sformułować je jasno i tym sposobem wywołać przed sąd własnego ducha. Ale chwila ta była stanowczą, wewnętrzną istotą jego, gwałtem wydobywała się, na jaw, jam go odgadł, więc łatwiej mógł przemówić.

— Jeśli kochał, wyrzekł zaledwie słyszalnym głosem.

— Słuchałem go w milczeniu.

— Jeśli kochał, powtórzył z wzrastającą mocą, jeśli w to uczucie wcieliłem wszystkie pragnienia i marzenia życia, jeśli zawiódłem się, czyż i wtenczas nie wolno mi rozpaczać?

— Czy byłeś kochanym spytałem, ja także tknięty temi słowy, już nie dla niego ale dla Henryka. — Chłopiec uśmiechnął się z nieskończoną gorczyzą.

— Czy sądzisz pan, odparł, żem ja był w stanie o to zapytać, kochałem ją od dziecka, jak się kocha kwiat, gwiazdę, promień słoneczny, szedłem za nią jak cień, bóstwiłem jak anioła, nie miałem braci ni sióstr, wczesnie straciłem rodziców, ona była dla mnie wszy-istkiem, i długi czas nie czułem pustki życia, czczość serca, goryczy sieroctwa, jej uśmiech, słowo pieszczotne, zapełniało mi świat cały, wówczas nie nie pragnąłem, nie wiedziałem więcej nad to, że dobrze mi przy niej, że z nią chciałbym zostać zawsze. Byliśmy dzie-



ćmi oboje i szczęśliwi jak dzieci. . . Potem rozłączono nas, widywaliśmy się tylko czasami, coraz krócej, coraz rzadziej, ale ona była myślą moją nicodstępną. Uczyłem się z zapałem, pracowałem szalenie, byle skrócić dla siebie szkolne lata, wówczas nie zastanawiałem się nad różnicą położeń, majątków, mówiono mi, że nauka do wszystkiego doprowadzić może, może dać potęgę, sławę, bogactwo, ja chciałem osiągnąć to wszystko, ale nie dla siebie tylko, dla niej jednej, a dzisiaj. . .

Umilkł i łkanie wewnętrzne naksztąpił jęku, wstrząsnęło jego piersią, ale oczy pozostały suche.

— Dzisiaj ona poszła za innego, szepnąłem kończąc smutną powieść jego, zapomniała o pierwszej miłości.

Słowa moje jednak, nie trafiły w rytm właściwy, bo podniósł głowę gwałtownie.

— Ona nie zapomniała o niczem, zawołał, bo czemuż ja byłem dla niej, ona nie była obowiązującą wiedzieć o tem, że ja dla niej byłbym dał życie; cóż dziwnego, że m patrzył na nią jak w cudowną tęczę, wszakże tak czynili wszyscy. Gdy z dziecka wyrosła na zachwycającą dziewczynę, jam stanął przed nią jak wryty i nie śmiałem już zbliżyć się jak dawniej, ni jak dawniej zgadywać jej myśli, wyprzedzać chęci, tylko olśniony, drżący, siadałem w najodleglejszym kącie i ztamtąd patrzałem na nią ciągle, nieustannie, to była moja cała rokosz, ale ona nie wiedziała o tem nigdy.

Była to dziwna, bezinteresowna miłość, a gwałtowna i rozmarzona, jak cały ustrój tego chłopca.

— I któż ci przeszkadza, panie Adamie, wielbić ją jak dawniej, w czem przeniewierzyła się ona zachwytowi twemu.

— Miałem do czynienia z naturą namiętną, ale analityczną i szczerą, względem samej siebie, odparł smutnie.

— Myślałem o tem, zapytywałem serca mego, co się zmieniło? wszakże ja nie miałem żadnej nadziei? a jednak uczucia nasze składają się z różnorodnych

pierwiastków, skrywających się nieraz przed sądem sumienia; nadzieja tkwić musiała gdzie w głębi miłości mojej, bo gdym ją ujrzał przy nim, ogarnęła mnie rozpacz bez nazwy. — Dotąd ona była słońcem, które świeciło dla wszystkich zarówno, a więc i dla mnie także teraz. . .

Gdy to mówił czoło jego pobladło, wargi zbielały i drgały, były słowa co z trudnością wydobywały się z piersi jego ściśniętej, których nie mógł wymówić bez męki, a których znaczenia ja dopełnić musiałem.

— Teraz, wyrzekłem, gdy pierzchno marzenie dziecinne, trzeba trzeźwo spojrzeć w przyszłość i rozwikłać ją dla siebie.

— W przyszłość, powtórzył, powiedziałem panu, że ja nie mam przyszłości, treścią mojego życia była ona, a teraz cóż mi pozostaje. Umiesz pan pięknie mówić, zapewne miałeś najlepsze zamiary, nie mam prawa ci nie wyrzucać, ale wierz mi pan, byłoby lepiej, gdybyś mnie był pozostawił pod krzyżem ojca, on cierpiał także za życia, on mnie już przygarbiał miłością w wieczny sen, w wieczną ciszę grobową.

Czułem coś chorobliwego, w tym upornym powrocie, do idei zniszczenia. Przemawiałem do niego w imieniu obowiązku; wzruszyłem go, ale nie potrafił przekonać, rana jego była zbyt świeżą i krwawą. W pewnych wyjątkowych organizacyach; pragnienie śmierci staje się namiętnością; są ludzie co potrafią zmylić najczujniejsze oko i przestąpić ten próg nie znany. Pragnienie to trzeba było pokonać.

Czemże była rzeczywiście miłość jego, marzeniem sennym, banką mydlaną, któraby pękła zapewne pod technieniem rzeczywistości. Próżno pytałem go, co on kochał w Róży, teraz on nie był nawet w stanie zrozumieć tego pytania, położyłby go tylko na karb wieku mego, skrzepłego serca, obojętności nie umiejącej pojąć uczuć jego, postanowiłem więc tę miłość wyzyskać i użyć jej jako dźwigni.

— Tak, wyrzekłem, szukając śmierci myślisz Pan tylko o sobie, odrzuciłeś z góry obowiązki względem

samego siebie i świata, teraz chcesz je odrzucić względem nieszczęśliwej kobiety, którą ukochałeś.

— Nieszczęśliwej, zawołał tknięty do żywego, kto panu powiedział, że ona jest nieszczęśliwa.

Cel mój był w połowie osiągnięty.

— Tak jest, powtórzyłem nieszczęśliwej, więc czynisz jej Pan taką krzywdę, iż sądzisz, że zasnęłaby kiedykolwiek spokojnie, z sumieniem obciążonem mimowolną zbrodnią, że krwawa pamięć towarzysza dzieciństwa, zmarłego z jej przyczyny, nie zatrzymała jej życia goryczą. Pan zapomniałeś o tem, owładnięty własną boleścią, zapomniałeś, że rzucałeś tym sposobem wieczną żalobę na jej duszę, wieczną plamę na jej imię, w obec śmierci twojej, kto uwierzyłby w jej niewinność; ale to nie powinno mnie dziwić, samobójcy siebie tylko Kochają.

Mówiłem to surowo. Adam słuchał mnie z szerego rozwartemi oczyma podnosząc się zwolna na łóżku.

— Ja nie pomyślałem o tem wszystkiem, zawołał, masz Pan słusność, jestem nikczemnikiem, nie wartym nawet jej wspomnienia, oddaję sobie sprawiedliwość, ale ja nie wiedział sam co czynię, wierz mi Pan, nie było rozmysłu w czynie moim, uciekałem od weselnego ruchu, od widoku, którego przeniesić nie mogłem, coraz dalej, aż ujrzałem z daleka grób ojca, wówczas padłem na nim zmordowany; zawiódł mnie tam ślepy instynkt, nie wola.

— Wierzę temu, odparłem, tak było wczoraj, — ale Pan sam nazwałś czyn swój nikczemnością, więc on się powtórzyć nie może. Pan nie należysz do rodzaju nikczemników.

Słuchał mnie z dziwnym przejęciem; rysy jego chociaż smutne, rozpogodziły się powoli, oczy straciły dziki blask, i zamglily się miększym wyrazem.

— Jesteś Pan dobrym, wyrzekł ściskając dłoń moją, pragniesz uratować zarówno ducha mego, jak ciało, chciałbym okazać ci wdzięczność moją.

Uśmiechnąłem się, bo nie sądziłem się w prawie do wdzięczności, ale w Adamie to uczucie było gwał-

townem, jak wszystko w jego wróćem sercu.— Powiedziałeś mi Pan wiele gorzkich prawd, może nie byłem w stanie ich ocenić, ale w głębi ducha czuję, iż miałeś słuszność.

— Okaż mi pan życiem swoim, zawołałem, że miałeś słuszność, ja nie mówiłem ci czezych frazesów, ale to tylko, w co wierzę całym sercem.

Słuchał mnie zamysłony; dziwna walka zdawała się toczyć w jego duchu.

— Życie, życie powtórzył z goryczą, czy pan nie widzisz, iż zapytuję samego siebie, czem ja teraz żyć będę?

— Obejrzyj się w kolo siebie, zawołałem gorąco, a znajdziesz cel, który ci serce rozszerzy, przyszłość rozjaśni, pogodzi cię ze smutną dolą i zdola ją w szczęście zamienić.

Wstrząsnął piękną głową, ale milczał, wyraz szczęście znać dziwnie zabrzmiał mu w uszach.

— Tak, mówiłem dalej, szczęście jest rozmaite, dają go ludzie, los, okoliczności, ale jedynie trwałe, jedynie prawdziwe, jest to, które wyrobi sam człowiek w duchu własnym, walką, męstwem, jasną myślą, ja nie wątpię o tem, iż przyjdzie czas, w którym zrozumiesz to i przywórzysz mi gdzieś z oddali, że pomimo wszystkiego człowiek stworzonym jest do szczęścia.

Była znać w wyrazach moich moc przekonania, bo nie śmiał mi zaprzeczyć, wlepił głębokie płonące oczy w przestrzeń i zdawał się zapytywać sam siebie, jaką drogą pójdzie teraz w życie.

Powstał z łóżka, osłabiony jeszcze, blady, ale spokojny, z tem silnem postanowieniem na czole, które uspokaja o los ludzi zdolnych wyrobić go w sobie. Moralne przeobrażenie działało się w duchu dziecka, surowa rzeczywistość wychylała się dla niego z mglistych osłon marzenia, zaczynał pojmować, że po za tym sennym światem, w którym żył zamknięty, zaczarowany niejako, były inne areny, godne sił jego, istniały cierpienia i radości, o których nie miał wyobrażenia.

Wprawdzie rana w piersi jego nie zagoiła się od

razu, ale uczył tę niewypowiedzianą ulgę, jaką sprawia zwierzenie idealnych bólów, pamięć cierpienia straszniejszą była od obecnej chwili, teraz on mógł już pomyśleć o Róży bez szaleństwa, mógł znieść tę myśl, że ona należała do innego. Nie pragnął nawet zobaczyć jej więcej, bo czyż on kochał ją na prawdę? on kochał miłość tylko, a ona służyła mu za cel zapalów, jak byłoby to stało się z każdą inną piękną dziewczyną, spotkaną na jej miejscu. Tak sądziłem, ale tego on sam nie mógł zrozumieć w tej chwili; te prawdy były dla niego przedczesne, ja tylko przeczuwałem, że kiedyś człowiek tak osądzi tę miłość dziecka, która o mało nie zaprowadziła go do grobu.

Była to wielka faza w jego życiu, dzisiaj kończyły się jego lata chłopięce, a poczynął się dojrzały wiek mężczyzny.

Długiego milczenia, nikt z nas nie przerywał, aż on odezwał się pierwszy.

— Chciałbym, wyrzekł, dostać się do najbliższej stacji pocztowej.

— Żądanie to łatwem było do uskutecznienia, kazałem zaprzędz do sanek i oddałem je na jego rozkaz.

Nie dziwiłem się, że nie wrócił do Tulnika; wspomnienia jego były zbyt świeże, by je dobrowolnie drażnić. Nie zatrzymałem go u siebie, pilno mu było uciec od miejsc i ludzi, co byli świadkami słabości jego i rozpocząć inne życie. Były w nim olbrzymie siły, burzące się, dopominające się gwałtownie zużytkowania, nie mogące znieść wymuszanego spoczynku.

— Jadę wprost do Warszawy, wyrzekł siadając na sanki, może usłyszysz pan kiedyś o mnie, może stanę się człowiekiem, może padnę w walce nie zdobywszy sobie miejsca pod słońcem, ale ja noc tę pamiętać będę zawsze i słowa pana zachowam w pamięci.

Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie i rozstaliśmy się z Adamem.

Byłem o niego spokojnym; miał słuszość, mógł upaść jeszcze, ale miał wolę dźwignięcia się do ostatka.

\*

A kto ma tę wytrwałą wolę; ostatecznie zwyciężonym nie będzie.

Po jego odejździe uczułem się dziwnie smutnym, noc jedna spędzona z tym człowiekiem, zespoliła mnie z nim więcej, niż z innym przeżyte lata. Były pomiędzy nami pierwiastki, które się harmonizowały, pomimo pozornej różnicy; w głębi ducha on i ja równie poważnie zapatrywaliśmy się na życie, jeśli on je chciał odrzucić, bo nie odpowiadało ideałom jego, nie mógł się też zgodzić na ten byt łatwy, bez ruchu i myśli, jaki przyjmowało bez wahania tylu innych, jaki zupełnie wystarczał Henrykowi.

Pomimowolnie porównywałem tych dwóch ludzi, zagłębiałem się myślą w ich przyszłości i zapytywałem siebie, co była warta kobieta, która mogła wahać się w wyborze, pomiędzy nimi dwoma, i biedna Róża traciła całą moją sympatyę.

W tem całym rozumowaniu myliłem się tylko w jednej małej rzeczy; Róża nie była jeszcze kobietą, nie była nawet osobą, był to sztuczny wyrób tak zwanego dobrego wychowania, dzięki któremu istota jak najstaranniej strzeżona od zdrowych pojęć i własności, powołaną była stanowić niepowrotnie o przyszłości swojej, zresztą Róża nie mogła czynić wyboru, wszakże miłość Adama była tajemnicą, tajemnicę tę może doświadczeńsza istota byłaby odgadła, ale widziałem wyraźnie w jej niezmeńczonych oczach i swobodnym uśmiechu, że nie domyślała się jej wcale.

Wychowanie, jakie odebrała, nie było jej winą, przecież nie mogłem jej tego darować w oczach moich; w obec szlachetnej zropaczonej postaci Adama wysuwała się jej bezmyślna konwencyonalna postać. Prócz szafu młodego chłopca nic ich nie zbliżało; były to postacie wręcz odmiennych światów, i nic dziwnego, że rozeszły się nie rozumiawszy wzajemnie. . . . Czy na zawsze ?

To pytanie uczyniłem sobie mimowolnie.

Dnia tego, wbrew zwyczajowi, nie byłam wcale u nych okolicznościach była zmuszoną radzić sobie sama ;

Henryka, ale on przysłał po mnie nad wieczorem, nie mogłem mu odmówić, nie miałem ku temu żadnego powodu, pojechałem więc do Sinogóry.

Postać dworu nie się nie zmieniła przybyciem żony, tylko na kanapie w salonie siedziała młoda kobieta trochę zmięszana swoim nowym położeniem, trochę uradowana nowo nabytą wolnością i godnością — pani domu, z którą jednak wyróżnie nie mogła sobie dać rady.

Henryk był przy niej ze zwyczajnym niedbałym uśmiechem na ustach. Mnie powitał serdecznie.

— Spodziewam się, Joachimie — wyrzekł podając mi rękę — że Róża nie wypłoszy cię ztąd; — dla czegoż według zwyczaju nie przyjechałeś na obiad. . . .

Słyszac się pierwszy raz tak poufale nazwaną w obec obcego człowieka pani Henrykowa zarumieniła się gwałtownie jak kwiat, którego inię nosiła, uczuła jednak, że do słów męża coś jej także dodać wypadato.

— Panie Joachimie — wyrzekła usiłując daremnie zwyciężyć swą nieśmiałość — czekaliśmy na pana.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale to już przechodziło jej możność; spojrzata tylko na męża w sposób, w jaki dawniej spogladała na matkę, gdy potrzebowała odebrać jakiś sygnał. Ale on nie wtajemniczony w znaczenie tego spojrzenia, nie zrozumiał wcale, czego od niego żadała młoda małżonka i zapytał nawet dobrodusznie.

— Czego tak patrzysz na mnie Rózo?

Na te niebaczne słowa żona stanęła cała w ogniu, nie już jak róża, ale jak piwonia.

— Henryku — wyrzekła błagająco z chęcią wymówki, która jednak nie sformulowała się ani słowem, ani głosem nawet.

— Co? moja droga — pytał mąż nie domyślając się nawet popelnionej nieczręczności widocznie pragnąc zadość uczynić jej żądaniu.

Biedna Róża miała ochotę się rozplakać i wezwać mamę na pomoc, jak to przywykła czynić w każdym kłopotcie, ale obejrzawszy się w koło przypomniała sobie, że mama została w Tulniku, a ona w tych waż-

więc z rodzajem rezygnacyi siadła napowrót na kanapie i spuszcżając głowę uparcie milczała.

Cheąc przerwać tę małą scenę, zacząłem obojętną rozmowę o mrozie i o pogodzie, czém zyskałem sobie wysokie zadowolenie pani domu, która po chwili przysła zupełnie do siebie, i odzyskawszy zwykłą wesołość, ośmieliła się nawet podnieść na mnie jasne źrenice. Były to czarne oczy dziecinne prawda jeszcze, w których nie było śladu głębszej myśli ni uczuć, ale w których nie brak było inteligencyi, a te oczy patrzyły tak ufnie i poczciwie, znać w nich było tyle szczeroty, iż musiały koniecznie budzić sympatyę w tych, na których spoczęły.

Uprzedzenia moje znikły pod ich łagodnym promieniem, i natomiast budziła mi się w sercu litość nad tém bezbronném dzieckiem, rzuconém bez straży żadnej na pastwę losu, tak mało przygotowaném do życia, a tak zupełnie zostawioném sobie. Henryk choćby i chciał nawet, nie był w stanie być jęj przewodnikiem; on za nadto myślał o sobie, za nadto brał wszystko na lekko, za nadto mało miał bystrości i inicjatywy, by módz drugięj istocie nadać jakibądź kierunek; więc tych dwoje ludzi, ich miłość i przyszłe stosunki musiały pozostać igraszka wypadku. Ja jeden czufem to z boleścią, ale tego czego im brakło, ja zastąpić nie byłem w stanie, zdaleka tylko czuwać mógłem nad nimi i w danym razie działać wedle okoliczności.

Tymczasem podano herbatę. Róża z rodzajem dziecinuęj dumy usiadła koło samowaru i z pewną wprawą czyniła honory zastawionego stołu, bo obowiązek ten spełniała już nieraz w domu rodziców.

Henryk spoglądał na nią wesoło, widocznie ciesząc się żoną jak każdym nowym, ładnym a kosztownym nabytkiem; oczy ich spętykały się co chwila, zatapiały się jedne w drugich z wyrazem szczęścia i tęg przelotnej miłości, jaką oboje jedynie czuć byli zdolni. Cokolwiekbądź gotowała im przyszłość, była to chwila zjednoczenia, może późnięj myślą mieli powrócić do niej nieraz. Wesele jaśniało na ich twarzach i mógło



złudzić każde powierzchowne wejrzenie. On rozmawiał z nią żartując i drażniąc się lekko; ona coraz była swobodniejszą, obecność moja przestała ją krępować, za przykładem męża zaczęła mnie uważać jako starego przyjaciela.

— A propos, przerwał Henryk, jak gdyby nagle przypominając coś sobie, ślub nasz mógł się odznaczyć tragicznością, czy wiesz Róziu, że jeden z twoich kuzynków o mała nie zmarł wczoraj, zabłądziwszy gdzieś w zadymkę.

— Jeden z moich kuzynów, powtórzyła młoda kobieta, z tym ogólnym współczuciem, dotyczącym wszystkich zarówno, widocznie w licznym zastępie młodych ludzi należących do jej rodziny, nie wyróżniała nikogo, jakież to straszny wypadek dodała, jakże to stać się mogło.

Nie zapytała nawet, kto był ten nieszczęśliwy, widocznie Adam miał słuszość, ona nie wiedziała nic o miłości jego.

— Szczęściem, mówił dalej Henryk Joachim spotkał go wczoraj i uratował, czy nie tak?

Oczy Róży spoczęły na mnie pytająco i wdzięcznie, ale nie dostrzegłem w nich szczególnego niepokoju, ni szczególniej wdzięczności.

— Rzeczywiście, odparłem korzystając z niezręczności Henryka, dotykającego tego smutnego i niebezpiecznego przedmiotu, z przedwczesnym mężowskim zaślepieniem, spotkałem pana Adama S. współmartwego na drodze.

Nie mówiłem, że go zastałem na cmentarzu, szczegóły te zdawały mi się zbyteczne, ale wymawiając imię młodego człowieka, patrzyłem bystro w twarz Róży. Nie zarysowało się w nich nic innego nad szczerą litość.

— Biedny Adaś, zawołała, ileż razy dziećmi bawiliśmy się razem.

On pozostał w jej pamięci tylko jako towarzysz pierwszych lat, więc jej nie wiedziała, czy wiedzieć nie chciała, i zamysliła się smutnie; zapewne Adam zapomniał w jej wspomnieniach.

— Trzeba też być w osobliwy sposób nie uważnym, odezwał się Henryk, by zabląkać się od tyłu ludzi, koni, powozów. — Adam S. uważałem go, wszak to ten piękny melancholiczny marzyciel, co tak rozpacznie miledzał wczoraj, i chciał Rózię do ślubu prowadzić, ależ on jak widzę po ziemi nawet sam chodzić nie umie, ślicznego byłabyś miała przewodnika.

Smiał się głośno, przecież nikt z nas nie poszedł za jego przykładem, młoda kobieta spojrzała na męża z rodzajem zdziwienia, jakby trudno jej było uwierzyć, by on śmiał się z cudzego niebezpieczeństwa.

— Był też aż nadto ukaranym za nieuwagę swoją, przerwałem poważnie, o mało nie przyplacił jej życiem.

— Co nie przeszkadza, iż ten wypadek jest bardzo śmiesznym, przerwał Henryk, skoro nie zakończył się tragicznie i dowodzi nadzwyczajnej nieudolności.

Róża poruszyła się niecierpliwie, jakby zaprotestować chciała przeciw temu doraźnemu sądowi, ale śmiałość jej nie szła tak daleko: teraz jednak spojrzała na męża z widocznym wyrzutem, jak gdyby po raz pierwszy on przeniemierzył się ideałowi doskonałości, za jaki go miała dotąd.

Ileż razy rozczarowanie to powtarzać się miało, zanim Róża mogła ocenić prawdziwą miarą Henryka; miłość jej jak wiele zresztą miłości na świecie, opartą była li tylko na nieporozumieniu, a nieporozumienie to każda chwila pożycia koniecznie rozświecać musiała.

Takim był pierwszy wstęp mój do domu Henryka po ślubie; położenie moje względem niego nie zmieniło się wcale, byłem mu tylko potrzebniejszym niż dotąd zarówno w zarządzie majątku, jak w domowych sprawach; bo od tego pierwszego wieczora, zawarliśmy z Różą ścisłe przymierze, nie oparte na słowach ani przyrzeczeniach, nie mniej przeto szczerze i prawdziwe.

Życie domowe wkrótce bardzo znudziło mego dawnego ucznia; nie dziwiłem się temu, gdyż fakt ten był przezemnie przewidzianym z góry; młoda żona prócz piękności, nie miała w sobie nic takiego, coby przeży-

tego człowieka zająć mogło! Z na wpół dziecięcym, nierozwiniętym umysłem, z niepraktycznymi poglądami na świat, nie przyzwyczajona do porządnego myślenia, od razu i niepowrotnie osądzoną została przez niego za pozbawioną inteligencji.

Ona wprawdzie nie była w stanie zrozumieć procesu odbywającego się w umyśle męża, czuła jednak instynktownie, że nie była dla niego tém, czém być powinna, iż działała się jej krzywda w jego umyśle; stąd powstało pomiędzy nimi mnóstwo odcieni niedostrzegalnych prawie, ale które ja śledziłem i widziałem; ni by kochali się, powierzchownie jak w pierwszych dniach pobrania, ale z jego strony był rodzaj lekceważenia, a wzajem ona żywiła ku niemu nieufność, przebijającą się w urywanych słowach, w rumieńcach; zrażona przez niego, coraz rzadziej odzywała się ze swoim zdaniem i nieśmiała z natury zamykała się w sobie.

Dom ich był otwarty, prowadzili huczne życie; goście, wizyty, zabawy, przejażdżki, zabierały im większą część czasu — i nie dziw, czas, był to dla nich obojga najsroższy nieprzyjaciel, którego musieli nieustannie zabijać. Róża stroiła się, bawiła; zazdrościono jej tego szczęścia. Wszakże była bogatą, piękną i prowadziła tak przyjemne życie, przecież pomimo to zastawałem ją nieraz smutną w rannych godzinach samotności; nieraz oko jej zamgliło się jakimś nieokreślonym wyrazem, i róże na licach bladły, widocznie była stworzoną do czegoś lepszego, niż to wszystko, co posiadała.

— Twoja żona jest smutną — mówiłem nieraz Henrykowi.

Ale on ze zwykłym sobie niedbałym uśmiechem odpowiadał niezmiennie:

— Zdaje ci się, czegoż jej braknie.

I wzruszając ramionami, powracał do zwykłego trybu życia.

Wreszcie postanowiłem raz koniecznie zwrócić stanowczo uwagę jego na usposobienie młodej kobiety, które zaczynało niepokoić mnie coraz bardziej. Kilkanaście miesięcy upływało od dnia ich ślubu, gdy wła-

śnie nadarzyła się ku temu sposobność. Było to w pełni lata, w koło nich złociste lany zboża padały pod sierpem żniwiarzy. Dla ludzi pracy była to ważna chwila, w której całoroczne zachody hojnym plonem nagrodzone bywają, w której podwajać trzeba czujności i energii, ale oni byli dość bogaci, by płacić zastępców, którzy za nich trudzili się i pracowali. W dworze Sino-górskim, tak jak zwykle zbierali się goście, grano, tańczono, urządzano spacery, bawiono się swobodnie, jak to czynić zwykli, ludzie wyzwoleni od materialnej troski bytu.

Przecież pomimo to wszystko, Róża opuściwszy zebrane w domu swoim towarzystwo, poszła sama w najoddalszą część parku, i tam na darniowej ławce podparwszy głowę na rękach, zamysliła się tak głęboko, że nie słyszała zbliżających się moich kroków.

Z jej dziecinną twarzą znikł wyraz swobody, a natomiast było tam zmęczenie, nuda pochodząca koniecznie z czczości serca i jakiś smutek niewyraźny, nieokreślony może dla niej samej; były i budzące się myśli. Młoda kobieta zdawała się badać jakieś trudne problemy z nateżeniem, zdawała się szukać rozwiązania zawitych kwestyi, a nadewszystko znać było w jej postawie i ruchu, w zbladłej twarzy, że tej młodej, niby szczęśliwej istocie dolegała troska. W milczeniu przyglądałem się jej czas jakiś, pierwszym moim uczuciem było pójść do niej, zapytać o powód zamyslenia i smutku, ale po chwili rozwagi wstrzymałem się, troski i smutki Róży mogły mieć jeden tylko powód, a tym powodem był Henryk, czyż ja mogłem mieszać się w ich stosunki i pytaniem zmusić niejako młodą kobietę do sformułowania żalów swoich, może były to lekkie chmury na horyzoncie małżeńskim, może ja ich doniosłość przesadzałem, a tym sposobem mogłem nadać im ważność, której w rzeczywistości nie miały.

Jednakże bolał mnie jej cichy smutek i nie znajdowałem na niego innego sposobu, jak pokazać ją tak w tym wymownym cierpieniu oczom męża, poszedłem więc szukać Henryka.

Jednak sprowadzić go do parku nie okazało się

wcale rzeczą łatwą, w domu było pełno gości, Henryk z całym mężczyźni towarzystwem jeździł rano na polowanie, a teraz ci panowie powróciwszy zmęczeni, zabawiali się niewinnym lancknechtem. Siedzieli oni wszyscy w malowniczych negliżach i pozach w gabinecie samego pana wśród kłębow cygarowego dymu. Zrozumiałem, iż chwila była źle wybraną na to, co powiedzieć chciałem i już zamierzałem się cofnąć, gdy Henryk spostrzegłszy mnie zawołał:

— Ach! dobry Joachimie, jak to szczęśliwie, żeś do nas przyszedł, chciałem ci właśnie zaproponować, byś towarzyszył Róży w zamierzonej przejażdżce po jeziorze, bo ja nie mam czasu, jak widzisz jesteśmy zajęci.

— Rzeczywiście byli wszyscy bardzo zajęci, rozgorączkowani nawet grą, ale zajęcie tego rodzaju nie mogło usprawiedliwić go w oczach żony, więc skorzystałem z tego wstępu, by się do niego przysunąć. — Henryku! wyrzekłem po cichu, lepiejbyś zrobił, żebyś sam to powiedział twojej żonie.

Ziewnął i zdawał się namyślać nad tem, co mu uczynić wypadało, w głębi ducha czuł zapewne, że należały się Róży od niego jakieś pozorne względy, które zaniedbywał, lecz jak zwykle lenistwo wzięło górę.

— Zmiłuj się, wyręcz mnie powiedział, nie odwracając oczów od kart, które ciągnął ktoś koło niego, sam widzisz, że teraz nie mogę.

Zbliżyłem się do niego bardziej jeszcze.

— Mam ci coś ważnego powiedzieć szepnąłem.

Jakkolwiek było mu to nie na rękę, powstał od razu, poprawił ubranie i nie mówiąc — wyszedł ze mną.

Udaliśmy się obadwaj w cienisty szpaler, prowadzący do parku; wonna atmosfera ogrodu kontrastowała dziwnie z zadymionym pokojem, który opuściliśmy przed chwilą; ja odetchnąłem pełną piersią, ale on nie zdawał się czuć tego; widocznie pilno mu było wrócić do zielonego stolika, który miłszym był oczom jego, niż barwy drzew i trawników.

— I czegoż chciałeś? — zapytał zatrzymując się nagle, widząc, że ja szedłem coraz dalej.

— Chciałem ci pokazać coś, na co spojrzeć musisz, odparłem.

— A czy to bardzo ciekawe? — wyrzekł pół żartem, ociągając się widocznie, czy nie możnaby to na później odłożyć?

Spojrzałem na niego poważnie.

— Osądzisz sam — wyrzekłem.

— Żarty na bok, powiedz mi, o co tu chodzi?

— Chodzi o twoją żonę.

— O Różę? — powtórzył niecierpliwie, — cóż się stało, czy zachorowała nagle.

— Nie, ale ty powinienbyś więcej uważać na nią.

Te ostatnie słowa wymówiłem z przyciskiem, który zwrócił szczególną uwagę Henryka.

— Czegoż chce Róża, wyrzekł niedbale, jakaż to ważna sprawa zamąciła jej pogodę.

— Pogoda jej pierzchała od dawna, odparłem, — tylko twoje oczy nie widzą tego, że ona jest smutną i cierpiącą.

Henryk zachmurzył się widocznie.

— Widzę ja to dobrze, wyrzekł, ale przyznam ci się, Róża jest tak dziwaczną, tak dziecinną, że ja nie jestem w stanie zaradzić jej przywidzeniom.

— Róża była dzieckiem, gdyś się z nią żenił, wyrzekłem z tłumioném oburzeniem, więc powinieneś mieć z nią cierpliwość, znosić przywidzenia, jak je nazywasz, rozświecać wątpliwości, być jej opiekunem i doradcą, zanim z dziecka stanie się kobietą.

Były to rzeczy tak logiczne, iż nie zdawało mi się, by ktoś mógł im zaprzeczyć, a jednak Henryk zamiast odpowiedzi wybuchnął śmiechem.

— Przyznam ci się, wyrzekł, iż to są obowiązki, o których mi się nigdy nie śniło. — Róża jest egzaltowaną, Bóg wie nie czego żąda odemnie, to chce bym bez niej nie ruszał się z domu, to gniewa się na gry i zabawy nasze, obraża się, gdy się z niej uśmiechnąć poważę i chce, bym wszystkie jej marzenia brał na se-

ryo i postępował jak jaki błędny rycerz. Na honor, nie słyshałem nic tak nierozsądnego.

— Ależ zmiłuj się, bądźże sprawiedliwym, Henryku, przypomnij sobie, iż ostatnia rzecz, której społeczeństwo wymaga od panien dobrze wychowanych, to rozsądek; więc gdyby twoja żona mijala się z nim czasami, to wcale nie jest jej wina, wszakże nikt nie wskazał jej dotąd drogi właściwej, nikt nie zajął się rozświetleniem tej strasznej różnicy, jaką co chwila znajdować musi pomiędzy tem, co mówiono jej dotąd, a co widzi w koło siebie.

Henryk uśmiechnął się pogardliwie.

— Alboż ona myśli tak głęboko — zapytał naiwnie, prawie przestraszony tem, co mu napomykałem.

— Ja sądzę, że myśli, gdyż inaczej to co posiada, wystarczyłoby jej zupełnie.

Mąż uderzył ręką po czole, na wpół ze zdziwienia, na wpół z rozpacz.

— Ty się mylisz chyba.

Wstrząsnąłem głową.

— Mówię to z przekonania — odparłem.

— Ktoby się tego był po Rózi spodziewał — szepnął sam do siebie, bo myśli tej wstydził się widać przedemną, ale po chwili namysłu dodał głośno.

— I cóż ja na to poradzę, nie mogę przecież być nauczycielem mej żony.

Wyglądał tak pociesznie w swoim zakłopotaniu, iż rozśmiałem się mimowoli.

— Kto bierze dziecko za żonę, powinienby się przygotować na tę ewentualność, odparłem jednak sentencyonalnie.

— Ależ zmiłuj się — przerwał mi zwykłym swoim argumentem Henryk — przecież wszyscy tak robią; powiedz mi w czem moje postępowanie wyróżnia się od innych, i dla czego ja jeden mam za nie pokutować

Te słowa zniecierpliwily mnie w końcu.

— Być może — wyrzekłem — iż nieraz na tem źle wychodzę; być może, iż potrzeby jej i żądania różnią się od twoich.

Nastala chwila milczenia, w której targal niecierpliwie wasy, nie chcąc przyjąć moich rozumowań, acz czując w głębi ducha ich słusność.

— Więc czegoż w końcu chce Różia — zapytał.

— Ja tego nie wiem — wyrzekłem — i sądzę, że ty jeden masz prawo uczynić jej to pytanie.

— Prawo, prawo, powtórzył gniewnie, z kądze zaraz te wielkie słowa, ot oddalbyś mi wielką przysługę, gdybyś to na mojem miejscu uczynił.

— A ja sądzę, że żartujesz Henryku, lub nie zastanowiłeś się nad tem, co mówisz, pomiędzy wasz stosunek nikt inny wmięszać się nie powinien.

— Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ziewnął i przeciągnął się.

— Ty jak widzę bierzesz Różę i jej kaprysy na seryo, — bądź spokojnym, nie trzeba na to uważać, to przejdzie samo.

Widocznie kręciliśmy się w kole bez wyjścia, daremnie wskazywałem mu konieczne obowiązki, jakie przyjął na siebie, zawierając to lekkomyślne małżeństwo, on nie zastanowił się nad nimi, a teraz odrzucał je stanowczo.

Próbowałem raz jeszcze przemówić do jego rozsądku, do tego zmysłu sprawiedliwości, który każdy człowiek posiada.

— Ależ ty powinienes Henryku wyrozumieć ją koniecznie, spełnić słuszne żądania i przedstawić nierozsądek innych.

Pomimo wszystko, posiadałem wielki wpływ na dawnego ucznia, więc narzekając na śmiertelne nudy, jakie mu sprawiamy, ja i żona zarówno, poszedł ze mną, wdychając za rozkoszami zielonego stolika.

Róża siedziała w tem samem miejscu, gdzie ją zostawił, w téjże samej postawie, wyrażającej tak doskonałe zniechęcenie i smutek. Zatrzymałem za drzewami Henryka i wskazałem mu ją w milczeniu.

Widok ten sprawił na mnie bolesne wrażenie, nieruchomość téj młodej, żywój istoty była wymownym dowodem cierpienia; cierpienie to mogło mieć dziecinne powody, przecież nie mniej było realne, ale on do-



tknięty w osobistych przyjemnościach i spokoju swoim, nie podzielił tego uczucia, z piersi jego wydobyło się westchnienie tłumionego gniewu. Nie było to wcale pojednawcze usposobienie, jakiego pragnąłem, ale nie było w mocy mojej go przemienić. Henryk należał do tego pospolitego rodzaju ludzi, dobrych zawsze, gdy nie chodzi o to, co im osobiście sprawić może przykrość lub szkodę, ale w takich razach nieubłaganych dla cudzego cierpienia, więc szepnąwszy mi tylko „zaczekaj tu na mnie,“ zbliżył się do żony.

Tym razem usłyszała ona kroki jego i podniosła pochyloną główkę. Ale skoro zobaczyła Henryka, wzrok jej się rozjaśnił, twarz ożywiła rumieńcem, on jednak nie zważał na to, i pomimo tych jawnych oznak miłości, przystąpił do niej chmurny i zagniewany.

Róża znać dobrze znała spojrzenie jego, bo przelotny promień wesela zagasł w jej oczach, i zamiast przemówić pierwsza, czekała, co on powie.

Nie wiem, czy Henryk zauważył to wszystko, był on może tak zajęty sobą, że odcienia jej uczuć, nie dostrzeżonemi były przez niego.

— Cóż tu robisz sama jedna Róziu? zapytał tonem postrym chociaż widocznie usiłował to brzmienie złago-dzić.

— Ja — ja nie wiem, odparła zmieszana.

Roześmiał się szyderczo.

— Trzeba być prawdziwem dzieckiem, nie umiejącem wcale żyć z ludźmi, by porzucać gości i kryć się w zaroślach; pamiętajże przecie, iż masz obowiązki jako gospodyni domu.

Te słowa ma się rozumieć nie wywołały innej odpowiedzi prócz łez na twarzy Róży; wyraźnie pojednawcze usiłowania moje względem młodej pary, okazały się niefortunne. Henryk usłyszawszy, iż obowiązkiem jego jest być mentorem żony, brał tę rolę dosłownie i kareił ją jak niegrzeczne dziecko. Łzy jej zamiast go zmiękczyć rozgniewały bardziej jeszcze.

— I czegoż płaczesz, zawołał, tego tylko brakowało, by wszyscy zobaczyli, że masz oczy czerwone, bądźcie to arcyprzyjemne dla mnie.

W naiwności swego samolubstwa, nie pomyślał nawet, że to byłoby dla niej jeszcze boleśniejsem.

Ona też płakała ciągle.

— Na miłość boską Róziu, powiedz mi przynajmniej, cóż to za tragedia, wyrzekł mąż przyprowadzony do ostateczności.

— Henryku, nie dobrym jesteś dla mnie, szepnęła żona wśród łkania.

— Nie dobrym, nie dobrym, powtórzył szorstko, ależ ty zniecierpliwilabyś anioła.

Henryk wypowiedział to z taką mocą przekonania, jak gdyby rzeczywiście był aniołem, we własnym przekonaniu, nie wiem czy żona uwierzyła mu na słowo, w każdym razie to zapewnienie, bynajmniej jej nie uspokoiło i przez chwile słyszałem tylko jej płacz wstrzymywany.

— Na honor! to już nie do zniesienia, zawołał mąż, chciałbym w końcu wiedzieć, o co tu chodzi.

W każdej dręczonej istocie, nadchodzi wreszcie chwila, w której oburzy się niesprawiedliwością doznaną, to stało się i z Różą.

— Ja nie wiem, odpowiedziała dumnie podnosząc głowę, siedziałam tu spokojnie, a ty przyszedłeś z wymówkami i gniewem, których nie rozumiem.

Ale to harde tłumaczenie podburzyło tylko gniew jego.

— Powinnaś wiedzieć — odparł — że miejsce twoje nie było tutaj, że te niewczesne smutki, melancholie, marzenia, nie mają sensu i wzbudzają tylko śmiech ludzki.

Zabierało się nie żartem na scenę małżeńską, ale młoda kobieta na tym polu nie mogła dotrwać mężowi; przelotna energia jej przeszła i jak dziecko złajane spuściła głowę, wylewając nowych łez strumienie; nie wiem jak długo trwać mogło to wzajemne położenie, gdy ja, com był niewinnym sprawcą złego, kilkakrotnym chrząkaniem dałem poznać swoją obecność; Henryk znać zapomniał o tym, że zostawił mnie za szpalerem, lub też nie krępował się dla starego przyjaciela, ale Róża

stała cała w płomieniach i odwróciła się nieznacznie chcąc ukryć zapłakane oczy.

— Henryku! — wołałem z daleka — Henryku! potrzebują ciebie.

Henrykowi też nastęczyło to dobrą sposobność wycofania się z honorem z tej sceny i uchwycił ją pośpiesznie.

Naturalnie był zły na siebie i drugich, jak zwykle każdy co niestosownie postąpi. Znać zrozumiał, że nikt go nie szukał ani potrzebował, bo zamiast powrócić do towarzystwa, zapuścił się w przeciwną stronę parku, gryząc w ustach zagaste cygaro. Szedłem przy nim w milczeniu, czekając, aż pierwszy przemówi.

— Doprawdy Joachimie — wyrzekł po długiej chwili — widzę, że nie umiem wcale mówić z kobietami.

— Przyznaję — odparłem — że osobliwym sposobem chcesz zdobyć cudze zaufanie, i nie dziwię się, że go nie zdobywasz.

Spojrzał na mnie badawczo, zawstydzony niewczesną porywcznością swoją.

— Ależ te łzy bez przyczyny są nieznośne — rzekł.

— A jak wiesz, iż są bez przyczyny — zapytałem z przyciskiem — czy dowiedziałaś się, dla czego płakała?

— Byłem rozgniewany, to prawda.

— Wiem o tem — odrzekł — ale to nie wystarczy.

Zrozumiał zapewne myśl moją, bo targał niecierpliwie wąsy.

— Któż się mógł spodziewać — wyrzekł usprawiedliwiając się niby — podobnych rzeczy nie pojmuję zupełnie, w czem zawiniłem, dla czego Róża uwzięła się koniecznie zatruć mnie i sobie przyjemne życie, jakie prowadzimy.

— Były to wyrazy tak głęboko nacechowane, tem naiwnem samolubstwem, stanowiącém tło charakteru Henryka, że uśmiechnąłem się mimowolnie.

— Widać, odparłem, że to życie tak przyjemne dla ciebie, nie wydaje się takim twojej żonie.

— To nie podobna! zawołał, czegoż ona może żądać więcej, czegoż się spodziewała?

Patrzył na mnie, jak gdybym ja był w stanie rozwiązać mu ten problemat.

— Na nieszczęście odpowiedziałem, nie zapytałeś jej o to nigdy.

— Bo jakżeż mógłem przewidzieć, że to, co zadowalnia wszystkie kobiety, jej właśnie się nie podoba.

Henryk powracał do ulubionego swego dowodzenia; wyraźnie w ludzkości nie przypuszczał wyjątków — a przynajmniej tego nieszczęścia, by wyjątkiem była jego własna żona. W desperacyi jego było coś głęboko komicznego, a jednak jak zwykle na świecie, komicizm przechodził w tragiczność, człowiek ten nie uwzględniający innych myśli i uczuć, jak swoje własne, nie pojmujący innych potrzeb nad ogólną miarę, należał do owych typowych postaci, pojawiających się w komedyi, złe następstwa tych komicznych pojęć, okazywały się opłakanymi w rezultatach, były już nieszczęściem dla drugich, a może w przyszłości i dla niego bolesnemi być mogły — był to więc odwieczny dramat życia złożony z łez i śmiechu.

— Słyszałem wprawdzie, mówił dalej mąż zafrasowany, o rozmaitych kobiecych kaprysach, ale czyż mógłem się spodziewać tego po Rózi, czyż mógłem myśleć, że ten los mnie spotka, mnie.

Przycisk położony na to słowo, znaczył wyraźnie dobrą opinię, jaką miał o sobie, przynajmniej we wszystkich kwestyach, dotyczących się domowego pożycia.

Ona była tak dobrze wychowaną, tak wzorową, tak na swoim miejscu, ciągnął dalej żałośnie.

Mógłem wprawdzie raz jeszcze uczynić uwagę, że tak zwane dobre wychowanie panien, zasadza się na starannem zatarciu wszystkich cech charakteru, a przynajmniej na ukrywaniu ich zupełnem, ale nie była to pora do psychicznych uwag, zastanawiałem się tylko mimowolnie nad szerokiem znaczeniém wyrazów, dla czego uczucia jednych uprzywilejowanych ludzi, były sprawiedliwemi żądaniem tylko; dla czego dla innych, przybierały nazwę kaprysów.

Kto zasługiwał tutaj na miano dziecka? czy człowiek mający pretensye, by jego gusta były gustami wszystkich, a jego przyjemności, przyjemnościami całego świata, czy też młoda kobieta, której nikt nie uwzględnił uczuć, ni chęci, i która uważana jako nierozsądne dziecko, kryła się ze smutkiem swoim. Tymczasem Henryk ciągnął dalej narzekania swoje.

Kobiety, powtarzał, kobiety, więc na prawdę nikt im dogodzić nie potrafi.

Tutaj musiałem zrobić uwagę, że dotąd on nie starał się wcale dogodzić żonie, a nawet nie zapytał czego ona pragnęła. Ta uwaga moja, w obec rozdrażnienia Henryka, była głosem wołającego na puszczy, więc wysłuchać musiałem owych wiecznych stereotypowych frazesów, potępiających kobiety, powtarzanych serwo i żartem przez wszystkich, jak gdyby kobiety były temu winne, że chowane w nieświadomości, chronione od zdrowego myślenia, uważane od dzieciństwa za lalki, których największą zaletą jest piękność, trzymane w stosunkowej niewoli, mają często wszystkie wady będące koniecznym wynikiem podobnej edukacji. — Jednak nie tłumaczyłem niekonsekwencji tych skarg Henrykowi, bo to nie mogło wpłynąć na obecne nieporozumienie, pozwoliłem mu nawet dowodzić, że jest najnieszczęśliwszym z ludzi, dotkniętym wyjątkowym ciosem, chociaż to nic a nie nie zgadzało się z maksymą, tylko co wygłoszoną, że wszystkie kobiety są sobie podobne.

Sluchałem go z wzorową cierpliwością, aż w końcu gdy wyczerpały się jego skargi, nie mogłem wstrzymać się od powiedzenia:

— W istocie, tragiczność twego losu przewyższa wszystko, co wyobrazić sobie można. Patrz, ja nie znajduję łez, by go oplakać.

Wówczas dopiero spostrzegł, iż żartowałem sobie z niego.

— Śmieć się jak chcesz, mówił, ale nie mniej to wszystko jest smutnym i nieprzewidzianym.

Korzystając z tego usposobienia, starałem mu się dowieść, że porozumienie się dwojga ludzi dotąd zu-

pełnie obcych sobie, wymaga pewnej pracy i dobrej woli z obu stron, a szczególnie też z tej, która jako starsza i doświadczeńsza, powinna mieć nieraz rozsądku za dwoje; wprawdzie przyjął w teorii moją zasadę, ale praca, dobra wola i cierpliwość, były to przymioty zbyt dalekie od niego, by teoria ta kiedykolwiek miała być w praktykę wprowadzoną, więc ulżywszy sobie gniewem i narzekaniem, powrócił do swego towarzystwa i wkrótce widziałem, że w rozkoszach i wzruszeniach gry, zapomniał o swych troskach.

Przy obiedzie, Róża ukazała się ze starannie zartartem śladami też i wszystko w domu szło dalej zwykłym trybem, zdawało się, że ta mała scena przeszła bez śladu, pożycie młodej pary odzyskało tę względność jaką mają prawie wszystkie domowe stosunki, dla tych, co nie zagląдают w ich istotę.

Henryk swoim zwyczajem prowadził wesole życie bez najmniejszej uwagi na to, co się działo wokoło, otoczony tą szczęśliwą nieświadomością cudzych uczuć, cechującą pewne indywidualności, których nie prócz nich samych nie zajmuje na świecie.

Róża coraz bardziej zamykała się w sobie, unikając sarkazmów męża, nie pokazywała mu uczuć swoich, a jeśli płakała, czyniła to tak skrycie, że nie domyślał się tego wcale, przecież jakiś duchowy proces odbywał się w młodej kobiecie. Była ona zmienioną, jak istota szukająca daremnie równowagi swojej — raz rzucała się w wir świata z namiętnym szaleńcem, jakby upoić się chciała rozkoszami jego, to znów smutna, zamysłona, zdawała się badać problemata życia i szukać rozwiązania zagadki bytu, której nikt nie rozświetlił przed nią. Widocznie myśl jej wybiegała po za obręb tych sakramentalnych form, tak zupełnie wystarczających Henrykowi i rozdział wzrastał pomiędzy małżonkami, pokryty pozorem tej zdawkowej miłości, jaką okazywali sobie z przyzwoitości. Czy tak miało pozostać zawsze?

Lękałem się zadawać sobie to pytanie, bo odpowiedź zdawała nam się zbyt groźną, widziałem w ciemnym powietrzu tego rozkosznego wiejskiego ustronia

unoszące się złowrogie widma, a nie było w mocy mojej ich zażegnać, daremnie było odzywać się do Henryka, Róży nie śmiałem o nie zapytać — widziałem tylko na jej jasnym czole chmury zwiastujące wewnętrzne burze, widziałem w jej oczach błyskawice tęsknoty, gniewu, żalu i pełno nieujętych uczuć; ale może te uczucia nie miały jeszcze nazwy w jej myśli, lękałem się, by przez moje niewczesne dotknięcie nie sformułowały się jakim bądź słowem dla niej zrozumiałem. Na cierpienia jej nie było lekarstwa, a przynajmniej mnie nie było wolno wskazać go, wbrew sprawiedliwości. — Świat i ludzie uświęcili jej nieszczęście i nazwali je nieodzownem.

Istnieją wprawdzie wyżyny myśli, na które schronić się mogą istoty zawiedzione w słusznych nadziejach, tam są czyste rozkosze, do których mają prawo wydziedziczeni tej ziemi — ale wyżyny te są niedostępne dla niedoświadczonych serc i niezahartowanych duchów, droga ku nim ciernista, niebezpieczna, — ja nie wiedziałem czy ona zdolną była dojść do nich, osiąść i ocenić i czy one starczyłyby mogły tej pięknej córce ziemi, wychowanej w ubóstwianiu martwych form, świętych pozorów i tego wszystkiego co błyszczy. Ona nie domyślała się pewno tych światów, ukrytych w głębi własnego ducha, do których wrota utworzyć tylko może wielkie cierpienie i niezmordowane myśli, jednak widocznie szukała dróg swoich, sama jedna bez przewodnika, czyż godziło się ją tak zostawić?

Przychodziło mi czasami na myśl, czy nie tęskniła skrycie za tym towarzyszem dzieciństwa, który kochał ją tak zupełnie, tak wytrwale, ale nie mogłem dopatrzeć w niej śladu uczucia, któreby mogło mi służyć za bussole do zbadania tego ducha zamkniętego w sobie, rwącego się z niskich sfer, w których przebywał dotąd.

O Adamie od ślubu Róży nie słyszałem wcale, choć blisko dwa lata upłynęły od dnia owego, widocznie przecież nie stało mu się nic złego, bo chociaż on dość mało obchodził rodzinę, przecież byłbym zasłyszał coś o nim. Nieraz jednak ten piękny, smutny,

energiczny chłopiec przychodził mi na myśl, i czyniłem sobie pytanie, jaki człowiek zrobi się z tego szlachetnego dziecka, co zostawi po za sobą w walce życia, w codziennem zetknięciu ze światem, co uniesie w przyszłość, jakie zamrą, jakie rozwiną się w nim pierwiastki. Nie wiedziałem czy spotkam go kiedykolwiek, nie wiedziałem nawet czy tego pragnę, ale ta niecodzienna postać wraziła się w pamięć moją i odbijała od powszednich otaczających mnie typów.

Henryk coraz częściej wyjeżdżał z domu, w którym, ile razy był bez gości, nudził się straszliwie; — młoda kobieta zostawała samą i nieraz w długie zimowe wieczory zasiadaliśmy we dwoje przy kominku, ona zwykle milczała wlepiając oczy w płomień, ja starałem się ją rozrywać daremnie; potoczna rozmowa pomiędzy nami rwała się zwykle, i każde z nas zapadało w krainę myśli czy marzeń, niedostępną dla drugiego. Czulem, że nie mogłem dla niej być towarzyszem dostatecznym, przecież była mi wdzięczną za te próżne usiłowania; obejście jej było coraz serdeczniejsze. — Tak siedzieliśmy jednego wieczora, gdy młoda kobieta zapytała mnie znienacka:

— Panie Joachimie, na co ja żyję?

Podniosłem głowę i przez chwilę patrzyłem na nią zdumiony. Pytanie było tego rodzaju, iż niepodobna mi było odpowiedzieć odrazu; nie wiedziałem czy przez żart dziecięcy stawia mi potoczną kwestyę w ten sposób, czy też było to badanie myślącej istoty.

— Dla czego mnie pani o to pytasz — wyrzekłem oględnie.

— Bo mi to często przychodzi do głowy — odparła z prostotą.

— Ja sędzę — odpowiedziałem po chwili namysłu — iż odebraliśmy dar życia, by doskonalić siebie i drugich i osiągnąć szczęście, uszczęśliwiając w zamian.

— Ja nie widzę wcale — pochwyciła Róża — bym kogokolwiek uczyniła lepszym lub szczęśliwszym, sama też nie jestem ani dobrą ani szczęśliwą.

— Jesteś pani dobrą — zawołałem — zostawiając



na boku drugą kwestyę szczęścia, którą uważałem za zbyt drażliwą.

Ale Róża wstrząsnęła głową.

— Dobroć — wyrzekła — to musi być coś więcej niż owa bierna łagodność, często pochodząca z lenistwa; przynajmniej ja ją tak wyobrażam sobie. Nie, nie, mylisz się, panie Joachimie, ja weale dobrą nie jestem.

Mówiła to z głębokim przekonaniem, jak gdyby poczuwała się do jakich win ukrytych.

— W każdym razie — odparłem śmiejąc się z jej szczerości — jeśli łagodność nie jest tym samym co dobroć, zawsze jednak jest to wielki przymiot.

— A kto panu powiedział — zagadnęła z żywością — że ja jestem łagodną? czy mam się gwałcić na pannę służącą, że mnie źle czesze, na lokaja, że prędko nie przyjdzie; przyznam się, nie mam w tym zasługi żadnej — takie rzeczy mało mnie obchodzą.

Potrącała sama nie wiedząc o tym, głębokie filozoficzne kwestye, zasługi, cnoty, ale nie chciałem zatrzymywać ją nad temi niezbadanemi pytaniami, widocznie rozmowa ta zmierzała do czegoś, starałem się więc sprowadzić ją znowu na właściwe pole.

— Więc dajmy na to, wyrzekłem z uśmiechem, że pani dobrą nie jesteś.

— Nie jestem, z pewnością nie jestem, potwierdziła prawie uradowana, że potrafiła dowieść mi tego faktu.

— Więc odparłem znowu, powinnaś się pani starać nabyć to właśnie, czego ci braknie.

— Oh! zawołała rezolutnie, ja nie to powiedzieć chciałam.

— A cóż takiego? spytałem zdziwiony.

— Pan mówiłeś, przerwała mi z żywością, iż człowiek żyje na to, by być dobrym i szczęśliwym, otóż ja nie jestem ani jednym ani drugim.

Była to szczególna rozmowa.

— A przytém dodała, życie to rzecz bardzo nudna, żyję już lat dwadzieścia, jestem zdrową, silną, więc przypuśćmy, że leży przedemną ze czterdzieści lat je-

szcze i mam tak wiecznie ubierać się, oddawać wizyty, przyjmować gości, tańczyć w zimie, w lecie konno jeździć, wiecznie jednostajnie, dwa lata temu bawiło mnie to bardzo, przeszłego roku mniej daleko, a dzisiaj to już dreszcz mnie bierze na samo wspomnienie zabawy. I zapytuję siebie, co z tego przyjdzie mnie lub drugim?

— Może chciałabyś pani zmiany jakiej, podróży.

Wzruszyła ramionami z widoczną niecierpliwością.

— Ah! zawołała, przeszłego roku jeździliśmy przecie do modnych wód przez trzy miesiące i było to zawsze jedno i toż samo.

Słuchałem przerażony, myśli jej przechodziły przewidywania moje, ale ona nie zważając na to, mówiła dalej.

— Wszyscy chodzą ubrani w jeden sposób, i powtarzają przez kilka godzin niezmordowanie, jedne i też same frazesa, a co gorsza, nigdy nie mówią tego, co myślą i postępują wprost przeciwnie z wygłoszonymi zasadami.

— I jakże pani to spostrzegłaś wyrzekłem zdziwiony.

Róża uśmiechnęła się lekko.

— Sądysz pan, że jestem takim dzieckiem, odparła, zem tego zobaczyć nie potrafiła, to wcale trudnym nie jest; wśród ludzi mówiłam mało, ale za to uważałam dobrze. Do dnia ślubu świat był dla mnie zasłonięty, zupełnie żyłam tymczasowo z dnia na dzień, oczekując tylko na tego, co mnie wprowadzi wreszcie w tę arenę, której przelotne pochwycone błyski, zaciękały mi niezmiernie.

Wyobrażałam sobie, że wszystko jest inaczej, sądziłam, że zniknie czezość i nuda, panujące w królestwie panięńskim, wierzyłam, że będę użyteczną, dobrą, szczęśliwą, jak to pan mówił.

Spojrzała na mnie promiennymi oczyma, a z piersi jej wyrwało się stłumione westchnienie, jakby nie mogła przypomnieć sobie minionych marzeń bez bólu. — Widocznie w jej pojęciu wyraz dobra miał jakieś o-

kreślone znaczenie, różne bardzo od tego, jakie nadaje mu się zwykle.

— Więc zapytuję siebie, znowu wyrzekła, wracając uparcie do pierwszego pytania, dla czego ja żyję?

I te słowa wymawiała na seryo, w całej prostocie ducha, piękna, młoda kobieta, której inteligencya na próżno szukała celu dla siebie. Biada społeczeństwu, w którego łonie takie pytania pozostają nierozwiązane, biada jednostkom, które stawiać je są zmuszone. — Teraz ona domagała się odpowiedzi i miała do tego prawo.

— Pani, wyrzekłem, wpatrując się w nią z prawdziwem ojcowskiem uczuciem; powiedz mi, czy od czasu jak dojrzałaś myślą, nie doświadczyłaś nigdy, chociaż chwili prawdziwego zachwytu, zapomnienia siebie, słowem szczęścia.

Zamyśliła się głęboko.

— Tak, wyrzekła, miałam czasem takie momenta, ale one mijały szybko, były oparte na złudzeniach, które pierzchły przy bliższem spojrzeniu; zdawało mi się chwilami, że były indywidua, wyróżniające się od ogółu głębszą myślą, lub szerszém uczuciem i zwracałam się ku nim zaciekawiona, zajęta, ale daremnie, musiałam dostrzedz zawsze, że to był tylko blichtr nieco odmienny od tego, jaki używają wszyscy; a w gruncie wszędzie znajdowałam jednaką nicość, próżnię i zarozumienie.

Te dziwne słowa, dziwniejsze jeszcze poglądy w tak młodej, mało doświadczonej istocie, dowodziły nadzwyczaj bystrego spostrzegawczego daru i siły rozumowania, ale nie odpowiadały w zupełności na pytanie moje, było w nich raczój coś napomkniętego, niż wypowiedzianego wyraźnie.

— Jak to, zapytałam, nie rozumiem pani, wszak mówiliśmy o szczęściu?

— Tak, powtórzyła, ja czułam się szczęśliwą, sądząc, że moje myśli i uczucia znajdują odbicie w drugiej indywidualności, a nie są dziwactwem jakimś, właściwem memu tylko usposobieniu.

Było to bardzo mało i bardzo wiele razem, wi-

docznie serce jej pragnęło współczucia, którego nie znalazła w małżeńskiem pożyciu, pragnęła tego, co było jej wzbronionem — kochać i być kochaną a nie umiała nawet nazwać pragnień swoich.

— Dla czegoż! zawolałem, mimowolnie prawie, przerażony tém półwyznaniem, dla czegoż nie szukałaś pani tego w mężu?

— W Henryku, pochwyciła i rozśmiała się serdecznie, jak gdyby samo połączenie jego imienia z marnieniami, o których mówiła, wydawało jej się komicznem. — Po chwili jednakże zrozumiała, że to, co na pierwszy rzut oka wzbudzało jej śmiech, było w gruncie rzeczy bardzo bolesną rzeczywistością i odpowiedziała mi, siłąc się na spokojność.

— Nie mogłam tego szukać w Henryku, bo kiedy go poznałam, nie miałam zgoła żadnego pojęcia o świecie i ludziach, on mówił mi, że mnie kocha, a mnie się zdawało, że nie potrzebuję pytać o więcej, bo słowo to wszystkie inne zawiera w sobie, uwierzyłam mu od razu, bo nie miałam żadnej przyczyny wątpić. Nie dziwiła mnie jego miłość, bo ja także kochałam go, on wydawał mi się najpiękniejszym, najmędrszym, najlepszym, i sądziłam, że ja także powinnam mu być ideałem, jakim on był dla mnie.

Nie porównywałam go z nikim, bo jakżeż mogłam porównywać; ta myśl nie przeszła mi nawet przez głowę, zresztą miłość jego cieszyła wszystkich w domu, więc jakżeż ja mogłam sobie wyobrazić, że pan Jan, Piotr lub Paweł, na jego miejscu mówiliby to samo, co on mówił, czynili co on czynił i kochali jak on kochał.

Te ostatnie słowa wypowiedziała ciszej, ale w głosie jej nie było goryczy, były to smutne fakta, za które nie miała żalu do nikogo, nawet do rodziców i męża, wszakże fakta te działy się codziennie w świecie, do którego należała, wszakże los jej nie był wyjątkowym, ona nie buntowała się przeciw swojej doli, nie skarżyła na cierpienie, nie rozczułała nad własnem położeniem, tylko zapytywała w prostocie ducha, na co zdało się podobne życie. Co do Henryka nie miała już za-

dnęj illuzyi, osądziła ten charakter w całej nicości jego, a on różnił się tylko w jej myśli od pana Jana, Piotra i Pawła tą mało znaczącą okolicznością, że był jej mężem.

Nie mogłem ubolewać nad nim, los ten sam sobie zgotował, z wytrwałością godną lepszej sprawy, a cała sympatya moja przeniosła się na tę młodą kobietę, niewinną ofiarę fałszywego wychowania i fałszywych pojęć, której życie miało być tém boleśnieszce, że siłą inteligencyi wybiegała daleko po za koło utartych formuł i idei, w które skrępowano jej życie. — Jeśli w życiu tém miały być w przyszłości walki, błędy i wypadki, wina nie powinna była spadać na nią, bo przewidywałem aż nadto, że nie zachowa zawsze tej biernej rezygnacyi, z jaką teraz odzywała się do mnie.

Chwilę trwało pomiędzy nami milczenie; ona zdawała się zatopioną w wywołanych pamiątkach i jakby zmęczona uczynionem wysileniem, a ja myślałem, jakimby puklerzem uzbroić ją przeciw pokusom życia. Ona tak mało mówiła o sobie, a jednak, zdawało mi się, że w jej głosie drgały jakieś przepaście uczuć tłumionych, nie powołanych do bytu, nie znanych może jej samej. Teraz pochyliła głowę na poręczu fotelu i spokojnie spoglądała w migające płomienie, których blask padał na jej śliczne rysy.

— Więc pytam raz jeszcze — wyrzekła podnosząc na mnie swoje wielkie ciemne oczy — po co ja żyję?

— Czy źle pani tak bardzo? spytałem.

Róża zasepiła się. Pytanie moje było wyraźne — może zdawało jej się za wyraźne nawet.

— Bardzo źle mi nie jest — odparła po chwili namysłu — tylko nudno mi i smutno, ale wszak to nie jest odpowiedzią na to, co ja mówiłam.

— Odpowiedziałem ci raz pani tém wielkiem ogólnem słowem, które każdy dla siebie wyraźniej sformułować musi, użyteczność i szczęście, to cel bytu, te dwa wyrazy są jednoznaczne.

— Ale wskaż mi pan przynajmniej jakim sposobem użyteczną być mogę — zawołała zapalając się stopniowo.

— Obejrzyj się pani w koło — odparłem — na każdym kroku spotkać musisz ciemnotę, ból, nędzę, gdzie zobaczysz łzy staraj się je otrzeć, gdzie nieświadomość staraj się ją oświecić, a życie nie wyda ci się z pewnością czczem ani nudnem. Człowiek, któremu choć raz zdarzyło się pomódz komuś, świadomie i rozmyślnie, sam w ciężkiej chwili potrafi znaleźć pociechę w tém wspomnieniu. Solidarność łączy ludzi niewidzialnym, ale nierozzerwalnym węzłem i objawia się tysiącznemi sposoby.

Tak samo jak barbarzyństwo i fanatyzm ludów, mieszkających na drugiej półkuli, sprowadza na nas kłęski zarazy; jak niepoznanie prostych zasad ekonomicznych w masach wzrusza społeczeństwo i rzuca je w straszliwe katastrofy, tak samo łza spływa błogosławieństwem na tych, co ją otarli i wlewa w serce spokój, mięztwo i siłę.

Mówiłem do niej poważnie, zapominając że mam do czynienia z kobietą, dla której to wszystko było obcym zupełnie, której nie wskazano nigdy moralnych praw rządzących światem; ona jednak słuchała mnie z dziwnym zajęciem, ale po chwili spuściła głowę z rodzajem zniechęcenia.

— Ach! wyrzekła, pan mówisz piękne rzeczy, czuję, że masz słusność, bo czoło twoje jest tak pogodne a wzrok taki jasny, a jednak nie mogę zrozumieć cię ze wszystkim, tak jak chciałabym to uczynić.

— W takim razie musiałem się źle wyrazić, pytaj pani a objaśnię każde słowo.

Zaczęła zadawać mi różne pytania, świadczące o dobrej woli i bystrości tej zaniedbanej inteligencji.

Rozmawialiśmy długo o tych kwestyach palących, nie rozwikłanych dla tych, co niezdolali dojrzeć tej wielkiej harmonji, rozlanej na powierzchni nieba i ziemi, odbijającej się nawet w najdzikszych sercach. Tłumaczyłem jej konieczność następstw czynów naszych, odpowiedzialność konieczną i dobroczynną, zle niszczące się siłą własną, jako następstwo błędu, jako czynnik poprawy i mówiłem długo, bo nigdy w życiu nie byłem słuchany z taką chciwością.

— Panie Joachimie, zawołała w końcu, pan jesteś szczęśliwym bardzo, że rozumiesz i wiesz to wszystko, ale jakże ja kogobądź oświecić mogę, ja co spojrzawszy dotąd w około i w samą siebie, dostrzegałam tylko zamiast tych praw cudnej jasności, które mi objawiasz, chaos zwątpienia i rozpacz.

— A teraz, nie widzisz go już pani? — wyrzekłem z uśmiechem.

— Teraz, odparła przecierając oczy, jak człowiek oślepiiony nagłym blaskiem, teraz zaczynam dopiero rozglądać się, w tym nowym świecie, w którym musisz mi pan być przewodnikiem.

— Będę nim z rozkoszą, mówiłem biorąc jej rękę.

— Powiedz mi pan tylko, zawołała z żywością właściwą sobie jakim sposobem, tyle ludzi żyje spokojnie w nieświadomości, jak znosić mogą tyle pytań nie rozwiązanych i nie zdać sobie sprawy ze wszystkich fenomenów ich otaczających? Ileż ja razy zastanawiałam się nad tem, ileż razy usypiałam zmordowana myślami, które wkoło mnie zwano próżnemi, pytając daremnie dla czego złe istnieje, dla czego życie jest tak czcze i jałowe, dla czego młodość trwa krótko, a po niej następują długie lata żalu za tem co minęło, dla czego jednym świat uśmiecha się tysiącem ponęt, a drudzy walczyć muszą z ciężką dolą, dla czego tyłu jest ludzi złych i nieszczęśliwych? Ale ja tego nikomu wypowiedzieć nie mogłam, bo śniano się lub gorszono, guwernantka mówiła mi że te myśli są grzechem, a mama, że nie mają sensu, że zamiast łamać sobie nad tem głowę, powinnam nauczyć się francuzkich wierszy, lub przygotować się do lekcji tańca, a nadewszystko stosować się do tego co robią wszyscy, i nie odzywać się broń Boże, z podobnemi rzeczami w towarzystwie, boby mi to ujmę przynieść mogło, a nawet przeszkodzić do dobrego zameęcia.

— I pani odsuwałaś te myśli?

— Nie, — tego uczynić nie mogłam, one spłoszone powracały uparcie, ale chowałam się z niemi jak z liszeczem, a słuchając mamy, doszłam do pewnego ro-

dzaju doskonałości, byłam zupełnie taką jak wszyscy, a nawet może mniej znaczącą jeszcze niż wszyscy.

Słyszając to usmiechnąłem się mimowolnie, bo przypomniałem sobie, ową pierwszą moją rozmowę z nią na balu, Róża odgadła znać to wspomnienie bo wyrzekła.

— Jaką ja się panu musiałam wydać niecznołą dawniej. Pamiętam dobrze, chciałeś pan rozmawiać ze mną na seryo, chciałeś dowiedzieć się, czy tam w głowie mojej powstała myśl jaka, prócz myśli zabawy, oh! jak ja pragnęłam wypowiedzieć ci wiele rzeczy, ale nie śmiałam, — maska nałożona przyrosła mi do twarzy i chociaż chciałam, nie umiałam być inną, niż mnie nauczono. Czulałam dobrze, jak pan odszedłeś niezadowolony i miałam ochotę rozplakać się serdecznie. Byłeś pan w prawie swoim najgorzej sądzić o mnie, a jednak nie byłam tak ograniczoną, jak ci się to zdawało i pomyślałam sobie, że dobre i złe pozory zarówno zawodzą.

— Ja powinienem był to zrozumieć, zawołałem, przejęty szczerą skruchą.

Róża roześmiała się serdecznie, z wrodzoną wesołością, która jednak od bardzo dawna znikła z jej twarzy.

— Za karę, wyrzekła, musisz mnie pan dużo pięknych rzeczy nauczyć, musisz otworzyć przedemną tajemnice natury, objaśnić mi fenomena myśli i to zaraz od jutra.

Zgodziłem się na to całym sercem, a gdym powstał by się oddalić, zegar na kominku wskazywał pierwszą po północy.

Wieczór ten zeszedł nam szybko, oboje oczekiwaliśmy Henryka, który miał dnia tego do domu powrócić. Jak zwykle jednak, oczekiwaliśmy go daremnie. Róża nie zwróciła na to uwagi, może zajęta nowymi myślami, zapomniała o nieobecności męża, może nie chciała się dzielić ze mną uczuciami, jakie to w niej wzbudzało, dość, że rozeszliśmy się wesoło, obiecując sobie zejść się wczuśnie.

I rzeczywiście rozpoczęliśmy nazajutrz szereg studyów najpotrzebniejszych, a zwykle pominiętych zupełnie w kobiecym wychowaniu. Róża miała tę naiwną



niewiadomość osób światowych niezrównaną niczem, chociaż odebrała tak zwaną staranną edukację. Wiedziała ilu królów, z jakiej dynastyi panowało w starożytnym Egipcie, znała na pamięć bajeczne dzieje Niniwy i Babilonu, znała doskonale miłostki wszystkich, bogów Olimpu, ale nie rozumiała wcale, na jakich prawach działał jej własny organizm, jakim sposobem oddychała, lub poruszała dowolnie członkami, jakie pierwiastki otaczały ją, jakie wpłynąć mogły zbawienie lub trująco.

Teraz nauka absorbowwała bogate zdolności tej wyjątkowej natury, i przez czas jakiś, Róża nie zadawała mi pytania, dla czego żyje, a co więcej, pytanie to nie wyręło się w jej oczach ni uśmiechu.

A ja zapytałem sam siebie, czy umysłowa praca mogła starczyć tej pięknej, młodej, gorącej istocie, za wszystkie rozkosze serca, czy w jej smutnym pożyciu, miała to być zbawcza przystań, chroniąca ją od burz życia?

Zabrała się ona do pracy z całą gorliwością wrodzoną swjej żywej naturze, z zupełnym oddaniem, otoczyła się książkami i zatopiła w nich całą, tak bardzo że Henryk nie zważający nigdy na zajęcia żony, musiał dostrzedz tę niespodziewaną zmianę.

Trzeba przyznać, iż nie przypadła mu ona wcale do smaku, Henryk wprawdzie zanadto był dzieckiem swego wieku, by miał otwarcie zaprzeczać użyteczności lub dostojęstwa nauki, przecież miał w duchu skrytą pogardę dla ludzi, badających zbyt ściśle pewne kwestye, w gruncie mogące bardzo mało obchodzić, szczegółliwych tego świata. Skutki rozmaitych sił, działanie czynników natury, pod różnemi względami i formą, były to dla niego rzeczy, bardzo pożyteczne może dla tych, którzy potrzebowali pracować na chleb powszedni, ale nie pojmował nigdy, dla czego ktoś, niezmużony do tego ciężką koniecznością, mógł z przyjemności trawić długie godziny, nad podobnie nudnemi przedmiotami; wydawało mu się to manją i ekscentrycznością nie do darowania, graniczącą prawie z sza-

leństwem i manję tę z przerażeniem dostrzegał we własnej żonie.

— Na miłość boską, Rózo — zapytał zastawszy ją raz jak śledziła przez mikroskop niedostrzegalne jestestwo i wodorosty, powstające w stojącej wodzie sadzawki — co ty tutaj robisz? czego szukasz z tak osobliwem zajęciem w kałuży?

Zeszedł nas tak niespodzianie, że młoda kobieta zajęta badaniem swoim nie zwróciła na to uwagi, teraz patrzyłem ciekawie co uczyni.

Nie podała mu mikroskopu, nie starała się podzielić z nim tém, co ją zachwycało, ale w milczeniu odstawiała na bok narzędzie i spojrziała na męża spokojnie.

On powiódł wzrokiem po książkach rozrzuconych w około, trochę szyderez.

— Jak widzę, zachorowałaś na uczoność — wyrzekł przez zęby — szkoda, to szkaradna choroba i wcale nie przystoi młodej i ładnej kobiecie.

Słowa te nic a nic nie zdziwiły Róży, znać zdawała sobie doskonale sprawę z odcieni charakteru Henryka, uśmiechnęła się tylko lekko końcem ust, ale w tym niedostrzegalnym prawie uśmiechu, mieścił się dla niego cały wyrok.

On jednak z zaślepieniem właściwem mężom nie zauważył tego wcale i mówił dalej.

— Że też te kobiety nigdy nie mogą być spokojne i zawsze napierają się czegoś niepotrzebnie; prawdziwie mądrym będzie kto im dogodzi; nudzą się gdy są same, nudzą ich zabawy, słowem, nudzi ich zawsze to, co jest właściwem.

Mówił to z prawdziwym gniewem, nie ukrywając wcale przed żoną nieokreślonej pogardy, jaką miał dla całego niewieściego rodu, karcąc ją jak nauczyciel czyniłby to ze źle wychowanem dzieckiem, ona jednak nie uważała za stosowne zaprotestować przeciw temu jakim bądź wyrazem, tylko twarz jej nie wyraziła ani gniewu, ani oburzenia, ani żadnego z uczuć, jakie postępowanie jego zdawało się wywoływać; słuchała go spokojnie, z najwyższą obojętnością. Widać to wszystko, co on mógł powiedzieć, znaczyło tyle, co próżny po-

dmuch wiatru. Złożyła tylko książki rozrzucone w koło, uporządkowała je starannie i odsunęła na bok, założywszy wprzód rozmaite kartki, znacząc sobie wyraźnie miejsca, gdzie jej studia przerwanemi zostały.

Mowa jego nie wywarła na niej innego wrażenia nad chwilową przerwę w zajęciu, któremu się oddawała, ale nie zadała sobie nawet pracy wytłomaczenia mu tego. — Spoglądałem na to w smutném milczeniu. — Te symptomata zupełnego rozdwojenia, nie wypowiedzianego żadném słowem, zdawały mi się stokroć groźniejsze niż otwarta kłótnia i przymówki.

Charakter Róży był szczególny, w przymusie panińskiego życia, pod okiem surowej matki, która rozciągnęła nad nią monopol myśli, wyrobiła sobie cichą stanowczość, najtrudniejszą do pokonania, przecież nie mogłem nazwać tego uporem, ze mną ona była tak łagodną, tak powolną każdej radzie, tak chętnie poddawała się kierunkowi memu, iż nie byłbym nigdy domyślił się siły, jaką posiadała ta miękka na pozór natura.

Może też i Henryk zrozumiał, że posunął się za daleko, może zaniepokoiła go milcząca protestacja żony, bo po chwili zaczął przerzucać książkę leżącą na wierzchu, z widoczną chęcią zawiązania o niej rozmowy, ale Róża nie przysłała mu w pomoc, tylko widząc, że machinalnie prostuje założone kartki, wyrzekła.

— Proszę cię nie zamyl mi miejsca, które czytałam.

Henryk popatrzył na przemian na nią i na książkę trzymaną w ręku — potem przeczytał powoli tytuł jakby nie dowierzając własnym oczom. „Botanique cryptogamique“ tytuł ten odstraszył widąc jego pojednawcze chęci, bo p.łożył ją napowrót, jakby zrażony samą powierzchownością książki, noszącej tę nazwę i milczał przez chwilę.

Róziu, wyrzekł wreszcie, już zupełnie łagodnie, czy ty to czytasz na prawdę?

— Na prawdę i na seryo odparła.

— I na cóż ci się to przydać może, zapytał z prawdziwą ciekawością.

Znowu na ustach młodej kobiety zarysował się

nieokreślony uśmiech, w którym mieściły się tysiące rzeczy, niepojętych dla Henryka.

— Na co, powtórzyła, na co?

I zamysłone oczy wlepiła w przestrzeń, jakby samej sobie dawała odpowiedź na pytanie, postawione jej przez męża.

— Doprawdy Joachimie, wyrzekł Henryk, zwracając się do mnie, pod twoim kierunkiem dziwacznie mi żona, wytłómacze jej przecie, że się to na nic nie przyda, że to co robi jest nudnym, a w końcu i śmiesznym.

— Ja tego, odparłem żartobliwie, chcąc przerwać rozmowę ich dwojga, w żaden sposób ani powiedzieć, ani przyznać nie mogę.

Ale nie tak łatwo było odwrócić uwagę Henryka od raz obranego przedmiotu.

— Czy kto może odgadnąć, ciągnął dalej melancholicznie, co mu przyszłość gotuje, czyż spodziewałem się na przykład, żeniąc się z Rózią, że zrobi się z niej sawantka.

— Tak, odparła żona z głęboką intonacją w głosie, kto wie: co go czeka? — kto odgadnie przyszłość? Mówiąc to, nie zdawała się wcale odpowiadać żartem, na słowa jego, te słowa wyrzekła sama do siebie z tajonym bólem, niby wyrzutem przeznaczeniu. — Walka wrzała może tłumiona w piersi tej kobeity, przeczuwałem, że cierpi, ale miała wolę walczyć do ostatka, nie roztkliwiała się sama nad swoim smutnym losem, tylko szukała pociechy w nauce, szukała, czemby zająć puste serce i czem rozerwać bolesne myśli. Wszakże związana małżeństwem, nieodpowiedniem uczuciom swoim była skazaną na życie całe samotności.

— Doprawdy, ty bardzo dziwną jesteś Róziu, mówił mąż, tysiące kobiet na twojem miejscu byłyby zupełnie szczęśliwe, używałyby przyjemności życia, za miast ślęczyć jak mól nad książkami.

Było w tych słowach tak zupełne zaślepienie człowieka, niezdolnego zrozumieć położenia, że zaczynał on mnie samego niecierpliwie i dziwiłem się w duchu łagodności, z jaką go Róża znosiła.

— Tak, jestem dziwną, to prawda, odrzekła trochę smutnie, wiem o tem, cóż robić, musisz już znosić mnie jaką jestem.

On nie wart był nawet w jej oczach sprzeczki i gniewu, przyznawała mu z góry słusność zupełną, byle nie być zmuszoną do dłuższej rozmowy.

Były to jednak odcienia niepodobne do pojęcia dla tego, co je wywołał, to też wyrzekł z naiwnością, cechującą go w pewnych kwestiach.

Dla czegoż? skoro przyznajesz się do dziwactwa, powinnaś się poprawić, nie prawdaż Joachimie? — Samo przyznanie się do grzechu nie wystarcza.

— Dziwactwo grzechem nie jest, dla tego ja się poprawić nie myślę, odpowiedziała żona uprzedzając moje wnięszanie się.

Było to pierwsze słowo jawnej, głośniejszej opozycji z jej strony, to też uderzyło ono Henryka, dotąd zdawało mu się rzeczą tak niepojętą, by jego żona miała pogląd swój własny i to jeszcze wcale z nim nie zgodny, że tej ewentualności nie chciał przypuszczać, a chociaż powinien był od dawna już wiedzieć, czego się trzymać w tym względzie; przecież wołał brać postępowanie Róży za rozkapryszenie pieszczonego dziecka, niż za stanowczą drogę, rozważnie przez nią obraną — dla tego też zmarszczył brwi i wystąpił znowu w Olimpijskiej grozie małżonka.

— Sądziłem, że kiedy ja cię o co proszę, powinnaś się do tego zastosować.

Róża spojrzała na niego z nieokreślonym wyrazem i widziałem wyraźnie, że w oczach jej mignął litośny uśmiech, który nie wybił się na usta i pozostał jedynie w jej myśli.

Dalekim był czas, kiedy mniej przyjazne słowo Henryka napełniało łzami jej oczy, smutki jej pochodziły od niego i były chwilowe jak chmury na błękitnym niebie, — teraz myśli jej beznadziejne powleczone były jednak mglistym kirem i dla tego była spokojną.

— Więc ja nawzajem poproszę ciebie Henryku, wyrzekła, byś porzucił polowanie, bo ja go znosić nie

mogę; skoro uczynisz to dla mnie, ja wzajem zastosuję się do twoich życzeń.

On roześmiał się w całej prostocie ducha z tego żądania, które w przekonaniu jego nie mogło na nic innego zasługiwać.

— Doskonałą jesteś, Rózo, kocham cię bardzo, ale pomimo to polować będę; — wszakże wszyscy tak robią, a żadna żona nie wymaga podobnych poświęceń od męża.

— W takim razie pozwólże mnie zajmować czas mój jak mnie się podoba.

Było to arcylogiczne żądanie, pomimo to, a może też właśnie dla tego nie trafiło wcale do przekonania Henryka, dziwić się temu nie mogłem, bo cóż bardziej mija się z logiką, jak wychowanie, obyczaje i życie światowe, jakże można wymagać od człowieka przesiąkniętego tą atmosferą, nie widzącego nic poza nią, by zrozumiał jakąbądź słuszność i prawdę.

On też odparł niecierpliwie:

— Jesteś upartą jak dziecko prawdziwe, Rózo, — powinnaś przecież zrozumieć ogromną różnicę pomiędzy moją a twoją żądaniem. Ja chcę od ciebie rzeczy prostej, zwyczajnej, a ty wymagasz odemnie jakichś donkiszotowskich poświęceń.

— Ja nie nie wymagam wcale, znajduję tylko, że mam prawo zajmować jak mi się podoba, puste godziny życia i tego prawa dziś i nadal używać będę, bez względu czy to uważasz lub nie za dzieciństwo.

Mówiąc to bez gniewu, ale stanowczo, zabrała swoje książki i wyszła z pokoju, zostawiając męża osłupiałego, tym buntowniczym wyznaniem. Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

— A to dopiero, zawołał po chwili z oburzeniem, które miało coś w sobie komicznego, kupilem sobie kłopot z podobną żoną, bo i któż się może domyślić, dodawał żalostnie, jakie tam licho siedzi w pannie ukryte, kto się mógł tego wszystkiego spodziewać, wszak ona była tak starannie wychowaną w takim domu, przez tak rozumną matkę i ty jeszcze dopomagasz jej w tym wszystkiem, Joachimie?

— Bo nie pojmuję, odparłem, co ci przyszło do

głowy, dla czego ci zawadzają niewinne, ciche gusta żony.

— Uczoność nie przystoi kobietom, wyrzekł sentencyonalnie, to odbiera im wdzięk kobiecości i zawadza codziennym zajęciom.

Nie widzę, wyrzekłem w czém książka lub studia, więcej mają rozprzegać ład domowy, niż stroje, bale, zabawy, nie widzę także jaki wdzięk ma odbierać rozwinięcie umysłu, przeciwnie on go dodać tylko może.

— Już ja zawołał nie cierpię wszystkich ekscentryczności i najstaranniej wystrzegałem się ich w życiu.

— Ależ ekscentryczności Róży jak je nazywasz, nikomu nie wadzą, ona tak starannie unika mowy o nich, i uczy się jedynie dla własnej przyjemności.

— Alboż jej braknie innych odparć opryskliwie.

— Pozwólże każdemu robić co mu się podoba.

Jednak na ten raz rozumowania moje nie mogły pokonać przesądów i przywidzeń jego.

— Otóż nie, nie pozwolę powtórzył z bezsilną złością pełną rozpacz, żona nie powinna być mędrszą od męża.

Na ten niespodziewany argument, którego co prawda nie spodziewałem się po nim, nie mogłem wstrzymać się od głośnego śmiechu.

Henryk zaś wypowiedział z namaszczeniem ten utarty nonsens, kursujący w świecie, i widząc wrażeń jakie uczynił na mnie pozostał z szeroko otwartymi oczyma, nie rozumiejąc wcale z czego się śmiałem.

— Cóż ja powiedziałem tak bardzo zabawnego, spytał wreszcie, trochę obrażony, czyż tego nie usłyszeli głos ogólny.

— Głos ogólny, powtórzyłem, czyż nie doświadczyłeś jeszcze na samym sobie, że ogólniki nawet rozumne na pozór, mało przypadają do potrzeb indywidualnych, a cóż dopiero aferyzm wygłoszony przed chwilą, a nie mogący wytrzymać najmniejszej krytyki.

Teraz także on zastanowił się nad tem, ale nie zgodził się w zupełności na zdanie moje, wprawdzie, nie mógł w żaden sposób stawiać samego siebie, jako punkt kulminacyjny, po za który Róża przejść nie miała prawa, nie domyślał się zresztą wcale, jak pod każdym

względem ona już stała wyżej od niego, ta sama myśl była mu nieznośną dla tego też wyrzekł po chwili namysłu.

— Mów sobie co ci się podoba, a ja zawsze powtóżę, iż kiedy żona mędrsza od męża, nie ma szczęścia w domu.

Mogłem mu odpowiedzieć, że szczęście w domu jego nie zagościło nigdy, ale na cóż było odkrywać mu ten fakt niepowrotny.

— W takim razie, wyrzekłem tylko, należało lepiej wybierać, teraz cóż poczujesz na to, jeśli twoja żona obdarzona jest inteligencyą i sercem.

— Serca w kobiecie nie ma nigdy za nadto, powiedział znowu, posługując się jak zwykle, utartemi ogólnikami, nie dowodzącemi często rzeczy absolutnie sprzecznych z prawdą.

Wzruszyłem ramionami.

— A cóż począłbyś z tém sercem, zawołałem, gdyby żona twoja pokochała innego.

Ale ślepotą Henryka była nieuleczoną.

— Co Różia! Różia moja żona, jakże możesz nawet przypuszczać coś podobnego.

— Ja nie nie przypuszczam, uważam tylko, że nierozsądne serce, pozbawione steru, który tylko w inteligencyi znaleźć może, z łatwością dojdzie do tego, a wy sumi otwieracie kobietom drogę zguby, temi świetnemi frazesami bez sensu, któremi karmicie je od kolbki.

On jednak zamiast zastanowić się nad rozumowaniem mojem, wzruszył ramionami, z nieuleczonem zaślepieniem ludzi, których przeznaczenie spełnić się musi.

— Ach! mój Joachimie zawołał, jesteś mądrym człowiekiem, znasz masę rzeczy, o których nam prostaczkom wcale się nie śniło, ale pozwól sobie powiedzieć, że nie a nie nie rozumiesz kwestyi kobiecój, i nie masz pojęcia czém zająć i poprowadzić można te istoty, w których wszystko jest antilogicznem: Czego chcą kobiety? co im się podoba? co ich zraża i pociąga? są to rzeczy dla ciebie zupełnie niepojęte, bo



ty je bierzesz na seryo, a one w ogóle żadnej krytyki wytrzymać nie mogą.

— Ależ na Boga Henryku! zawołałem z kolei, jakżeż z podobnemi pojęciami można się żenić, i powierzać takiej istocie straż rodzinnego ogniska i imienia swego.

— Ba, odparł, przecież wszyscy tak robią, zresztą od czegoż dobra polityka małżeńska.

— I ty sądzisz, wyrzekłem, że jesteś na dobrej drodze?

— Dla czegożby nie?

— Spójrzyjże na żonę, zawołałem, czyż ona wy-daje ci się szczęśliwą?

— Nie pojmuję, wyrzekł, czegooby jej braknąć mogło, ale nie dziwię się jej kaprysom, jest to zwykła faza u młodych kobiet.

Widząc jednak, że nie podzielałem wcale tego zdania, mówił dalej starając się oświecić moją nieświadomość.

— Kobięty zazwyczaj chcą znaleźć w mężach poetycznych kochanków, o jakich marzyły, mając lat szesnastcie, czterecznych jak promień księżyca, więc zanim pogodzą się z rzeczywistością, muszą oplakać stracone ideały, bo tak to nazywają, zobaczysz, że nie długo Różia porzuci swoje fantastyczne studia, samotność i łzy, by przyjąć życie takim, jakim jest na prawdę.

Ta pocieszająca perspektywa, nie trafiła wcale do mego przekonania, ale Henryk nie chciał wyraźnie by jakibądź niepokój, zaktócił mu błogą obecność. Umilkłem widząc raz jeszcze, że cudze doświadczenie nie może nauczyć tych, którzy je odrzucają z góry.

Nad dwojgiem tych ludzi ciążyło fatum, którego ja na żaden sposób zażegnać nie mogłem, los ich spełnić się musiał.

Na pozór życie ich biegło jednakim trybem, przecież zdawało mi się, że zapal Róży do nauk stygnął, chwilami napadała ją tęsknota, smutek, zniechęcenie, to znów z nową energją zabierała się do pracy, jakby chciała nią zabić myśli jakieś czy uczucia natrętne, niepohamowane, a nigdy nie zwierzała mi się z niczem,

bóle jej i walki wewnętrzne zaledwie odgadnąć mogłem po zbiedzonym licu, lub płomiennych źrenicach.

W tym właśnie czasie, okoliczności zmusiły mnie porzucić Siuogórę na czas jakiś, rozstanie moje z Różą było smutne, młoda kobieta żegnała mnie tak, jakby traciła nie jakąś wiążącą ją z tym światem wiedzy i myśli, do którego wkraczała ze mną.

— Jakto, pan wyjeżdżasz na prawdę, zawołała, gdy dawny zamiar podróży przyprowadziłem do skutku, czy na długo? —

Oczy jej pytające i łzawe, zawisły na mnie, jakby zależało jej bardzo wiele na odpowiedzi.

Konieczne obowiązki, które powoływały mnie do Warszawy, mogły zatrzymać tam najmniej kilka miesięcy, musiałem powiedzieć to Róży.

Słuchała mnie z rodzajem przerażenia, na jej wymownej twarzy, przechodziły fale uczuć dla mnie niepojętych, wiedziałem, że byłem jej potrzebnym, że rozrywałem chwile samotności i pomagałem w studiach, ale to nie było dostatecznym by tak bardzo lekka się mego odjazdu.

— I cóż ja pocznę teraz, wyrzekła tylko, pochylając zbladłe czoło, jakby pod naciskiem niewidzialnego ciężaru, nie opuszczaj mnie teraz, panie Joachimie.

Było coś rozpaczego w tych wyrazach, ale ja nie zrozumiałem dramatu, rozgrywającego się w tem opuszczonym sercu, byłem ślepy i głuchy, nie umiałem nic odgadnąć, nie uprzedzić, stary, doświadczony — a nieudolny.

Ileż razy potem wzmawiałem sobie, że nie pojął znaczenia tego wykrzyku rozpacz, iż nie pozostał na straży tego serca, które samo nie potrafiło się bronić.

Z Henrykiem rozstaliśmy się obojętniej niż zwykle, miał zapewne nadzieję, że mój wyjazd rozwieje naukową manją jego żony — i nie omylił się w tym względzie.

Wyjeżdżałem ze ściśnionem sercem, kochałem tych ludzi, — los ich obchodził mnie szczególnie, przylgnąłem do młodej kobiety, która pod moim kierun-

kiem rozwijała się tak bogato i wdzięcznie. Ale wkrótce nowe troski i starania oderwały w inną stronę myśli moje dotąd wyłącznie ku niej zwrócone i coraz mniej myślałem o Sinogórze, gdy niespodzianie na jednej z ludnych ulic Warszawy, spotkałem Adama. — Blisko trzy lata upłynęło od naszego spotkania, wiek cały w jego latach; młody człowiek odmienił się mało, postać jego zmęźniała, rozwinęła się w całej pełni, ale smutne namiętne oczy pozostały też same i świeciły pod surowym czołem z pod łuku brwi czarnych.

Dla mnie było to dostateczną wskazówką, że w głębi serca jego tkwiła rana niezabliźniona nieczem, bo zresztą twarz jego miała pozór pogody, na ustach nawet był uśmiech, ten zwykły zdawkowy uśmiech, co nie rozprasza mroku spojrzenia i świadczy tylko o silnej woli i harcie człowieka.

Powitanie nasze było serdeczne, a jednak widziałem, jak bladeść nagle powlekła jego rysy, cieszył się z widzenia mnie, ale wspomnienia, które mu przynosiłem, były zabójcze i zachwiały nim nagle, mącąc jak huragan powierzechowną ciszę jego ducha; objąłem to jednym spojrzeniem. On zwalczył szybko pierwsze wrażenie i wyciągnął do mnie rękę, gotów widać zdać sprawę z czynów i myśli swoich, od tego dnia upadku, w którym nie szczędziłem mu twardych prawd życia.

— Panie Adamie, zawołałem, jakże często myślałem o tobie.

Wstrząsnął głową z niepojętym wyrazem wdzięczności i smutku, zapewne uczuł, że w tym domu, w którym zostawił serce swoje, ja jeden go wspominałem. Miłość jego była upartą bardzo; czas, oddalenie, roz waga, zwyciężyć jej nie mogły.

W głębi ducha musiałem teraz przyznać, iż miał słuszność — Róża warta była podobnego uczucia i pamięci.

— Doprawdy, wyrzekł, byłeś pan tak dobrym, że obchodził cię los szaleńca, rzuconego napowrót w życie za twoją sprawą; miałeś słuszność, przychodziło mi czasem na myśl, że powinienbyś być odpowiedzialnym za dalsze czyny moje.

Mówił to z uśmiechem, którego smutek harmonizował z jego całą postawą i wyrazem twarzy.

— O to byłem spokojnym odpartem, i chętnie przyjmuję odpowiedzialność, jaką pan chcesz na mnie rzucić, dotąd nie zawiodłeś pan nadziei moich i nie zawiedziesz ich w przyszłości.

— Kto to wie, wtrącił żartobliwie, kto może za przyszłość zareczyć, dotąd jednak, dodał poważniej, walczyłem wytrwale z pokusami życia i śmierci, i według słów pana, wyrobiłem sobie względny spokój i względne szczęście.

— To nie dość jeszcze, zawolałem, pan powinien być zupełnie szczęśliwym — masz do tego prawo.

— To, co posiadam, wystarcza mi, odparł z wolna, pracuję, a praca daje mi ukojenie — na dziś nie żądam więcej, ale duszno mi w atmosferze miasta, wzrosłem na wsi i serce rwie mi się do wolnych obszarów, do woni łąk skoszonych i zbóż dojrzewających, potrzeba mi ruchu, powietrza i zieloności. Odziedziczyłem po dalekim krewnym nie wielki mająteczek, tam chcę osiaść i zająć się gospodarstwem rolném, tak zaniedbaném w naszym kraju.

Mówił mi długo o zamiarach swoich z powagą człowieka, który bierze życie na seryo; imienia Róży nikt nie wymówił między nami — on wyczekiwał, aż ja je wspomnę, jam nie chciał tego uczynić, zresztą rozmowa nasza toczyła się swobodnie o wszystkich przedmiotach, prócz tego jednego, który zajmował nas wyłącznie; to trwało długo, aż wreszcie korzystając zapewne z zapadającego mroku, który skrył mi twarz jego, szepnął z cicha:

— Czy nie powiesz mi pan nic o niej?

— O niej, odpartem, panie Adamie ona istnieje dla ciebie nie powinna więcej.

— Ona dla mnie? powtórzył, wstrząsając głową, mylisz się pan, to ja dla niej nie istnieję, nie istniałem nigdy, ale czém ona pozostała dla mnie, to wic jedno serce moje.

Czy była w tych słowach uparta nadzieja, czy przeczucie jakie, nie mogłem odgadnąć.

— I cóż pan chcesz wiedzieć, wyrzekłem tylko.

— Powiedz mi pan że jest szczęśliwą.

Było to właśnie pytanie, na które nie chciałem odpowiedzieć dla tego odparłem.

— O jej szczęściu któż sądzić może?

Ale on spojrział mi w oczy i pomimo wieczornego mroku, dostrzegł zapewne ich niepewny wyraz, bo wyrzekł z mocą.

— Pan, który przemieszkujesz pewnie w jej domu i widzieć ją możesz o każdej porze, bez maski nałożonej światowym zwyczajem.

— Panie Adamie, zawołałem przerażony, czynisz mi dziwne pytania.

— Dla czegoż dziwne? zapytał, zatrzymując się i patrząc na mnie wyrazistemi oczyma.

— Co panu do niej dzisiaj, co cię obchodzi mogą tajemnice jej domowego życia?

— Masz pan słuszość, nie mam żadnego prawa o to pytać, a jednak chciałbym wiedzieć. Możesz pan bez wyrzutów sumienia wymówić to jedno słowo, jest lub nie jest szczęśliwą, wszak daleką jest odemnie myśl mieszaną się do jej losów, nigdy niczem nie byłem dla niej i z pewnością nie zamączę nigdy jej spokoju. Wiec w imię czego odmawiasz mi pan tej smutnej poeciechy.

Ze zwykłą stanowczością domagał się prawdy odemnie, ja nie mogłem mu jej powiedzieć.

— Szczęście, wyrzekłem oględnie, to wyraz rozległy jak świat cały i jakże możesz żądać bym wiedział jak ona je rozumie.

Adam wstrząsnął głową

— Ja sądzę, odparł, że pan wiesz dobrze co chcę wiedzieć, powiedz mi czy on kocha ją jak warta być kochaną, czy ona rozwija się jak kwiat w słońcu, i dochodzi do pełni miłości i samopoznania siebie, czy myśli ich i serca zespoliły się w jedną całość, tworząc ten najwyższy związek na świecie — małżeństwo.

— Na to pytanie, ona jedna odpowiedzieć może, rzekłem mimowoli spuszczać oczy przed jego bystrym wzrokiem.

Chwilę trwało pomiędzy nami milczenie, aż on puścił rękę moją którą trzymał w swoich i rzekł z cicha:

— Rozumiem, pan nie chcesz mi odpowiedzieć, rozumiem twoje milczenie.

Pochylił głowę, brwi jego się zsunęły z wyrazem bólu czy walki, serce biło silnie pod skrzyżowanemi ramionami, a z ust zaciśniętych wyszły tylko te słowa.

— Więc nie dla mnie — dla nikogo.

Nie śmiałem mu przeczyć, odgadł to, czego nie wypowiedziałem, ale co czuł, tego ja z kolei nie mogłem rozwikłać? czy cierpiał za nią? czy czuł tajemną radość? twarz jego pozostała surową, smutną, niezrozumiałą.

— Panie Adamie, zawołałem znowu, wiedząc, że pozostawał zatopiony w myślach, porzuć te próżne troski, pomyśl, że ona niepowrotnie stracona dla ciebie, nie zaciemniaj sam swojego losu.

Podniósł głowę a na ustach zabłysnął mu uśmiech cierpliwy.

— Nie lękaj się pan o mnie ani o nią, powtórzył, nie jestem szaleńcem ani nieszczęśliwym, ale pozwól mi szczęście rozumieć po swojemu, ja nie znajdę go nigdy w zapomnieniu, więc wywalczyć je muszę sam w sobie i żyć się z wspomnieniami, które zdają ci się większe, wszak nikt nie może przyjąć gotowego losu z cudzej ręki, ani mierzyć swych pojęć na cudzą skalę.

Było tyle szlachetności w tych krótkich słowach, że one powinny były mnie uspokoić, z pewnością człowiek, który je czuł i wymawiał, nie zamierzał odegrać podłej roli uwodziciela, a jednak siła wypadków mogła zwyciężyć te dwa bezbronne serca, on ani ja nie mogliśmy za przyszłość zaręczać, a przyszłość ta była groźną. Gdziekolwiek istotne moralne prawa uległy pogwałceniu, gdziekolwiek wyższe instynkta człowieka zmuszone są do milczenia i karłowaczone systematycznie, tam na przekór nawet woli ludzkiej, wisieć musi nad przyszłością sprawiedliwa groźba.

Byliśmy w obec takiego położenia, dla tego zamiary jego, w których czystość wierzyłem przecież zu-

pełnie, nie mogły oswobodzić mnie od jakiegś nieokreślonej trwogi.

Zegnałem go ze smutnym przecuciem.

— Zapewne, wyrzekł do mnie, zobaczymy się nie-  
dlugo, majątek który odziedziczyłem odległym jest tyl-  
ko mil kilka od pana.

Te słowa zdawały się potwierdzać złe przecucia  
moje.

— Jak to zawołałem pan osiadiesz w sąsiedztwie  
Róży?

— Dla czegożby nie? odparł spokojnie, nie byłem  
panem okoliczności, które mi to miejsce narzuciły, zre-  
szta zastanawiałem się nad położeniem, i nie widzę  
w czem moje osobiste uczucia, nie znane światu całe-  
mu, miałyby wpłynąć na dalsze zamiary.

— Ależ, przerwałem panie Adamie, tyś ją kochał,  
ty panie kochasz ją dzisiaj.

— Wszak nie zapieram się tego, ale powtarzam  
raz jeszcze, ona o tem nie wie a ja nie jestem ani sza-  
leńcem ani nikczemnikiem.

Przy mnie lub z daleka odemnie, może żyć je-  
dnako, może nawet nie wiedzieć o tem, że los zbliżył  
nas nadspodziewanie, za nadto kocham pracę i samo-  
tność, by mieszać się do grona bawiących, nie spotka  
mnie nigdzie na swęj drodze, ja jej szukać nie będę.

Mówił to z tak smutną stanowczością, że mu  
zaprzeczyć nie mógł, jednak nie podzielałem jego spo-  
koju.

— A przypadek, zawołałem, czyż pan nie bierzesz  
go w obrachunek?

Ale on spojrział na mnie dziwnym wzrokiem i za-  
pytał surowo.

— Czyż ona jest na tak śliskiej drodze, lub ja  
tak niebezpiecznym, by przypadkowe spotkanie mogło  
wywołać jakąś sercową katastrofę, mów pan wyraźniej  
na Boga! ja potrzebuję to wiedzieć.

Miał słusność na pozór.

— Panie Adamie, wyrzekłem, pan rozumiesz  
doskonale, i nie mam ci co odpowiedzieć, a jednak

wierz mi, to zbliżenie jest zdradliwém, któż wie, co wypaść może, jakie okoliczności staną pomiędzy wami.

A gdyby i tak było wyrzekł po chwili namysłu, nie powinienem się cofać, jeśli mąż nie jest w stanie kochać jój ani bronić, kto mi zaręczy, że ona nie zapotrzebuje bratniej ręki i pomocy, dzięki Bogu jestem dość blisko z nią związany krwią, by w każdym razie mieć prawo stanąć w jój obronie.

I niesiony myślami, zdawał się gotów rzucić na jakiegoś niewidzialnego nieprzyjaciela, który jój zagrażał, może miał przecucie, że chwila ta gotuje się, nadchodzi, alem ja tego wiedzieć nie mógł i odezwałem się spokojnie.

— Wszakże nic jój nie zagraża.

— To prawda, odparł krótko, miałem dziwne przywidzenie.

Nie powiedział nic więcej, alem śledził niespokojnie chmury myśli przesuwające się po jego czole.

Rozstaliśmy się w milczeniu i nie szukaliśmy się więcej, okoliczności oddaliły mnie z Warszawy — od Henryka miałem tylko krótkie wiadomości, Róża nie napisała mi ani słówka pomimo dawanych obietnic. Nie dziwiłem się temu, nie miałem żadnego innego prawa do jój czasu i myśli prócz praw przyjaźni, jednakże przykrém było mi to milczenie, nawykłem do serdecznych słów i jasnych myśli młodej kobiety jak do rzeczy należących mi się z prawa, cieszyła mnie ta rozwijająca się inteligencya i z niespokojną radością załatwiwszy wreszcie osobiste sprawy, powracałem do mojej siedziby.

Na pozór nic nie było zmienioném w domu Henryków, podczas mojej półrocznej nieobecności; mój dawny uczeń powitał mnie z głośną, nieudaną radością, gdyż przy wrodzoném lenistwie i skłonności do próżniaczego życia, byłem mu niezmiernie potrzebny. — Odnajdywałem go takim zupełnie jakim go zostawiłem, ludzie jemu podobni nie zmieniają się zazwyczaj; ale Róża nie wybiegła na moje spotkanie i choć wiedziała dzień przyjazdu, musiałem sam pójść jój szukać. — Była w werandzie otwartéj na ogród, z kął przecie sły-



szeć musiała turkot mojej bryczki i powitanie Henryka. A jednak nie byłem jej obojętnym, bo na mój widok powstała z dawną żywością, ale ręka jej wyciągnięta ku mnie opadła, jakby pod wpływem niewytłumaczonej siły, a po jej licach rozlał się ognisty rumieniec. Oczy spojrzały na mnie jasno, serdecznie, i razem zamglily się dziwnie, trysnęły z nich dwa strumienie łez gorących spływając cicho aż na piersi. Nie pomyślała o tem by je otrzeć, tylko patrzyła na mnie z niepojętym wyrazem.

Przerazony tym niespodziewanym wybuchem, nie śmiałem zapytać, co się stało, jaka boleść nieznaną wyciskała jej te łzy i odejmowała mowę.

— Pani, wyrzekłem w końcu, co tobie?

Ale głos mój i te proste słowa od razu wróciły jej przytomność.

— Nic, nic, — odparła pospiesznie, oglądając się trwożnie i ocierając oczy — nic mi nie jest, znasz mnie pan, zawsze byłam trochę dziecinną.

— Przecież, zawołałem, powiesz mi pani swoje zmartwienia. — Czyż straciłem przez czas oddalenia ufność twoją?

— Nie mam żadnego zmartwienia, ale łzy jej i wyraz cały przeczył tym słowom.

O więcej nie pytałem daremnie, tylko baczniej spojrzałem na młodą kobietę, — przez ten długi czas zmieniła się w tak dziwny sposób, że sam nie mogłem określić sobie, czy zbrzydła czy wypiękniała, w każdym razie nie była to już owa rozkwitająca Róża, którą znalazłem dawniej. — Rysy jej straciły coś z okrągłości i miękkości dziecinnej, natomiast nabrała dojrzalszego wyrazu, ale wyraz ten był pełen niepokoju i cierpienia, pogoda niewinności i zamyslenia zniknęła z jej czoła, po którym przesuwaly się różowe fale.

Nie mogłem przecie samej obecności mojej przypisywać tych wszystkich objawów, widać one były w niej, ja wywołałem tylko jakieś ukrywane symptomy moralnego stanu trwającego ciągle — ale co znaczyły? tego od razu odgadnąć nie mogłem?

Więc nie zważając niby na jej szczególne powi-

tanie, usiadłem i zacząłem rozmowę o podróży mojej, o dawnych naszych pracach. Ale od dnia odjazdu mego młoda kobieta nie otworzyła żadnej z książek, które czytaliśmy dawniej, — dostrzegłem to z pewnem przeżeniem i zapytałem samego siebie: co znaczył ów niekłamany zapał, z jakim rzuciła się kiedyś do nauki, przecież nie uczyniłem żadnej uwagi, i czekałem, czy fakt jaki lub ona sama, nie wytłumaczy mi tych wszystkich pozornych sprzeczności postępowania.

Rozmowa nasza widocznie przymuszona rwała się co chwila.

— Panie Joachimie, zawołała wreszcie Róża po długim milczeniu, jakby słowa te wyrwały jej się gwałtem, czemuż pan wyjechałeś?

Spojrzałem na nią i dostrzegłem dużo więcej, niż powiedzieć chciała. Był to wykrzyk znękanego serca, któremu nagle zabrakło podpory, był w nim żal i wymówka, jak gdybym miał obowiązek nie opuszczać jej, strzedz i bronić.

Ja sam byłem nim zmieszany.

— Pani, wyrzekłem, wszak powróciłem jak dawniej na rozkazy i usługi twoje.

Ale z piersi jej zamiast odpowiedzi, wyrwało się głuche westchnienie i drobne rączki załamały się konwulsyjnie, rozpacznie. Cóż to znaczyło wszystko?

W tej chwili rozmowę naszą przerwał Henryk; — swoim zwyczajem nie dostrzegł on ani zmiany żony, ani jej pomieszenia. Na jego wiecznie plastycznej fizjonomii tkwiła ta pewność siebie, która tak przystoi niektórym indywidualnościom i położeniom.

— No, jakże znajdujesz Różę, wyrzekł, spoglądając na nią, a nic nie widząc, — muszę ją oskarżyć, że podczas twojej nieobecności zupełnie wyleczyła się z naukowej manji, to też między nami mówiąc, posądzam cię zawsze, żeś ty był sprawcą tego anormalnego gustu, — teraz Róża woli jeździć konno i tańczyć, niż siedzieć zatopiona w książkach.

I rozśmiał się wesoło tryumfująco.

Ale młoda kobieta nie wyglądała wcale na istotę oddaną wesołym rozrywkom, o jakich mówił, patrzała

na męża trwożnie i błagalnie, jak gdyby raniły ją podwójnie te słowa wymawiane przez niego, a przeze mnie słyszane, — jakby w nich było coś zawstydzającego.

— Henryku, zawołała, dla czegoż koniecznie mówisz o mnie, — co to kogo obchodzi, co ja robię lub myślę.

— Jako, — pochwycił mąż, — wszak mnie to najmocniej zajmuje i ciebie także Joachimie, — nie prawdaż?

— Nie zasłużyłem, byś pani o tém wątpiła, wyrzekłem, coraz bardziej zdziwiony jęj postępowaniem.

Spuściła oczy i lzy gwałtem wstrzymywane drgały na jęj rzęsach. Słowa Henryka niecierpliwiły ją i drażniły. Zdawało mi się nawet, że to czyniła sama jego obecność. Dawniej był on dla nięj tylko obojętnym; symptomat ten zupełnie niedostrzeżony przez Henryka, zatrwożył mnie dla niego. On zaś przeciwnie był uszczęśliwiony nietylko z siebie, co było rzeczą zwyczajną, ale i z żony; pozorna harmonja panowała w tym domu, a jednak zdawała mi się stokroć groźniejszą, niż dawne nieporozumienia. Mąż mówił wiele, wesoło, nie zauważyłem wcale zwykłego znudzenia, będącego tłem tego pustego życia, — widać posiadał jakąś nową zabawkę, która jak każda nowość, miała przywilej zabawiania go czas jakiś.

— A nie zapominaj, Rózo, wyrzekł do żony, — o wieczornym projekcie, Eugeniusz przyjedzie zaraz po obiedzie.

Były to bardzo zwyczajne słowa, a jednak młoda kobieta zarumieniła się znouu gwałtownie, chciała coś odpowiedzieć, zawahała się, i pozostała na miejscu, — a na twarzy tkwił wyraz nie mający nic wspólnego z weselem ani zabawą; widocznie była jakby na mękach, płoniąc się i blednąc na przemiany, aż wreszcie powstała, chcąc zostawić nas samych.

— Czemuż odchodzisz? — zapytał Henryk z despotyzmem człowieka, któremu wszystko ulegać zwykło, z tego zauważyłem, że przywiązanie jego do żony urosło bardzo w czasie mojęj nieobecności.

— Muszę zobaczyć, czy suknia moja przygotowana — odparła z takim wyrazem, jak gdyby szło nie o strój jakiś, ale o żałobną szatę.

— Masz słuszość, wyrzekł mąż, nie zapomnij się ładnie ubrać, jak ty to umiesz.

Nie odpowiedziała mu nic, ale wychodząc podała mi rękę. Ręka ta była zimną i drżącą pomimo skwarnej godziny wiosennego południa.

Widocznie działo się coś w jej sercu, czego odgadnąć od razu nie mogłem, ale uderzony przykrém wrażeniem, siedziałem milcząco.

— A co? czy nie mówiłem ci, przerwał wesóło moje medytacye Henryk, — że dziwactwa Róży przejdą łatwo, wyrobiła się teraz na zupełnie miłą kobietę, nie kryje się po kątach ze łzami, nie ucieka od towarzystwa, nie ślęczy nad niepotrzebnymi naukami, ale bawi się i postępuje jak wszyscy. — Miałem słuszość, — że jej wszystkich kaprysów nie brałem na seryo.

Wprawdzie nie podzielałem pod tym względem jego zdania, postępowanie wszystkich nie było dla mnie wcale idealnym wzorem doskonałości, nie byłem też przekonany, że tak zwane dziwactwa Róży zupełnie przeminęły, ale nie uważałem za stosowne odkrywać mu swoich domysłów; zresztą nie oparte one były na żadnym fakcie, na żadnej podstawie, nie miały nawet kształtów wyraźnych; tylko nie podobna mi było podzielać słodkiego spokoju Henryka, którego za nic też zakłócić nie chciałem. Na pierwszym wstępie jednak uderzyło mnie coś niezwykłego w tym domu, a groźniejszego daleko niż dotychczasowe chmury, przysłaniające horyzont małżeński. — Przyszłość aż nadto prędko wyjaśnić mi miała wszystko.

Dnia tego w sąsiedztwie wyprawiano majówkę, na którą wybierano się z Sinogóry; po obiedzie Róża była najpierw ubrana i z dziwną niespokojnością siedziała w salonie, co chwila spoglądając w okno, jakby razem pragnęła i lękała się zobaczyć kogoś, trzymała ona w ręku jakąś powieść, ale znać ta nie zajmowała ją bardzo, bo co chwila kładła książkę na ko-

lanach i wpadała w zamyślenie, z którego wyrwał ją lada szelest, lada dźwięk oddalony. Mimowolnie patrząc na nią, przypominałem sobie godziny spędzone przez tę kobietę nad suchą nauką, przypominałem sobie jej głowę pochyloną z taką uwagą, lub oczy wlepione we mnie ciekawe, pytające, niezmacone. Teraz wyraźnie nie pragnęła mego towarzystwa, więc nie narzucając jej się, siadłem przy oknie i zatopiłem się w gazetach, które świeżo przyniesione leżały na stole. Jednak i mileżąca obecność moja była jej nie na rękę, bo bez żadnej przyczyny, powstała z kanapki i wyszła z pokoju. Co to miało znaczyć? przez kilka lat przeżytych w przyjaznych stosunkach z Różą, poznałem ją dość, by wiedzieć, że nie nie robiła bez celu, że każdy jej czyn pochodził z loicznych powodów, dla czegoż teraz byłem jej natrętnym, czém zasłużyłem na jej gniew lub niechęć; zresztą ja w jej oczach nie wyczytałem niechęci, raczej trwogę jakąś niewyraźną, jakby lękała się sądu mojego, lub pragnęła coś ukryć.

Rozmyślałem smutnie nad tym faktem, który dotknął mnie boleśnie, chociaż nie mogłem zrozumieć jeszcze całej doniosłości jego, gdy tentent konia dał się słyszeć na dziedzińcu, siedziałem blisko okna więc nie wychylając się wcale, ujrzałem, jak z za bżów rozkwitłych wynurzyła się piękna postać jeźdźca. Złotokasztanowaty koń jego czysto wschodniej rasy, rwał się do biegu wstrzymywany wprawną, silną ręką, oko jego i nozdrze rozdęte zdawały się iskrami ciskać, a biała piana okrywała wędzidła. Jeździec jednak osadził go na miejscu przed gankiem, zeskakując z konia, rzucił cugle pierwszemu spotkanemu służącemu i spojrzął w koło, jakby szukając kogoś, lub pragnąc zobaczyć. Wówczas zapewne zobaczył mnie w oknie salonu i spytał głośno lokaja o pana.

Zdawało mi się jednak, że nie to chciał powiedzieć, że inne słowo miał na ustach.

— Pan się ubiera.

— A pani? spytał teraz szybko jakby, pilno mu było powetować stracone sekundy.

Ale nie potrzebował czekać odpowiedzi; Róża sa-

ma ukazała się na ganku i powitała go tylko rumieńcem i uśmiechem, nie potrzebowała nie dodać, oczy jej były wymowne, zapaliły się na cześć jego jasnym promiennym wyrazem szczęścia, on wziął jej rękę i poniosł ją do ust z dziwną mieszaniną czci i namiętności. Miałem czas przyjrzeć mu się dokładnie, był nie tylko pięknym i młodym, ale posiadał ten szczególny wdzięk wyrobiony wprawą czy wolą, który nadawał ruchom jego, słowom, spojrzeniom, odrębną cechę, ryjąc je mimowolnie w pamięci.

Wysoki, szczupły i giętki jak młoda topola, miał w całym ułożeniu w postawie coś miękkiego i wytwornego razem, twarz śniada o regularnych rysach i pełnych wiśniowych ustach, odznaczała się nie codziennym typem; przecież wpatrzywszy się lepiej, nie było na niej znać ni głębszych uczuć, ni głębszych myśli, tylko w oczach jego czarnych namiętnych, zdawały się chwilkami otwierać jakieś złudne przepaście, zmienne źrenice miały urok otchłani, mogły czarować niedoświadczone serca powabem nieokreślonych obietnic, umiały na przemian błagać i rozkazywać, tak jak usta sypać słodkimi i szyderczemi słowy. Stał w ganku, wsparty o filar lekko nachylony naprzód ku Róży, obejmując ją gorącym wzrokiem. Ten cały obraz mignął przedemną jak błyskawica i zapytałem samego siebie, co miałem o tém sądzić? co znaczył tutaj ten obcy człowiek, witany w ten sposób, gdy wtém Henryk ukazał się na progu, a widząc nowo przybyłego wykrzyknął wesóło:

— Już myślałem, że się spóźnisz Eugeniuszu, ale otóż i jesteś punktualny jak zegarek.

Młody człowiek powitał go serdecznem uściśnieniem ręki i zawiązała się pomiędzy nimi jedua z tych żywych, dowcipnych rozmów, świadczących o salonowej wprawie obudwóch. Róża mały w niej brała udział; nie wiem, czy słyszała ją nawet, bo rozmarzonemi oczyma śledziła za nowo przybyłym, głaszcząc jedwabną sierść jego wierzchowca, prowadzanego przed gankiem.

Wreszcie Henryk dojrzał mnie, lub przypomniał sobie moją obecność, a biorąc Eugeniusza za rękę po-

prowadził go przed otwarte okno, przy którym siedziałem, na pozór czytając gazetę.

Muszę cię przedstawić! zawołał, najlepszemu z naszych przyjaciół, o którym mówiliśmy nieraz.

Wymienił nasze nazwiska, a my przez okno podaliśmy sobie rękę; jednak w nim i we mnie zarówno była sekunda ociągania się, jak gdyby obadwaj niechętnie dopełnialiśmy tej prostej formy, jakby dzielącą nas ściana była symbolem moralnego rozdziału istniejącego pomiędzy naszymi duchami.

Wahanie się to trwało zaledwie mgnienie powiek, zanim przywyknienia towarzyskie zwyciężyły ślepy instynkt, buntujący się przeciwko nim.

Czułem nieokreślony wstręt do tego człowieka, o gładkiej powierzchowności, z bezmyślną żądzą użycia, gorejącą w oczach, chociaż nie różnił się wiele od ogółu i nie był zapewne ani lepszym, ani gorszym od tysiąca ludzi, będących w jego położeniu. Przecież dotknięcie ręki jego było mi przykrém, przeczuałem w nim lekkomyślnego burzyciela cudzego spokoju, sięgającego po cudze dobro, nie z jakiegoś głębokiego uczucia, ale po prostu z próżniaczej fantazyi, dla zabicia czasu i dogodzenia chwilowej zachciance. Dla tego spoglądałem na niego chłodnym i poważnym wzrokiem, szukając na tej pięknej twarzy śladu myśli jakiej, lub moralnego poczucia.

Pod spojrzeniem mojem zmięszał się mimowolnie, odczuł może ukrytą nieprzyjaźń.

— Ostrzegam cię tylko, mówił dalej Henryk, nie zważając wcale na niemą scenę, odgrywaną się pomiędzy nami, że Joachim to rywal nas obydwóch w sercu Rózi; póki on był tutaj, nie chciała ani bawić się, ani bywać nigdzie, tylko spędzała z nim dnie i wieczory, zatopiona w tak straszliwie mądrych książkach, że mnie prostego śmiertelnika aż dreszcz przechodził, spoglądając na nie, teraz gotów nam ją znowu zabrać.

Mówił to żartobliwie, a jednak krew uderzyła do twarzy Eugeniusza, tłumiona zawiść błysnęła mu w oczach.

— I jakż e mogłeś na to pozwolić Henryku? zapytał,

zwracając się do niego z wyrazem, w którym było pół żartu pół prawdy.

— Pozwalać, powtórzył śmiejąc się mój dawny uczeń, nieoszacowany jesteś z taką radą, poczekaj, jak sam zostaniesz mężem, zrozumiesz, czy można do żony podobne słowo zastosować.

— To więc, wyrzekł Eugeniusz, wchodząc w ton jego, nie pozostaje nam jak walczyć z panem otwarcie i wydrzeć panią Różę temu zabójczemu wpływowi.

Nigdy prawdziwszemu nie okazało się przysłowie, że w każdym żarcie mieści się pół prawdy, gdy młody człowiek mówił to lekkim tonem, uśmiechnięty, wargi jego drgały, a oczy płonęły.

— Wpływ ten był dla mnie nadto droгим, odparłem, chwytając tę sposobność wypowiedzenia myśli moich, bym nie starał się odzyskać go wszystkimi sposobami jakie mogę mieć w ręku; szczerść za szczerść. —

Eugeniusz pobladł, słysząc te słowa i wlepił we mnie dziwne pytające oczy ze zmiennym wyrazem i dostrzegłem w nich oburzenie, gniew i trwogę nawet.

Róża tymczasem stała w ganku nieruchoma, z pochyloną głową, obrywając kwiat jakiś trzymany w ręku.

Wszystko to razem, musiało zwrócić wreszcie uwagę Henryka, który wodził przez chwilę po nas oczyma z komicznem zdziwieniem, na próżno siląc się zrozumieć powód tego niespodziewanego zajścia; chciał coś mówić, o coś zapytać, gdy Róża wyszła z dotychczasowego milczenia i pospiesznie zbliżyła się do okna.

Czoło jej było zmaczone, chociaż stanęła pomiędzy nami z żartobliwą powagą.

— Widzę, wyrzekła, że na pierwszym wstępie panowie jak prawdziwi rycerze spieracie się o mnie, więc zmuszoną jestem prosić o rozejm, a w potrzebie nakazać go nawet. Panie Joachimie, panie Eugeniuszu, podajcie sobie teraz ręce, nie jak znajomi, ale jak przyjaciele moi, którzy i pomiędzy sobą takimi być powinni.

Mówiła to, podnosząc w górę swą maleńką rękę, cała zmieszana i zapłoniona.



Młody człowiek natychmiast wyciągnął ku mnie dłoń swoją, gotową do serdecznego uścisku. Oczy Róży spoczywały na mnie trwożne, błagalne.

Przecież im się nie mogłem, podałem mu moją a Henryk zawołał tryumfalnie:

— Otóż tak, to lubię, zgoda, jak widzę, Joachimie moja żona oduczy cię trochę od tego sentencyonalizmu, a wówczas staniesz się prawdziwie doskonałym.

W tej chwili zaszedł powóz i to zakończyło małą scenę odgrywaną się pomiędzy nami. Henryk i Róża wsiedli i wyjechali, napróżno namawiając mnie, bym im towarzyszył. — Eugeniusz lekko skoczył na konia i pogonił za nimi; widziałem z daleka jak jechał obok Róży i nachylony ku niej mówił coś, miarkując bieg swego konia z ruchem powozu. Zniknęli mi z oczu w tumanie kurzu, a jam ciągle patrzył za nimi, stojąc jak wryty w tym oknie.

To, com widział, było aż nadto wyraźne, w obec zaślepionego męża, któremu nawet myśl podobna nie zaszepiła pogodnej myśli; tych dwoje ludzi kochało się. Był to zwykły stosunek, trójca pojawiająca się w różnych odcieniach, na wszystkich stopniach towarzyskich, a przecież ja stary, doświadczony, znający życie w najrozmaitszych fazach jego, byłem jak osłupiały w obec tego codziennego faktu. Daremnie chciałem się ludzić, leżał on w nieodwołalnej loice charakterów i położeń; ludzie, którzy za ideał postawili sobie to, co robią wszyscy, koniecznie popaść muszą w ogólne niebezpieczeństwa, był to naturalny wynik ich stosunku pomiędzy nimi a światem.

Pierwszy lepszy postawiony na ich drodze odegrałby tu rolę Eugeniusza, nie mogłem winić ani jego, ani jej, ani Henryka nawet, wszyscy szli właściwą sobie drogą bezmyślnego użycia, cóż dziwnego, że drogi ich wikłały się i krzyżowały. Wszakże to zdarza się codziennie, codziennie ludzie ludziom stają na przeszkodzie, codziennie jedni drugich wytrącają z kolei; przecież było w tym wszystkim coś dla mnie bolesnego, czytałem w ich sercach lepiej od nich samych,

widziałem, że pod lekkomyślnym pozorem, tam były i uczucia i myśli stokroć lepsze od słów i czynów, wiedziałem, że w danym razie, ci ludzie postępujący tak jak wszyscy, więcej wariacji byli od ogółu i nie mogli zadowolnić się tępym, co by zadowolnić ogół. Ta kobieta w upadku swoim nie miała nieogłędności i bezwstydu, co jedne dać jej mogły szczęście, łamała się sama w sobie, walczyła i drżała o ten kłamany spokój, którego zdawała się przeczuwać nietrwałość.

— A zresztą, czyż ten człowiek odpowiadał po potrzebom jej serca, czy był jej godnym, czy rozumiał ważność położenia, obowiązki jakie brał na siebie; — czy mógł kochać na serio, on co tak lekkomyślnie burzył jej życie, nie zastanawiając się, że przynosił jej tylko hańbę i nieszczęście, on, który skorzystał z chwili osamotnienia, tęsknoty, zwątpienia i opanował tę istotę niezdolną jeszcze jasno sformułować przed sobą twardej prawd życiowych i poddać się konieczności obowiązku.

W obec tej grupy ludzi, porwanych wirem ogólnym i unoszonych ku przepaści, którzy nie domyślali się wcale, przedstawiał się myśli mojej ten człowiek, co w sercu swoim stawiał ołtarz boży i czcił ją zdala jak gwiazdę swego bytu; gwiazda zbląkała się i uległa niebacznie codziennęj pokusie życia.

Zapytywałem sam siebie, czy nie lepiejby było dla niej, wiedzieć o tępym uczuciu i cierpieć, niż dojsć tam, gdzie ona doszła. Bo jakąż mogła być miłość tych dwojga ludzi, oparta na oszukaństwie i kłamstwie; tyle żądź, tyle brudnych popędów przybiera nazwę miłości, że ja nie mogłem podnosić do tej godności tego, co ich łączyło. A zresztą nie mogłem zdać sobie sprawy, co działo się w sercu młodej kobiety; było tam coś, czego być nie powinno, ale zanim ją miałem potępić, trzeba było czekać i dopatrzeć więcej, niż przelotny rumieniec i spojrzenie. Była to tajemnica, którą zbadać postanowiłem, tajemnica nie zbyt trudna do zbadania dla przenikliwego oka.

Nazajutrz zastałem Henryka samego przed gankiem w jak najlepszym usposobieniu; bawił się dosko-

nale dnia poprzedniego i dziś równie się dobrze bawić zamierzał. Zapytałem o Różę.

— Oh! mój drogi, odpowiedział mi tryumfalnie, moja żona jest teraz ciągle zajęta toaletą, strojami, przygotowaniami, przyjęciami, to nie tak jak dawniej, kiedy za zjawieniem się gości płakała.

— Więc żona twoja nigdy teraz nie płacze, spytałem, chcąc schwytać z jego rozmowy jaki charakterystyczny rys jej postępowania.

Henryk wzruszył ramionami, jakby litując się nad moją głęboką nieświadomością.

— Kobiety zawsze płakać muszą, odparł sentencyjalnie, czyż nie wiesz o tém, one zawsze sobie przyczynę wynajdą.

— Ale jakaż! zawołałem.

— Jaką! alboż ja wiem, wyrzekł filozoficznie.

— Jakto, mówiłem dalej, więc kiedy zobaczysz lzy na twarzy Róży, nie pytasz jej o przyczynę?

— Owszem, owszem, to grzeczność nakazuje, ale tak przyzwyczailem się od dawna słyszeć stereotypową odpowiedź, że jej nic nie jest, że mi się coś zdawało, iż przestałem zwracać na to uwagę. Różia jest wyborną kobietą, ale nie można od niej żądać, by nie miała kapryśków, wszak mają je wszystkie inne bez wyjątku.

O tym axiomicie nie byłem wcale przekonany, ale wiedziałem z doświadczenia, że próżno byłoby w tym względzie sprzeczać się z Henrykiem, który palił swobodnie cygaro, zupełnie zadowolony ze swego losu, pomimo tej małej niedogodności.

— Jak ci się podoba Eugeniusz, zapytał po chwili milczenia.

Pytanie to w chwili właśnie, gdy mówiliśmy o jego żonie, wydawało mi się podejrzaniem, tak dalece, że podniosłem na niego oczy badawcze, ale spotkałem się z tak pełnym niewinności wejrzeniem, iż domysły moje upadły natychmiast.

— Mało go widziałem, odparłem oględnie.

Henryk jednak nie kontentując się wcale tą odpowiedzią, rozpoczął panegiryk Eugeniusza, który jak

widać potrafił zupełnie podbić jego serce; opiewał więc jego enoty i zalety z zapalem, jakiego nie dostrzegłem w nim nigdy — gdy Róża dowiedziawszy się o przybyciu mojem, weszła do salonu.

Mogło to wypaść naturalnie, mogło pochodzić z życzliwości dla mnie, zdawało mi się jednak, że młoda kobieta z niespokojną ciekawością słuchała rozmowy naszej, jakby lękała się jej treści, że było coś gorączkowego w jej uśmiechu i spojrzeniu, gdy spoglądając na nas, zasiadła na fotelu, biorąc obojętnie w rękę jakąś robotkę.

— O czémże mówiliście, zaczęła z pewną obawą, widząc, że umilkliśmy za jej wejściem.

— O nowym znajomym waszym, pochwyciłem, o Eugeniuszu.

Na to imię rzucone jej z nienacka, zadrżała, a robotka wysunęła jej się z rąk na kolana.

— I cóż mówiliście o nim, szepnęła, zaledwie słyszalnym głosem, wlepiając we mnie źrenice trwogi pełne.

Henryk roześmiał się swoim zwyczajem.

— Zabawna jesteś Róziu! zawołał, pytasz się o to tak dziwnie i tajemniczo, jak gdyby Eugeniusz nie był naszym dobrym przyjacielem i sąsiadem.

Ton jego, widać zupełnie uspokoił żonę, bo wzajem odparła z uśmiechem.

— Masz słusność, nie wiem doprawdy, co mi przyszło do głowy, myślałam o czém inném. Ale cóż Eugeniusz pana Joachima obchodzić może?

— Powinien go obchodzić, tak samo jak i nas, i tak być musi w przyszłości, nie prawdaż, dodał, zwracając się do mnie?

Ja jednak nie przytwardziłem tego bynajmniej; ten człowiek zaledwie dostrzeżony, czynił na mnie wrażenie wydziercy i złodzieja, dla tego odparłem powolnie. —

— Jesteś szybkim w przyjaźni Henryku.

— Oh! rzekł lekko, nie biorę tych rzeczy z tak bardzo poważnej strony, nie szukam w ludziach więcej niż dać mogą, a skoro znajdę dowcip, oglądam, miłą

gawędkę i uczynność sąsiadką, to zupełnie poprzestaję na tem, i nie pytam o więcej.

— Ja sędzę, że źle robisz, ale jest to zwykła niekonsekwencya świata, żąda się świadectw uczciwości, powierzając komu najlichszą część swego majątku, ale nie od tych, którym otwiera się dom i serce.

— Trzeba przyznać, — przerwał mi, śmiejąc się Henryk, że masz nieoszacowane pomysły; co mnie obchodzi wewnętrzne przekonanie moich gości i towarzyszy byle byli honorowi i dobrze wychowani.

Mimomolnie wrzusiłem ramionami.

— Miałbyś słuszność, wyrzekłem, gdyby te dwa wyrazy brane były w prawdziwem znaczeniu, gdyby dobre wychowanie znaczyło na prawdę wpojone poszanowanie do wszystkiego, co szacunku godne, gdyby za ludzi honorowych nie uchodzili tacy, którzy słowo swoje łamią co chwila, dopuszczają się czynów nie mających nic wspólnego, tak z honorem jak z dobrem wychowaniem.

— Joachimie, Joachimie, ty coraz gorzej chorujesz na spartanizm, zawołał żartobliwie Henryk i po cóż ciskasz pioruny twój wymowy na biednego Eugeniusza, który przecież niczem nie zasłużył na nie, ale ja wiem o co ci idzie, wszystko to mówisz przez zazdrość, dla tego tylko, że za jego wpływem Różia pogodziła się ze światem i porzuciła twoje nudne foliały.

Było to tak naiwne wyznanie, że mnie zdumiało.

— Tak więc, wyrzekłem, to Eugeniusz pogodził panią ze światem.

Młoda kobieta była jak na mękach; siedziała milcząca, z głową schyloną nad robotą, czerwieniąc się i blednąc na przemiany, a teraz wielka łza którą próżno starała się powstrzymać, spadła na jej rękę i zamigotała w promieniu słonecznym jak brylant. Ja jeden patrzyłem na nią i jeden ją dostrzegłem i ulitowałem się nad nią, zmieniłem rozmowę.

Dopiero gdy Henryk odszedł, zostawiając nas samych, zbliżyłem się do niej i ująłem jej rękę na której błyszczała jeszcze łza niestarta.

— Pani, wyrzekłem zwolna, nie zastałem cię taką jaką odjechałem.

Podniosła na mnie smutną twarz zalaną łzami i nilezała przez chwilę dawnym zwyczajem, jakby pytając oczyma oczów moich, czy może ze mną zrzucić ciężar miłczenia, i zapewne odebrała zachęcającą odpowiedź, bo zawołała gwałtownie:

— Panie Joachinnie, jam bardzo, bardzo nieszczęśliwa!

W tych słowach była ufność dziecka; uczulem, że powinien ją być wyspowiadać i uspokoić, gdyż ból już ją rozgrzeszył zawczasu.

— Widzę to, odparłem miękko, pani cierpisz.

Pochyliła głowę na znak twierdzenia.

— Cierpisz więcej niż dawniej, gdy samotni przy tym kominku, przepędzaliśmy długie zimowe wieczory.

— O daleko więcej, powtórzyła gorączkowo.

Patrzyłem na nią z najwyższym współczuciem, a jednak musiałem ją zranić, winienem jej być prawdę.

— Ja nie dziwię się temu, wyrzekłem.

Te proste słowa uderzyły ją jak gromem.

— Dla czego? — spytała cicho.

— Wówczas, mówiłem, byłaś pani w zgodzie sama z sobą, a dzisiaj nie jesteś nią; wówczas nie miałaś nic do ukrycia, dzisiaj musisz kłamać i udawać; wówczas cierpieniu twemu byli wiinni drudzy, dziś ty sama.

Pochyliła czoło oblane szkarłatnym rumieńcem przed potępieniem mojem.

— Gdybyś pan mógł wiedzieć wszystko — szepnęła.

— Zdaje mi się, iż wiem wszystko.

— Jak to — wyrzekła, podnosząc się gwałtownie, kto mógł powiedzieć, kto donieść?

Usmiechnąłem się mimowolnie.

— Czy sądzisz pani, wyrzekłem, że oczy twoje cię nie zdradzają? Bądź spokojną, nie zabrnęłaś jeszcze na tej zgubnej drodze, by nabyć wytartego czoła i niezrozumiałego spojrzenia.

— Boże, odparła, łamiąc ręce z wyrazem rozpacz, pan mną pogardzasz

— Pani, zawołałem dotknięty t $\acute{e}$ m s $\acute{l}$ owem, tak mnie ma $\acute{l}$ o pozna $\acute{l}$ as? — pogardę moją chowam dla tego, co nierozważnie pociągnął cię w przepaść.

— O nie! nie! — wykrzyknęła przerywając mi, — pan go nie znasz, — pan nim nie możesz pogardzić.

Chciała co $\acute{s}$  dodać jeszcze, na obronę czy pochwałę jego, ale $n$  jej nie dał dokończyć.

— Sądzi $s$ z pani, że on cię kocha? — ja o t $\acute{e}$ m śmie $m$  wątpię. — Prawdziwa miłość inaczej się objawia. . . .

— Panie Joachimie — szepnęła błagalnie, — nie odbieraj mi pan t $\acute{e}$ j obrony — ja muszę wierzyć w niego.

Wstrząsnąłem głową; — ona prosiła o miłosierdzie, ale ja $n$  musiał być niemilosiernym jak prawda.

— Kto wierzy z musu lub woli tylko, ten już nie wierzy.

— On tak szlachetny, tak dobry, powtarzała, czeplając się t $\acute{e}$ j ostatniej nadziei, jak zbawczej nici.

— I jakże pani wierzyć możesz w szlachetność człowieka, co oddaje ciebie na pastwę śmie $s$ znosci, obmowy, złych języków i gorzej jeszcze — na pastwę wyrzutów sumienia.

Ale w mowie mojej zauważyła tylko pierwsze s $\acute{l}$ owa zwątpienia o nim, — myśl rzucona zastanowiła ją loicznością swoją; przecie $ż$  protestowała przeciw ni $ę$  całą siłą szczer $\acute{e}$ go serca.

— Tak, zawołała, zapominając zupełnie o własnej obronie — przecie $ż$  ja tak $ż$ e kłamać muszę, a jednak, Bóg widzi, ja go kocham.

Zakryła oczy rękoma, zwyciężona wzruszeniem, wstydem tego wyznania, przerażona brzemieniem własnego g $\acute{l}$ osu i t $\acute{e}$ m, co odważyła się powiedzieć.

Tak jest, była szczerą w obec mnie i sam $ej$  siebie, zdawało jej się, że kocha, czy jednak tak było w istocie, nie wierzyłem jej na s $\acute{l}$ owo i mierzyłem w duchu różnicę istniejącą pomiędzy tą kobietą a jej uwodzicielem.

Przez długą chwilę trwało milczenie, przerywane

tylko eichem łkaniem Róży, która przyciskając obie-  
ma rękami piersi, starała się uspokoić szalone serca  
bicie.

— Pani, wyrzekłem w końcu, ja nie wątpię, że  
słowo to jest w sercu twojem, nie posądzałem cię o  
próżną zabawkę.

— I nie potępiasz mnie pan, zawołała, wlepiając  
we mnie błyszczące łzami źrenice.

Przez moment patrzyłem na nią z litością i po-  
dziwem, z zapłonioną twarzą, z wilgotnymi oczyma, z  
postanowieniem i siłą miłości na ustach; była cudownie  
piękną, jak kwiat rozkwitły w rosie poranku, którego  
imię nosiła.

— Potępienie — powtórzyłem, to wielkie słowo,  
którem rzucić może ten tylko, kto głębiej nie spojrział  
w życie i serca życiem zranione; któż śmie potępiać  
tych, co cierpią?

Odetchnęła silnie z głębi piersi, jak gdyby słowa  
moje sprawiły jej ulgę.

— I cóż pani poczniesz dalej, spytałem, chcąc  
zmusić ją głębiej spojrzeć w siebie i trzeźwo zmierzyć  
przyszłość.

Ale mówiąc to, przesądziłem dojrzałość jej myśli,  
i podnosiłem miarę uczucia, które dotąd nie sformuło-  
wało jasno tej kwestyi.

— Nie pomyśleliśmy jeszcze o przyszłości, wy-  
rzekła nieśmiało, jakby czując, że tu był błąd jakiś z  
ich strony.

— Jakto, spytałem, on nie mówił o niej, pani nie  
pytałaś?

— Pytałam tylko w głębi ducha samej siebie i nie  
znajdowałam odpowiedzi.

Przecucia moje sprawdzały się — ten człowiek  
bawił się w miłość, dzieciak poniewierał jej sercem i  
życiem. Teraz byłem pewny swego, ale zadaniem mo-  
jem było, by ona zrozumiała to sama, chciałem zedrzeć  
z jej oczów zasłonę i okazać w naturalnem świetle  
człowieka, w którego wcieliła marzenia zawiedzionego  
serca.



A jednak wyrzekłem po chwili: pani zastanowić się musiałaś, że obecność wiecznie trwać nie może.

— Obecność jest okropną — szepnęła — ale boję się pomyśleć o przyszłości, bo ona jeszcze okropniejszą być może.

Miała słuszość, przeczyć nie mogłem; są położenia wklajające ludzi, z których wyjścia dopatrzeć nie podobna.

— I dla czegoś rzuciłaś się biedna pani w tę otchłań — zawołałem z głębi ducha.

— Dla czego? — powtórzyła patrząc na mnie oczyma promiennemi męczeństwem miłości — alboż ja szukałam szczęścia? . . . wiedziałam dobrze, iż ono dla mnie istnieć już nie może.

Widziałem, że to była prawda, ale nie rozumiałem jej dokładnie. — Ona mówiła dalej, chwila ta była stanowczą w jej życiu, — potrzebowała wypowiedzieć to wszystko, co jej leżało od tak dawna na sercu.

— Czyż pan nie rozumiesz, że potrzebowałam pokochać koniecznie, choćby mi to okupiło przyszło śmiercią lub męczarnią istnienia; w piersi mojej jakieś głosy tajemnicze podnosiły się, śpiewając to jedno cudne najwyższe słowo, kochać! Kochać, powtarzała w koło mnie natura cała cudną harmonią, to czytałam w koło siebie, wszędzie, zawsze, wypisane zgłoskami gwiazd na błękitie nieba, tęczę na burzliwych chmurach, splotami kwiatów na drzew zieleńi, a kiedy pracowaliśmy razem i zagłądali w tajemniczy świat przyrody, to słowo błyszczało mi na kartach książek, w suchych na pozór formułach, szukałam go i znajdowałam. Wówczas zagłądałam w głąb samej siebie i pytałam, czy w ogólnym weselnym chórze świata ja jedna mam być zapomnianym dźwiękiem, ja jedna mam przebrzmieć bez echa i celu, ja młoda, piękna a samotna sercem, zawiedziona w słusznych nadziejach, poślubiona a nie kochana.

— Pani! — zawołałem z prawdziwym żalem — czemuż nie powiedziałaś mi myśli twoich, kiedy pochylając czoło, zapadałaś nagle w zadumę, śląc wzrok w tajemniczą krainę marzeń?

— Alboż było na to lekarstwo — spytała gorączkowo — narzenia, to są świąty ludzi bez nadziei, ja uciekałam ku nim. Cóżbyś mi pan był odpowiedział, gdybym spytała się w ówczas, dla czego całym wychowaniem przygotowano mnie do tego tylko, bym była oszukana w najważniejszej sprawie życia, czemu budzono we mnie nadzieje, nie mające nigdy się sprawdzić, na mocy czego ja zawiedziona i zraniona we wszystkich uczuciach mam cierpieć i skazywać na mileżenie wszystkie szlachetne instynkta mego ducha? Czemu związane mi świat wówczas właśnie, gdy m nie mogła wiedzieć co czynię? Cóżbyś mi był odpowiedział? Znam cię panie Joachimie, wiem że jesteś sprawiedliwym, a jednak ty nie mogłeś mi doradzać tego, com uczyniła.

Była w tych wyrazach loika, o którą nie byłbym jej posądzał; ucisk, krzywda, niesprawiedliwość wyrażają zazwyczaj loikę w tych, których świat odsądził od praw wszystkich i skazał na cierpienie bez powodu i pożytku. W tej całej rozmowie ani ja, ani ona nie wspomnieliśmy Henryka, on był po za granicami jej, ona nawet nie żaliła się na niego, poznała go dość głęboko, by zrozumieć, że nie winien był temu, co się stało i zarówno nie był w stanie niczemu przeszkodzić, jak wrócić jej spokój i szczęście, które straciła przez niego — on był tutaj niewinnym winowajcą; wina leżała nie w nim, ale w ustroju społecznym, w obyczajach przyjętych, za którym on poszedł bez kontroli z dobrą wiarą. Pragnienia jego i myśli nie sięgały dalej, niż to, co posiadał, i to, co dawał w zamian, jakżeż mógł zrozumieć, że to nie starczył; Róży, że ona była w prawie domagać się spełnienia tej wielkiej duchowej spółki, którą marzyła w małżeństwie.

A kiedy przypominałem sobie, jak ta kobieta kochaną była, jakie szczęście mogła być znaleźć w innym związku, z człowiekiem, co zdolny był ją rozumieć, jakim blaskiem mogła zajaśnieć, dając szczęście wzajem szczęśliwa, musiałem uznać słusność jej skarg, jeśli nie słusność postępów.

Zamyśliłem się smutnie nad fatalnem nieporozu-

mieniem, powodującym nieszczęście dwojga ludzi; dla czego świat stanął na ich drodze, dla czego ich rozdzielił — teraz on zbierać musiał zatrute owoce swych czynów; nieszczęście Adama, upadek tej kobiety i jego następstwa, wszystko to ciążyło nad społeczeństwem, wśród którego żyli i rozwijali się oboje. Róża ze swojej strony rozmyślała zapewne także nad położeniem, w jakim była, po długim milczeniu podniosła głowę ze smutnym poddaniem i rzekła:

— Widzisz pan sam, że na to, co się stało nie było żadnej rady, od chwili, w której stanęłam przy ołtarzu, byłam skazana.

Ona nie roztkliwiła się nad sobą, miała rzadką odwagę spojrzeć w oczy rzeczywistości i znosiła los swój z hardą rezygnacją istot, które czują w głębi ducha, iż są więcej warte, niż ich postęпки, że zasługują na coś innego, niż potępienie, wiszące nad ich głowami, a jednak był w jej ostatnich słowach straszny sofizmat.

— Nie pani! zawolałem, nie ma położenia bez wyjścia, ni omyłki życia, któraby mogła skazać nas na upadek.

— Pan' mnie nie zrozumiałeś, odparła, nie kochana przez męża, koniecznie pokochać musiałam, a dziś, mówiła dalej, upajając się własnymi słowami, ja — ja nie powiedziałam jeszcze, żebym się chciała wrócić do tej bezbarwnej przeszłości, w której rwałam się do życia daremnie.

Spojrzałem na nią smutno i surowo, aż ona spuściła oczy przed wzrokiem moim.

— Biedna moja pani, wyrzekłem, ja nie mam prawa dawać ci rad, ni napomnień, ale widzę, że daremnie chcesz wmówić w siebie spokój i przekonanie, którego nie czujesz, wszystkie szlachetne instynkta twoje protestują przeciw roli, którą usiłujesz odgrywać, a która, wierz, mi zwieść może tylko niedoświadczone oko.

— Więc cóż mam czynić, panie Joachimie, zawołała, składając ręce przedemną, teraz wiesz wszystko.

— Pani, odparłem, proste prawdy życia nie zawodzą nigdy i dalszą się przystosować do każdego po-

łożenia. Zapytaj własnego sumienia, czy człowiek, który sam kłamie, który tobie śmie powiedzieć „kłam“, może być wart twego serca?

Zastanowiła się, pierś jej falowała, jakby toczyła się w niej jakaś walka.

— Cóż on mógł mi powiedzieć innego, wyrzekła krótko, urywanie, jakby lękała się sądu swego i odwołać go chciała.

Nie odpowiedziałem jej wyraźnie, odpowiedź była trudną, niepodobną prawie.

— Człowiek, wyrzekłem tylko, powinien mieć odwagę swoich uczuć i czynów, jakiegobądź mogą być ich następstwa.

Zrozumiała, że miałem słuszość w zasadzie, a jednak słowa moje tak przeciwne były zwykłej mądrości ludzkiej, że patrzyła na mnie wielkimi oczyma, jakby chciała wyczytać na mojem czole doniosłość myśli.

Ale jam nie cofał się przed żadną ostatecznością. Pojęła to, bo zawołała zakrywając oczy, jakby uderzył ją widok straszny.

— Nie, nie — to byłoby okropnem! — pan tego nie możesz myśleć na prawdę... a świat? a ludzie? — ich śmiechy, sądy, obmowy, domysły i potępienie ogólne?

— Czy sądzisz pani, spytałem, że droga, którą obraliście, ochroni was od tego? Ja od razu wyczytałem tajemnicę waszą! — Czy sądzisz, że ja jeden?

Zadrżała całym ciałem, bo dość poznała świat, by wiedzieć, że samo dotknięcie jego sprofanować musi wszystko i przejęła ją trwoga na samą myśl, że te czyste zachwyty jej serca, mierzone były jego miarą, zbrudzone jego sądem. Przywykła do przyjaznej atmosfery, od dzieciństwa wzrosła wśród tego zdawkowego szacunku, który otacza zwykle dzieci zamożnych rodziców i posażne panny, nie mogła pojąć, by straciła do niego prawo. Wiedziała, jak się sądzi zwykle upadłe kobiety, a nie mogła samej siebie stawiać w ich rzędzie.

W piersi jej była miłość, która rozgrzeszała ją we

własnych oczach. Krzywda doznana starczyła jej za usprawiedliwienie. Przecież pomimo tego wszystkiego, sumienie jej nie było spokojne: czuła w głębi ducha że zle poniesione, zrzadzonego zła uniewinnić nie może.

— Panie Joachimie, zawołała, zwracając się do mnie, niby z prośbą, bym wytłumaczył jej to zawile zagadnienie, dla czego ja nie miałam prawa uczynić tego?

Nie skończyła, alem ją zrozumiał. Doprawdy na dziwne pole zesza nasza rozmowa, i dziwnie uderzyłaby uszy ludzkie, gdyby ją kto podsłuchał.

— Pani odparłem, odwet nie jest prawem, wiesz o tem. Ty najmniej byłaś winną sercowej pomyłki, która zrobiła z ciebie żonę Henryka, ale nie mniej pomyłkę tę tyś spełniła i ty ją odcierpieć musisz; takie jest niezmiennne prawo rządzące światem, a prawo to jest dobroczynne w swych skutkach, bo cierpienie ostrzegło cię o pomyłce, i dało twój myśli dojrzałość doświadczenia.

Sluchała mnie uważnie.

— To prawda, wyrzekła, ale cóż dalej, cóż dalej?

— Złamałaś pani ludzkie prawa, oddając innemu serce nie wolne i świat słusznie lub niesłusznie, ukarze cię za to po swojemu; ale kłamiąc i udając, obraziłaś stokroć więcej moralne, niestarte prawo, zapisane w sumieniu twojem i do nieszczęścia dorzuciłaś upadek. Słowa moje były surowe jak prawda, jednak nie obraziła się niemi.

— Pan masz słusność, zawołała, ja to czuję, przecież nie mogę głośno w oczach świata powiedzieć „kocham tego człowieka.“

Na licu jej był gorączkowy rumieniec.

— Nie pani, tego nie możesz uczynić, odparłem, bo wprzód, zanim rozrządzisz sobą, powinnaś odzyskać niezależność.

— Rozumiem pana, doradzasz mi rozwód.

— Ja ci nie doradzam, nie śniem doradzać, bo nie wierzę w skuteczność żadnej rady, my rozumiemy tylko, a ty pani rozważ sama, co masz uczynić. Znasz dość ludzi, by wiedzieć, na co się na-

razasz, wiesz, że jakąbądź drogę obierzesz, wszędzie napotkasz cierpienie.

To wszystko było twardem bardzo, i musiało wydawać się takiem młodej kobiecie, nawykłej do atmosfery pochlebstw, do miękkich denerwujących frazesów, do paradoksów bez podstawy, mających prawo obywatelstwa we wszystkich salonowych rozprawach. Rozwód, to jedno słowo uderzyło ją boleśnie — bądź jak bądź, trzeba było zerwać łańcuch wspólnego życia, zerwać z tysiącem drobnych nawyknień, zburzyć to wszystko co istniało, by na zgliszczach tego co było, budować sobie nową przyszłość. Rozwód — dla każdej istoty, obdarzonej choć trochę serca i inteligencji, słowo to ma straszne znaczenie, niepotrzebnie, prawodawcy obwarowują go tysiącem trudności; dla ludzi myślących, pozostanie on zawsze straszną ostatecznością, do której tylko uciec się można, gdy wszystko inne zawiedzie; Róża musiała o nim myśleć nieraz, a jednak zadrżała słysząc je sformułowane wyraźnie.

Ja też tego pragnąłem, chciałem, by zapytała samą siebie, czy ten, dla kogo dokonać go zamierzała, wart był tego, czy oszukana raz, nie będzie nią raz drugi, czy Eugeniusz odpowiadał w zupełności jej marzeniom i czekałem z trwogą jej pierwszego wyrazu.

Ona nie pomyślała o trudności rozvodu, nie zapytała, co uczyni, jeśli go nie dostanie, ale wyrzekła tylko: —

— Boże, jakie to straszne!

W tej chwili, nie była to rozżalona kobieta wążąca prawa i krzywdy swoje, ale miękkie dziecko, nie stworzone do realnego życia, nie zdolne do trudnych walk jego i dające się z łatwością unosić powszednim prądom.

— Tak, to straszne! powtórzyłem, biorąc jej ręce i ściskając je w moich z ojcowskiem uczuciem; życie może być bardzo pięknem, ale trzeba w nie wchodzić inaczej uzbrojoną, niż ty byłaś, biedna pani; teraz los twój wydaje ci się okrutnym, nie dziwię się temu, ale spróbuj zmierzyć go trzeźwem okiem, miej odwagę nie zważać na cierpienie i zapytaj serca i sumienia, co

masz uczynić. Ja nie odstąpię cię nigdy, cokolwiek postanowisz.

— Wierzę temu, zawołała, wlepiając we mnie niezmacone oczy, w świecie, co mnie otacza, pan jeden jesteś człowiekiem.

To było straszne wyznanie dla Eugenjusza; nie wiem, czy zastanowiła się nad tem, czy też pomiędzy wszystkimi on był w jej oczach wyjątkiem i nie mieszała go z tym pogardzonym otaczającym światem, ale w tej chwili nie mogłem o to zapytać, pomyślałem tylko, że wszystko, com ja jej mówił, należało jemu wprzód jeszcze powiedzieć.

Była też jedna trwoga, która niepokoila mnie ciągle, jak dalece świat uwiadomionym był o tym nie-szczęsnym stosunku. Róża piękna, młoda, bogata, według pojęcia świata zupełnie szczęśliwa, musiała budzić w koło tysiące zazdrostek, które czekały tylko sposobności, by szkalować biedną, nierozważną kobietę i poszarpać jej dobrą sławę. Z drżeniem myślałem o strasznych skutkach, jakie to wszystko mieć mogło i oczekiwałem niecierpliwie chwili, w której pierwszy rzut oka na zebrane towarzystwo okoliczne, miał rozświecić wątpliwości moje. Sposobność nadarzyła się niebawem; — za dni kilka miano obchodzić świetnym balem w Sinogórze uroczystość imienin Róży.

Od rana dnia tego Henryk zajmował się stosownem urządzeniem domu, Eugeniusz przyjechawszy pod jakimś pozorem, dopomagał mu gorliwie, co chwila spoglądając na drzwi od pokoju młodej kobiety szczelnie zamknięte. — O tej porze Róża nie była jeszcze ubraną — widziałem, jak to niecierpliwilo Eugeniusza, który śmiał się i rozmawiał głośno, zapewne, by do-słyszała głos jego i spieszniej kończyła toaletę.

Rozumiałem to doskonale i niby zajęty urządzeniem salonu, nie spuszczałem go z oczów. Chwila ta była dla mnie ważną bardzo. Od pamiętnej rozmowy naszej Róża nie widziała się z nim wcale; jakaś niespodziana podróż oddaliła go z domu na dni kilkanaście, dzisiaj dopiero zjawił się z pierwszymi promieniami słońca.

Posądzałem go, że chciał być pierwszym dla złożenia życzeń młodej kobiecie, ale choć oczy pałały niecierpliwością, nie dał tego spostrzedz po sobie i wprawny w lekką rozmowę, prowadził ją z ożywieniem, nasłuchując jednak upragnionego szelestu jej sukni.

Henryk nie zdawał się wcale niczego domyślać i ze spokojnym sercem biorąc uprzejmość sąsiada na swój własny rachunek, czuł się uszczęśliwionym z jego przyjaźni.

Młodzi ludzie gawędzili wesoło na pozór, tylko od czasu do czasu Eugeniusz spoglądał ku mnie, jak gdyby zawadzała mu moja obecność, aż wreszcie potrafił tak zręcznie obrócić rozmowę, iż grzeczność sama nakazywała mu zapytać o Różę.

— Moja żona, odparł spokojnie Henryk, jest jakoś cierpiącą od dni kilku, zmizerniała nawet.

Spoglądałem bacznie na Eugeniusza, nie wydawał się wcale z oznaką współczucia lub niepokoju, jak to przystało tak wytrawnemu szermierzowi w grę serca.

— Jak to — zawołał tylko z wytworną grzecznością, czy to nie przeszkodzi dzisiejszej zabawie; czy będąc miał szczęście powitać teraz panią.

— Oh! — wyrzekł niedbale Henryk, nie turbuj się, Róża ubierze się nie długo, ja sądzę, że na jej chorobę najiepszem lekarstwem będzie zabawa, zwykła to rzecz u kobiet.

Nie wiem czy Eugeniusz podzielał to zdanie, czy zatroszczył się więcej od męża o Różę; jeśli tak było, potrafił ukryć to starannie.

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich młoda kobieta, znać przygotowała się na to spotkanie, bo twarz jej blada nie ożywiła się rumieńcem. Ona także była panią siebie, bo z dziwną mieszaniną przymusu i powagi zbliżyła się do nas. Znać rozmowa nasza wywarła na nią wpływ wielki, znać zastanowiła się nad swoim położeniem, a może i zakreśliła sobie plan postępowania, bo powitała Eugeniusza zupełnie inaczej jak przed kilku dniami, bez śladu owej lekkomyślnej radości, z jaką wybiegła wówczas naprzeciw niego. Eugeniusz zrozumiał to od razu i jak zwy-



kle ludzie jemu podobni, uczuł się podrażniony, przez chwilę stał w miejscu, jakby oczekując jakiegokolwiek uprzejmego słowa, powitania, do którego był przyzwyczajony. Wreszcie zwyciężył to uczucie, zapewne osądził, że Róża musiała mieć powody takiego postępowania i zbliżył się ku niej, ale ona niby chroniąc się pod moją opiekę, kierowała się ku mnie.

Eugeniusz nieznacznie przygryzł wargi i spojrzał na mnie niechętnie, antypatya powzięta od pierwszego wejrzenia wzrastała pomiędzy nami.

— Słyszałem, że pani byłaś cierpiącą, wyrzekł zniżonym głosem, i ja to sam spostrzegam, cóż się to stało? co jest pani?

Wprawdzie mógł tak do niej przemawiać w obliczu wszystkich; jednak było coś w jego głosie i wyrazie, co zdradzało daleko więcej, niż zawierały te zwyczajne słowa, upoważnione przez przyjazne stosunki.

Róża nie odpowiedziała nic, pochyliła głowę i przez chwilę miotana wewnętrzną walką, nie wiedziała, co ma począć, ale wkrótce odzyskała panowanie nad sobą, podniosła dumnie piękną głowę i odparła, patrząc prosto w oczy jego.

— Tak jest, cierpiałam.

Teraz ona swoim spojrzeniem wymawiała mu to cierpienie, zrozumiał ją, cień smutku, wyrzutu, czy trwogi, przesunął mu się po czole, a jednak wyrzekł:

— Nie rozumiem pani.

Pochylił się ku niej i dodał, zapominając, że go słyszeć mogą.

— Ja nie zasłużyłem na to.

Wyraźnie w tej chwili nie chciał na nic zważać, położenie nas trojga stawało się drażliwem, gdy Henryk, którego oka jak zwykle uszło to wszystko, zbliżył się do nas.

— Róziu! wyrzekł, pan Eugeniusz straszliwie niepokoił się o ciebie, powiedzże mu sama, że dzisiejsza uroczystość nie nie ucierpi z powodu twego wczorajszego bólu głowy.

Róża spojrzała na niego trwożnie, może zdawało jej się, że to było skryte szyderstwo, że on już wie-

dział wszystko, ale pogodny wyraz jego twarzy, rozproszył jej niepokój, tylko widziałem, jak ręka jej leżąca na poręczy krzesła drżała pod naciskiem uczuć.

— Znadto troszczycie się o mnie wszyscy, wyrzekła.

— I zapomnieliśmy przez to złożyć pani życzeń naszych, wyrzekłem, chcąc inny zwrot nadać rozmowie i odwrócić od niej uwagę dwóch mężczyzn.

Nastąpiła scena powinszowań — Eugeniusz widocznie szukał sposobu zbliżenia się do Róży, uzyskania choć chwili swobodnej rozmowy, ale ona jej unikała widocznie, chroniąc się przy mnie:

Widziałem, jak oczy młodego człowieka prosiły i groziły daremnie, jak niecierpliwą ręką targał rękawiczki. W tej chwili nienawidził mnie serdecznie i byłby z rozkoszą użył jakiegobądź środka pozbycia się mojej obecności, chociażby na zawsze. Ja zapytywałem samego siebie, czy nie byłoby lepiej, gdyby raz wypowiedziała mu stanowczo nowe myśli i zamiary swoje, ale to nie była stosowna pora na podobną rozmowę, był to bolesny obowiązek, w którym nikt nie mógł jej wspomóc.

— Pani! szepnąłem, tylko miej odwagę.

— Będę ją miała, mieć muszę, odparła, ale nie dzisiaj, nie teraz.

On spostrzegł to ciche porozumienie między nami i uczuł się obrażonym — jakim prawem ona mieć mogła przed nim tajemnicę, jakim prawem nie była dla niego tem, czem dawniej, — zmierzył mnie gniewnym, wyzywającym wzrokiem.

— Jak widzę, wyrzekł, pan Joachim jest zaszczycony zaufaniem pani i wtajemniczony w przyczyny niepojętej zmiany, jaką w pani dostrzegam.

Henryka nie było w pokoju, mieliśmy więc względną swobodę, a Eugeniusz korzystał z niej, by wypowiedzieć te niebaczne słowa.

Róża zarumieniła się gwałtownie, z oburzenia czy trwogi, a młody człowiek stał niedbale wsparty o okno, w szyderczej postawie, nie spuszczać oczów z nas dwojga. Temi słowami dawał mi bróń przeciw sobie,

pozwał mi wyjść z biernego położenia, w jakim znajdowałem się z musu, nie wiem czy wypowiedział je naumyślnie z tym zamiarem, czy tylko przez gniew nierozważny otworzył mi tę drogę; alem ja z niej skorzystał.

— A gdyby tak było, odparłem, to dowodziłoby tylko, że pani Wielińska poznała wartość mojej starej przyjaźni, i nie waha się na nią wesprzeć.

Przygryzł wargi aż do krwi i rzucił na mnie złśliwe spojrzenie.

— Są ludzie, wyrzekł półgłosem, którzy unieją wszędzie się wcisnąć.

Te zuchwałe wyrazy zasługiwałyby na ukaranie, chciałem odpowiedzieć, ale Róża nie dała mi na to czasu i śmiertelnie blada stanęła pomiędzy nami.

— Panie Eugeniuszu, wyrzekła drżącym głosem, pan się zapominasz.

— Być może, odparł chłodno, ale oczy jego mówiły wyraźnie, dla czegoś doprowadzasz mnie do ostateczności, a na to jasne zapytanie, ona nie miała odpowiedzi.

— Tak jest, ciągnął dalej młody człowiek rozzu-chwalony tęp łatwym zwycięstwem, pani jesteś niesprawiedliwą i wyłączną; od czasu powrotu pana Joachima, pogardzasz przyjaciółmi i odsuwasz ich daleko od siebie, więc ja pana o to obwiniam.

Mówił to z owym lekkim uśmiechem, który tak pasował do jego purpurowych ust, spoglądając na mnie z lekceważeniem, jakie zwykle mają młodzi światowcy dla ludzi pracy. Ale ja w zamian zmierzyłem go surowym wzrokiem.

— Masz pan słuszność, wyrzekłem chłodno.

Tego wyznania nie spodziewał się wcale i chwilę zawahał się jak je przyjąć, jednak było coś w mojej postawie, co podziałało na niego, bo uważał za stosowne w żart obrócić to całe zajście i zaczął śmiać się głośnym wymuszonym śmiechem.

— A to nieoszacowane, i pan przyznajesz to tak jawnie, otwarcie.

— Nie zwykłem ukrywać nigdy myśli, ani uczuć

moich i chlubię się z tego, odparłem topiąc wzrok w jego czoło, które okrywało się pomimowolnym rumieńcem.

— Tak, pan jesteś zacnym i szlachetnym, zawołała Róża, pociągnięta urokiem prawdy, przechodząc wyraźnie na moją stronę.

Tego było za wiele, Eugeniusz przejęty gniewem zrozumiał, że w tej chwili walka była pomiędzy nami nierówną.

— A więc, wyrzekł ironicznie, nie pozostaje mi jak pożegnać panią i powinszować, że ją zostawiam w takim towarzystwie.

Wargi jego drgały i wszystkie namiętności zdawały się kipieć pod maską spokoju, nałożoną koniecznością, skłonił się i wyszedł.

Róża wytrzymała odważnie to pożegnanie, ale gdy drzwi zamknęły się za nim, usunęła się na kanapę, zalamując ręce, jakby serce pęknięć jej miało.

W tej całej scenie człowiek ten dowiódł tylko samolubstwa, próżności i pewności siebie, ale nie zdradził prawdziwego uczucia ani jednym słowem, niewiem czy ona dostrzegła to tak jak ja, ale kochała go i cierpiała.

Przez okno otwarte doleciał nas wykrzyknik Henryka:

— Cóż to, już odjeżdżasz Eugeniuszu! dla czego tak spiesznie.

Eugeniusz już siedział na koniu i piękny profil jego rysował się dla nas wyraźnie na zieleni klombów, Róża pochyliła się naprzód, jakby chcąc skrócić odległość i dosłyszeć prędzej słowa, które miał wymówić.

— Przypominałem sobie, że mam pilne zajęcie w domu, odparł tylko.

Ale Henryk nie był wcale przekonany tym argumentem, i szybko zbliżywszy się do przyjaciela, oparł rękę na jego wierzchołku.

— Coż to! zapytał, czy pali się u ciebie, myślałem, że przepędzimy razem dzień dzisiejszy.

— Miałem i ja tę nadzieję, wyrzekł Eugeniusz, podnosząc głos umyślnie, ażeby był usłyszanym we-

wnętrz domu, ale wierz mi, przypominałem sobie coś ważnego.

Wyraźnie czekał tak pod oknem, by zachęcił go do pozostania głos Róży, ona jednak obrażona milczała.

— Przecież to coś tak pilnego na później odłożyć możesz, nalegał Henryk niezrażony.

— Nie mogę, doprawdy nie mogę, powtarzał, nie ruszając się jednak z miejsca.

— Róziu, zawołał dobroduszenie Henryk, zatrzymajże Eugeniusza.

Na to wezwanie kobieta zadziała i podniosła na niego zmęczone oczy tysiącem sprzecznych uczuć, ale nie miała siły wymówić słowa jednego, a zresztą cóż mogła powiedzieć.

— Gdzież Rózia, pytał mąż, nie rozumiejąc nic a nic z tego, co działo się przed jego oczyma.

— Jest tam, z panem Joachimem, odparł Eugeniusz, wskazując końcem spieruty na okno salonu.

— Czyście się pogniewali z sobą, ciągnął dalej Henryk.

Tego było za nadto, nawet dla Eugeniusza, który zrozumiał, że scenę tę zakończyć trzeba.

— Cóż znowu przyszło ci do głowy, ale puść mnie muszę jechać.

— Wszak wrócisz na wieczór, wyrzekł mąż, słusznie upatrując w tym nagłym odjeździe coś nadzwyczajnego.

— Ma się rozumieć, odparł młody człowiek, i opuściwszy cugle koniowi, pojechał czwałem.

Henryk powrócił do salonu w najgorszym humorze; Eugeniusz był jego ulubionym towarzyszem, umiał rezywować monotonię tego życia zabaw, jakie prowadził i zręcznym postępowaniem stał mu się nieodbitie potrzebnym tak dalece, że nie mógł prawie obejść się bez młodego sąsiada. Fakt ten nie dziwił mnie wcale, wszakże tak dzieje się ogólnie. Henryk tedy przyszedł z chęcią wymówienia żonie jej braku uprzejmości, szczęściem zastał mnie samego, młoda kobieta odeszła do siebie.

— I gdzież moja żona, spytał oglądając się w ko-

ło, co jęj się dzisiaj stało, czy nie kontenta z podarunku, jaki jęj dałem.

I mówiąc to pokazywał mi w pudełku kosztowną bransoletkę zapomnianą tutaj przez Różę.

Położenie moje stawało się coraz trudniejszém, lękałem się jakim bądź słowem naprowadzić go na ślad tego, co się tu działo, a to było tak widoczném, iż nie rozumiałem, jakim sposobem on jeden mógł być ślepym. Z drugiej strony wmieszanie się moje w te drażliwe stosunki mogło doprowadzić je prędzej jeszcze do wybuchu, bo zazwyczaj działając na zakochanych, nie można obrachować najprzód tego, co się wywołać może, tak często skutek różni się od przyczyny; pomimo to jednak wszystko Róża a nawet Henryk, obchodzili mnie za nadto, bym mógł spokojnie życie ich zdać na los szczęścia. Miałem za wiele rzeczy do powiedzenia Henrykowi, by módz je streścić od razu, i partryłem w milczeniu na bransoletkę.

— Cóż? czy nie piękna, mówił mąż, nie domyślając się wcale przykrych myśli, których był celem.

— Bardzo piękna, potwierdziłem.

— Jednak nie podobala się Rózi, ciągnął dalej zafrasowany, widocznie pragnęła czegoś innego, radziłem się nawet Eugeniusza.

Widocznie zasłaniał się tym sposobem przed odpowiedzialnością za nieodgadnienie gustu żony.

— Zdaje mi się, wyrzekłem zniecierpliwiony, że się niepotrzebnie kłopotesz o tę bagatelę, żona twoja jest po prostu cierpiącą.

— A to ślicznie! zawołał, właśnie w porę na bal dzisiejszy, znam ja Różę lepiej od ciebie, nie jest wcale chorą, tylko się dąsa jak zwykle, zwyczajna to taktyka kobiet wszystko składać na zdrowie, przecież żadna nie może powiedzieć otwarcie: „Jestem zła, gniewam się, kapryszę.“ Więc mówią: „mam migrenę, rozdrażnione nerwy,“ a to zupełnie na jedno wychodzi.

Na ten raz Henryk miał po części słusność, nie miałem więc sumienia zaprzeczać mu energicznie, ale też jak dawniej nie mogłem go zachęcać, by dochodził koniecznie przyczyny tak zwanych kapryśów żony.

— I jak na złość, zaczął znowu mąż, Eugeniusz wyjechał, a był mi taki potrzebny.

— Ty, jak widzę, nie możesz się obejść bez niego, wtrąciłem trochę szyderczo.

— Naturalnie! odrzekł spokojnie Henryk, on jeden umie wszystkiemu zaradzić, nawet kaprysom mojej żony, cóż to będzie teraz? kiedy go nie ma.

Kaprysy Róży, była to rzecz dla niego tak doskonale utarta, iż wszystko skryć się mogło pod tem szczęśliwem mianem, teraz wahałem się naruszyć tej spokojnej wiary.

Dzień cały przeszedł jak zwykle, tylko młoda kobieta była bladą i milczącą, a Henryk narzekał nieustannie na nieobecność przyjaciela, zresztą nie miałem sposobności mówić z Różą, i nie szukałem jej, było moim obowiązkiem wypowiedzieć jej raz moje zdanie o tem, co zobaczyłem na wstępie, ostrzedz ją o grożącym niebezpieczeństwie, ale nie chciałem być wcale powiernikiem jej miłości, dzisiaj chodziło mi o rzecz ważną, chciałem zdać sobie sprawę w tem licznem zebraniu, jak dalece świat był o niej uwiadomiony i w jaki sposób tolerował ją, lub potępiał?

Wieczorem goście zjeżdżać się zaczęli; Róża w całym blasku świetnego stroju, przyjmowała ich z uprzejmością, wyrobioną wprawą i wolą, przecież nie trzeba było tu na to biegłego psychologa, by dostrzedz, że na jej ustach tkwi jednaki wymuszony uśmiech, że oczy roztargnione, zdawały się kogoś szukać i nie znajdując go zachodziły mgłą smutku, że czoło jej miało błądź marmuru, a na licach świecił gorączkowy rumieniec. To wszystko zauważano zaraz, zarówno jak nieobecność Eugeniusza, i widziałem wyraźnie, że komentowano związek, zachodzący pomiędzy tą nieobecnością, a sympotomatami niepokoju, wypisanemi na twarzy gospodyni domu.

— Gdzież pan Eugenjusz? pytały ją życzliwe sąsiadki i serdeczne przyjaciółki jedna przez drugą z nadzwyczajną troskliwością i powtarzały te słowa, nie słuchając wcale odpowiedzi, a zamieniając pomiędzy sobą złośliwe wejrzenia, pełne cnotliwej radości z cu-

dzego cierpienia. Znać więc wiedziano wszystko, a zapewne domyślano się więcej daleko. Uważałem to w obejściu kobiet i mężczyzn, którzy zbliżali się do młodej kobiety z dwuznacznym uśmiechem, spoglądając śmiało w jej oczy gotowi zaraz poświęcić się na pocieszycieli z tajemną nadzieją, że kolej ich nastąpi nie chybnie.

Nie wiem, czy Róża była w stanie dostrzedz tę zmianę obejścia, dowodzącą, jak bardzo zniżył się dla niej poziom ogólnego szacunku. Były to wprawdzie odcienia tak subtelne, że nie podobna było obrazić się za nie, lub ująć, a jednak dla wprawnego oka one wypowiadały wszystko, świadczyły wyraźnie o jej upadku, a przynajmniej o tem, że upadek ten dla obecnych nie podpadał żadnej wątpliwości.

Patrzyłem na to z głębokim smutkiem, pozory i fakta mogły przemawiać przeciwko Róży, ale ona nie zasługiwała na lekceważenie, nieszczęśliwa miłość mogła doprowadzić ją do błędu, ale nie odjęła jej prawa do szacunku, jednak wiedziałem, że wszystko to było daremnym, że nad kim raz słusznie lub niesłusznie zapadnie wyrok świata, ten nie przeinaczy go nigdy. Odtąd mogła ona być wzorową, kochającą żoną, lata i lat dziesiątki, świat dla tego nie zmieniłby złania swojego, bo kogo raz osądził upadłym, ten chociażby podniósł się sto razy, zawsze nosić będzie nazwę upadłego. — I znów z goryczą pomyślałem o człowieku, co nie umiał jej uszanować, a dzisiaj porzucił wśród nieprzyjaznego tłumu, dla marniej wymarzonej obrazy, nie pomny, że zawiesił nad jej głowę burzę gromami brzemienne, że lada chwila ona może zapotrzebować obrony i szukać jej daremnie w koło siebie, ale nie dziwiłem się temu, wszakże tak postępują zazwyczaj uwodziciele salonowi, wszak miłość uważają oni tylko za konwencyonalny frazes, kryjący rozpustę, którym nikt nie jest oszukany, dla czegoż ona jemu wierzyła? czyż nie powinna była wiedzieć, że słowo wiecznie mówi się przez grzeczność, z przywyknienia, że to wiecznie trwać może co najdłużej kilka miesięcy lub lat parę, że jednostajność nuży, lzy zajmują zale-



dwie w pierwszych dniach wyznania, że miłość powinna rozweselać, nie zasepiać życia i że tego wszystkiego nikt nie bierze na serwo.

Ona była tak szalona, że to brała za prawdę, że oddawała bez namysłu całe serce człowiekowi, który po nie sygnał niedbałą ręką, jak po rzecz, która mu się z prawa należała, skoro jej zażądał. Gdybyć przynajmniej wprawna była w sercową komedię, gdyby zimna i wyrachowana, bawiąc się w miłość, umiała panować nad sobą, to może byłoby to wszystko uszło bystremu oku świata, ale ona prawa i szlachetna, rzuciła całe życie w tę grę niebezpieczną i zdradzała tajemnicę swoją każdym spojrzeniem, każdym rumieńcem.

Istoty jej podobne zwykle niepowrotnie potępiane bywają; widziałem wyraźnie potępienie, ciężące nad nią, a krążące w milezeniu wśród licznych gości, chwytalem mimowolnie na każdym kroku szydercze słowa, przypuszczenia i żarty, zdawało mi się, że całe sąsiedztwo zjechało się tutaj z tą jedynie myślą, by podpałtrzyć domowe tajemnice, ośmieszyć i wyszydzić ludzi, przyjmujących ich tak gościnnie.

Nie mogłem dziwić się temu, wiedziałem z doświadczenia, że to jest cechą prawie wszystkich światowych stosunków, wszakże wśród niego ludzie żądają tylko pozorów, cóż więc dziwnego, że nie znajdują nic więcej nad to, czego szukali.

Pomimo to dżałem, by jakie niebezpieczne słowo nie doszło uszów Henryka, a obawa moja zwiększała się z chwilą każdą, bo krążące kielichy odbierały resztę rozwagi i ostrożności gościom, którzy i tak nie grzeszyli nią wcale. Na koniec późny przyjazd Eugeniusza zwrócił do reszty ogólne zajęcie na temat, który z braku nowego podsycenia, zaczynał się już wyczerpywać. On ostatni przybył, jakby naumyślnie, by dodać materiału do wszystkich komentarzy i uwag, nie szczędzonych o widocznym smutku i roztargnieniu gospodyni domu, o kwaśnym humorze gospodarza.

Na pozór jednak bawiono się wesoło, muzyka wygrywała skoczne tańce, a ochoche pary snuły się w

kręgach po gładkiej posadzce; dla mnie jednak, co znalazłem burzliwe uczucia, kryjące się pod maską wesela, co nie budząc niczyjej uwagi, mogłem chwycić zdania i sądy ogółu, położenie to zdawało się dramatyczne i tak wyprężone, iż lada chwila, ta sztuczna weselość prysnąć mogła, ustępując miejsca widmom nieszczęścia i hańby, które zdawały się krążyć wśród ciemności burzliwej nocy, nad tym domem gorejącym tysiącem świateł i brzęcącym muzyką i gwarem i ostrzegać go dalekim hukem grzmotu o niewidzialnych piorunach.

Rzeczywiście noc była parna, bez gwiazd i księżyca, gruba zasłona i chmur pokrywała niebo tak, że poza obrębem oświetlonych okien, wszystko ginęło w jednostajnym cieniu, powietrze zdawało się ciężyć nad głowami i przygniatać piersi duszącym ciężarem — ja sam nie wiedzieć czemu przeszyty dziwnym niepokojem, nie mogłem sobie znaleźć miejsca, przebiegałem nieustannie salony napełnione strojnymi kobietami, z kręcącą się koło nich młodzieżą i męzkie pokoje dymane i gwarne, aż spotkałem Henryka; on także dnia tego był nie swój, może ślepotą jego zaczynała się rozjaśniać, może ostrzegało go o złem niewidzialnym tajemnicze przecucie. Pociągnął mnie z sobą do ogrodu i usiedliśmy obydwaj w werandzie, otaczającej dom od strony ogrodu.

Chwilę siedzieliśmy na niej w milczeniu, paląc cygara, których tylko rozrzarzone końce widniały w ciemności.

— Nie uwierzysz, wyrzekł w końcu Henryk, — jak ta zabawa męczy mnie dzisiaj, nie pojmuję, co mi jest? —

— To wpływ powietrza, odparłem, chcąc mu dać jakie bądź tłumaczenie, — patrz jak ponuro, duszno i parno.

On zazwyczaj nie był wcale wrażliwym na podobne rzeczy; przecież odrzekł po chwili.

— Tak, to bez wątpienia wpływ powietrza, posiedźmy tutaj chwilkę, nikt nie uważał, jakżeśmy tu wychodzili; potrzebuję odpocząć.

Milczałem i ja pogrążony w myślach, w koło nas

była cisza, żaden liść się nie ruszył w gęstwinie kłębów, żaden ptak nie zaśpiewał, natura cała zdawała się zmartwiała, ale za to wewnątrz domu słychać było coraz hałaśliwsze śmiechy i rozmowy, toczone widocznie przez ludzi rozgrzanych winem.

— Chodźmy ztąd, wyrzekłem, widząc, że głosy zbliżały się do bocznego gabinetu, od którego drzwi wychodziły na werandę.

Ale Henryk odparł niedbale.

— Idź jeśli chcesz, ja tu zostanę, oni tutaj nie przyjdą.

Zostałem z nim. Rzeczywiście grono rozmawiających zatrzymało się w gabinecie.

— Coś nasz gospodarz, wyrzekł jeden z nich, djabelnie dzisiaj nie w humorze.

— Ba! odparł śmiejąc się drugi, tak bardzo dziwić mu się nie można; postaw się w jego położeniu, gdyby twoja żona czyniła to, co pani Róża, ciekawym jaką miałbyś minę?

Od początku tej sceny czułem instynktownie, że ona stanie się drażliwą i usiłowałem uprowadzić ztąd Henryka nadaremnie, teraz było zapóźno, czułem, że ręka jego spoczywała na mojem ramieniu ciężka jak żelazo, nie mogłem widzieć jego twarzy, noc rzuciła na nią nieprzebitą zasłonę, ale zdawało mi się, że jego źrenice świeciły złowrogim blaskiem.

Tymczasem w gabinecie odezwał się głos drugi obrażony.

— Proszę mnie ani mojej żony nie brać do podobnych porównań.

— Ależ panie, mówił znowu pierwszy, wszakże ja nic złego nie powiedziałem, a zresztą to się każdemu przytrafić może.

— Mnie się nic nie przytrafi, przerwał drugi, ja wcale nie taki cierpliwy jak Wieliński, nauczyłbym rozumu każdego śmiałka, coby mi wszedł w drogę.

Te groźne słowa, widocznie odebrały ochotę do dalszych żartów reszcie towarzystwa, ale za to wskazał im wyraźnie bezbronny, jak sądzili, cel szyderstwa.

— Już to, że cierpliwy to prawda, zaśmiano się jednogłośnie chórem.

Ręka Henryka ścisnęła mnie jak stalowe kleszcze, słyszałem tylko, kiedy mówiono o jego cierpliwości, jak zęby mu zgrzytały gwałtownie.

— Ten Eugeniusz, zręczny na honor, potrafił zarówno stać się niezbędnym mężowi jak żonie.

— W tym musi coś być, wtrącił jakiś głęboki polityk z miną tajemniczą.

— Jużciż niepodobna, by on jeden nie widział romansu żony.

— Tak, widzieć musi, przywórzono.

— Więc jeśli mileży cierpliwie i patrzy na wszystko przez szpary, — musi w tym być jakaś przyczyna?

— Ba! a jeśli rzeczywiście nie widzi, moi panowie? — uderzmy się w piersi, mężowie zazwyczaj ostatni dowiadują się o takich rzeczach.

Śmiech ogólny przerwał tę komiczną apologią Henryka. —

— No — wtrącił ktoś w końcu — jeśli Wieliski: nie widzi, że jego żona szaleje za Eugeniuszem, to już stworzony na to, by go oszukiwano, nie będzie go żalował.

I śmiano się, śmiano wesoło, jak gdyby katastrofa domowa, spotykająca tę rodzinę, katastrofą, która mniej więcej każdemu zdarzyć się mogła, była rzeczą tak bardzo wesołą, — że nic innego nad śmiech wzbudzić nie mogła.

Teraz chwila była stanowczą; czekałem z trwogą, co Henryk uczyni? — Wprawdzie kiedyś, przed ślubem jeszcze, przewidując w dalekiej przyszłości podobną chwilę, myślał o niej z filozoficznym spokojem człowieka, którego nic z kolei, jaką obrął, wytrącić nie może. Wszakże widziałem po wrażeniu tej piekielnej rozmowy, że postanowienia jego zachwiały się w godzinie próby, a raczej zupełnie przestał o nich pamiętać. Zresztą ten pospolity fakt być oszukanym, głuchym i ślepym, w rzeczach nie dotyczących nawet sercowych kwestyi, ma coś tak dotkliwie drażniącego ka-

zda miłość własną, iż musiałem mieć pobłażanie dla tego wielkiego gniewu wrzącego w piersiach Henryka. On zapewne kiedyś wystawiał sobie, że może stracić miłość Róży, nawet, że ona pokocha innego, ale zdawało mu się, że to wszystko musi się stać w innej formie, że podobna katastrofa nie spotka go z nienacka, nieprzygotowanego, nie okryje śmiesznością, której lękał się, zwyczajem światowych ludzi, gorzej niż nieszczęścia i zbrodni. — Teraz czekałem, co uczyni, a położenie było tej natury, że nie miałem czasu ni myśli ważyć się na jakąkolwiek radę, wszystko zależało na tem, czy po pierwszej chwili nagłego wzruszenia pozostanie wiernym zasadom całego życia, czy też wybuchnie, zmrozi śmiechy szydercze, odzywające się w koło i zatopi je we krwi.

Chwila była stanowczą i trudną; jakiem prawem mógł wejść w grono swoich gości i zaprzeczyć temu, co było faktem; prawda uderzyć go musiała błyskawicą, czułem, że on nie wątpił o tem, co słyszał, a usłyszawszy, czy podobnie mu było udawać nieświadomość? dobra polityka może nakazywała mu to zrobić, przynajmniej na teraz, ale z uścisku ręki jego, nagłego zgrzytnięcia rozpacz, zrozumiałem, że on nie był w stanie tego uczynić, oddech jego wychodził z piersi stłumiony i gorący, tak, że słyszałem go i czułem na twarzy, jednak chociażby nawet i chciał był milczeć, traf nie pozwolił na to.

W chwili, gdy tak stał wsparty na mnie całym ciałem, z głową naprzód wysuniętą, jakby chcąc wykraść na ustach tych spokojnie rozmawiających ludzi, słowa i śmiechy dla niego zabójcze, jeden z gości wychylił się za drzwi gabinetu. Wprawdzie noc zakrywała nasze postacie, ale zdradziły nas tlejące cygara.

— Tu ktoś jest, szepnął przejęty złowrogiem milczeniem panującym na werandzie.

W tej chwili Henryk puścił rękę moją i rzucił się ku drzwiom. Światło oblało go jasnym strumieniem i wtedy dopiero mogłem wyczytać na jego twarzy to, co przecierpiał w tym krótkim czasie. On zwykle tak pogodny, uśmiechnięty, z tak plastycznym wyra-

\*

zem na czole, teraz blady jak ściana, ze ściętymi usty silił się nadaremnie przemówić, włosy w nieładzie spadały mu na czoło okryte zimnym potem, a oczy płonęły.

Daleko były teraz od niego wszystkie wyrozumowane uczucia, wszystko to, co wyobrażał sobie, że czuć będzie, wszystko narzucone zapomnianem zostało, tu był tylko człowiek śmiertelnie obrażony, gotów żądać rachunku od tych, co mieli rzucić na niego szydercze słowo.

Postać jego musiała być bardzo wyrazistą i nie zostawiała znać żadnej wątpliwości w oczach patrzących, bo całe wesołe grono, rozprawiające przed chwilą, stanęło jak wryte; naraz odeszła ich ochota do śmiechu, żalowali zapewne słów niebacznych, bo spoglądali na gospodarza domu z poszanowaniem, jakie budzić musi zawsze człowiek w prawdzie nawet zwierzęcego uczucia. I była chwila takiego milczenia, że naraz usłyszeliśmy jak na szyderstwo, z oddalonej sali balowej, wyraźne skoczne dźwięki mazura, szelest sukien po gładkiej posadzce i odgłos hołubców.

Wreszcie Henryk zdołał przemówić:

— Panowie, wyrzekł głosem zmienionym, ochrypłym tak, jakby niewidzialna ręka ścisnęła mu gardło, ja słyszałem wszystko.

Oni milczeli, bo i cóż odpowiedzieć mogli, a on ze skrzyżowanymi na pierśiach rękoma, powiódł po nich płonącym okiem. Żarty, któremi go obsypywano, skonały im na ustach. On zapewne chciał im rzucić w oczy wyraz obelgi, ale w chwili, gdy go miał wymówić, zawahał się, jakby szukając oczyma na kogoby wyrzucić wściekłość, co nim miotła, wszakże ci ludzie byli w tém tylko bezmyślném echem. I jakby pragnieniem zemsty jego wywołany, ukazał się Eugeniusz w drzwiach przeciwległych. Ożywiony tańcem, z rumieńcem na licu, ze swobodnym uśmiechem na ustach, piękny, szczęśliwy, pewny siebie jak zawsze, stanowił on tak dziwny kontrast z Henrykiem, że wszystkich oczy mimowolnie skierowały się ku niemu w oczekiwaniu, co teraz będzie.

Z razu nie zauważył on ogólnego przerażenia na twarzach obecnych, miał jakiś interes do gospodarza domu, szukał go i zbliżył się ku niemu, wówczas dopiero dostrzedz musiał jego złowrogie spojrzenie, a jednak nie cofnął się, nie przeczuwał, by gniew ten mógł tyczyć się jego, nie pomyślał nawet, by to być mogło, a jednak uderzony tą nagłą zmianą zawcwał.

— Henryku, cóż to się stało?

Henryk milczał, tylko bladość jego stała się trupią.

Młody człowiek nie odbierając odpowiedzi, postąpił naprzód, i powtarzając pytanie swoje, dotknął się lekko ramienia jego.

Ale na to dotknięcie, on wstrząsnął się cały, jakby poczuł jadowitego węża i odtrącił go od siebie tak silnie, że Eugeniusz zachwiał się i zatoczył.

Tego było za wiele, purpurowe wargi jego zaszyły krwią, jednakże nie zrozumiał jeszcze wszystkiego.

— Co się to znaczy, zapytał, zwracając te słowa więcej do zgromadzonych niż do Henryka.

Zapewne przyszło mu na myśl, że gospodarz dommu zachęcając drugich, sam pił zanadto, że nie poznaje go, lub stracił przytomność.

— To się znaczy, zawołał Henryk, piorunując go wzrokiem, iż poznałem ciebie w końcu, wiem że jesteś zdrajcą i nikiemnikiem.

Grom, wypadający z pogodnego nieba, nie byłby go więcej zadziwił, niż ten nagły wybuch człowieka, którego nigdy nie zaznał z tej strony, on zdawał się niedowierzać własnym oczom i uszom, wlepił w niego szeroko rozwarte źrenice, powoli jednak ponure milczenie obecnych, którzy nie czuli się w prawie odezwać i wmieszać pomiędzy tych dwóch ludzi, uderzyło go złowrogo, pewność jego zachwiała się nagle, źrenice straciły blask wyzywający.

— Henryku, szepnął jeszcze drżącym głosem, czego chcesz, co się stało?

— Co się stało, powtórzył pan domu, ty śmiesz mnie o to pytać? zapytaj się wszystkich obecnych — zgromadzonych, a wyczytasz w ich twarzach, że ty je-

steś zdrajcą, uwodzicielem, a ja, ja który patrzę na to, a nie widzę, ja jestem głupim lub nikczemnikiem.

Rzeczywiście usłyszana rozmowa nie zostawiła mu innej alternatywy, odsadzała go od czci lub od rozumu; nie wiem czy jego serce brało jakibądź udział w tém wszystkiém, ale zraniony w miłości lub w dumie swój tylko, nie miał innej drogi przed sobą, i według świata nie mógł inaczej postąpić. To téż ogólny przyjazny szmer zaprzeczenia przerwał mowę jego, temi słowy on się zaczął rehabilitować, przeważył na swoją stronę szalę ogólnej sympatii, idącęj tak wiernie za każdym powodzeniem.

Ale Eugeniusz także oprzytomniał szybko.

— Tu jest jakieś nieporozumienie, wyrzekł, szukając jeszcze wyjścia z tego położenia, które wytworzyło się tak niespodzianie.

Wyraźnie lękał się następstw tej chwili, ale czy lękał się dla samego siebie, czy dla Róży? tego nie mogłem odgadnąć.

Imienia jej oni dwaj nie wymienili wprawdzie, ale czyż potrzeba je było wymawiać, bądź jak bądź, od teraz ona była niepowrotnie zgubioną.

Ostatnie słowo Eugeniusza przywiodło do ostateczności Henryka.

— Nieporozumienie, zawołał, — pan to nazywasz nieporozumieniem, a więc ja ciebie zmuszę byś pojął wreszcie czego żądam.

I postąpił ku niemu z podniesioną ręką. Obecni rzucili się pomiędzy nich.

— Ha! zawołał Eugeniusz z tłumioną wściekłością, teraz to ja chcę od ciebie zadosyćuczynienia.

Od razu rozumieli wszyscy, że do tego przyjść musi, pojedynek był to zwyczajny rezultat podobnych stosunków, pomiędzy tak zwanymi ludźmi honoru. Wprawdzie mogli to byli uczynić z większą godnością, bez wrzawy i kłótni, która powoli zaczynała zgromadzać przy drzwiach gabinetu gawieź balową, ale zawsze do niego przyjść musiało, świat go wymagał, a wszakże oni byli wiernymi poddanymi świata. Tym



tylko sposobem mogli odzyskać szacunek jego, a nawet podnieść się wysoko w jego oczach.

A tymczasem nieszczęśliwa kobieta, która miała paść ofiarą tej sceny, tańczyła dalej, nie domyślając się pewno, że losy jej rozgrywały się w tak fatalny sposób, mimowolnie uderzyło to myśl moją; ale ona od tak dawna przywykła tańczyć na wulkanie, lada chwila mogącym pochłonać jej spokój, dobrą sławę i szczęście, oddawna musiała czuć że te dary życia, posiadała nieprawnie, do czasu tylko, przywykła śmiać się ze śmiertelnym smutkiem w sercu, kryć trwogi, niepokoje, wyrzuty sumienia pod maską swobodnej rozmowy, że nieszczęście nie mogło uderzyć jej niespodzianie..

Rozgłos o nadzwyczajnej scenie rozszedł się szybko, muzyka wprawdzie grała dalej, ale coraz mniej par kręciło się przy jej dźwięku, — tłum z sali balowej przenosić się zaczął na widownię zajścia, musiała i Róża coś posłyszeć o niem, bo ujrzałem zdaleka jej strojną głowę w amfiladzie pokoi, zbliżającą się ku nam.

Oczy wszystkich na nią się zwróciły, a jednak w koło niej tworzyła się próżnia coraz większa, przyjacielki rozstały się, przyjaciele nawet oddalili się, potępienie ludzkie unoszące się szeptem dopiero nad jej głowę, teraz wybuchnęło w całej sile, teraz gdy straciła punkt oparcia i opiekę. — A przecież cóż zmieniło się dla niej, czy była inną jak na początku balu, gdy witano się z nią tak czule i serdecznie, wszakże o tem, co było wiedzieli wszyscy, wszyscy bez wyjątku prócz Henryka.

To nagłe opuszczenie, był to fakt codzienny, a jednak nigdy wyraźniej nie okazuje się podłość świata, tak ogólna, tak zwyczajna, że w końcu każdego dzień przestaje.

Róża osamotniona wśród tego tłumu, który zebrał się pod pozorem złożenia jej swoich życzeń, stała wzdłuż wkoło przerażonym wzrokiem, nikt nie wytłumaczył jej zaszłych wypadków, czuła tylko coś okropnego w powietrzu, instynktownie szukała Eugeniusza. Nie wiem, czy on w tej chwili pomyślał o niej, ale zresztą

choćby to i był uczynił, teraz nie mógł zbliżyć się do niej; tym dwojga ludziom, winą miłości potępionym, przez społeczeństwo, nie wolno było się pożegnać nawet, musiał ją opuścić bez ostatecznego słowa wsparcia lub żalu i zostawić na łap cudzej zemsty. A przecież biedna kobieta szukała go daremnie oczyma wśród nieprzyjaznego, szyderczego tłumu, jako jedynego człowieka, co winien jej był opiekę, co miał miłością swoją zastąpić jej szacunek całego świata, rodzinę i stanowisko, które traciła dla niego.

Zapewne porzucając ją teraz, postąpił według reguł, przyjętych w podobnych razach, a jednak było w tym coś nieczemnego, zdaje mi się, iż gdyby w tej chwili wbrew wszystkim regułom i zasadom, był stanął przy Róży i wyprowadził ją jawnie z tego domu, który przestał de facto być jej domem, byłbym mógł przebaczyć mu wszystko i mieć dla niego względny szacunek.

Myśl ta jednak z pewnością nie przeszła mu nawet przez głowę, wyszedł z owego nieszczęsnego gabinetu przez ogród, kazał zaprządz i wyjechał, dowiedziałem się o tym później dopiero; teraz cała uwaga moja zwróciła się do Róży.

— Pani, wyrzekłem zbliżając się do niej, czego chcesz tutaj?

Kobieta uchwyciła ramię moje konwulsyjnie, jakbym ja był dla niej zbawczą kotwicą, z lic jej zeszyły żywe barwy, w białej sukni, z szeroko rozwartymi oczyma, podobną była do posągu przerażenia, tylko bukiet przypięty do stanika drgał od gwałtownych uderzeń serca, chciała zapytać o to, co się stało, ale trwoga o niego była silniejszą, niż wszystko.

— Gdzie Eugeniusz, szepnęła, nachylając się do mnie, gdzie Eugeniusz?

Cóż mogłem na to odpowiedzieć.

W tej chwili wzrok jej padł na Henryka, który rozburzony zdawał się jeszcze ścigać przeciwnika groźnym wejrzeniem. Ona gotową była iść ku niemu i powtórzyć jemu samemu niebaczne pytanie mnie uczynione.

— Chodźmy z tąd, wyrzekłem, uprowadzając ją do innych pokoi.

— Dla czego, zawołała gwałtownie, zapominając o wszystkich, co nas otaczali, gdzie Eugeniusz?

— Wyjechał przed chwilą, odparłem krótko.

— Jakto, bez pożegnania? dla czego? co się to stało, mówiła co raz ciszej, patrząc w oczy moje.

One widać dały jej odpowiedź, bo opuściła ręce z wyrazem pogębienia.

— Ach! jęknęła, rozumiem.

Nie przeczyłem jej, ale nie miałem tej brutalnej odwagi, powiedzieć jej wszystkiego. Potoczyła w około wzrokiem z rozpaczą i siły ją opuściły, zemdląła mi na rękę, podtrzymałem jej martwą postać i uniosłem przed ciekawym wzrokiem tłumu do jej pokoju, byłem z nią sam, daremnie dzwoniłem, służące rozbiegły się, jak zwykle w podobnych chwilach, nie znalazło się żadnej, gdy były potrzebne. — Spoglądałem na blade rysy młodej kobiety, spoczywającej w odrętwieniu, litując się nad chwilą, w której odzyska przytomność i powróci do poczucia swego nieszczęścia — oczy moje przylgnęły do jej twarzy, którą poznałem w całym rozkwicie bezmyślnego dzieciństwa, a którą teraz tak boleśnie wyrzeźbiło życie. Teraz była tysiąc razy piękniejszą, niż dawniej, cierpienie wyszlachetniło jej wyraz i z dziewczyny podobnej do kwiatu, utworzyło cudną kobietę, opromienioną majestatem dojrzewającej myśli.

Czyż to wszystko miało być zmarnowanym? czyż to życie w zawiązku rozbudzone za ledwie, miało zostać rozbite tym dniem jednym i błędem, który go poprzedził?

Nie, tutaj byłaby krzycząca niesprawiedliwość losu, cierpienie dzisiejsze było następstwem koniecznym nieświadomości i pomyłki serca, ale ono jak każde cierpienie powinno było przynieść zbawienne owoce, otworzyć jej umysł, wznieść uczucia i pojęcia. Czulem, że tak było, — że opatrnościowa misja zła spełniała się nad nią w tej chwili. Czyż na to tyłkoby potępiona bezpowrotnie za winy, których była więcej ofiarą niż

sprawczynią, nie mogła już podnieść się z upadku i dźwigała zawsze następstwa chwili płochości? Biedna Róża, jej zbladłe usta zdawały się poruszać cichą skargą, na to, że wychowawszy ją nieświadomą, w miękkim puchu pieściot, puszczano bez steru na burzliwe morze życia. Jej przyknięte powieki były jeszcze zwilżone łzami, włosy w nieładzie rozsypujące się w koło niej czarną falą spływały jak kir żałobny na białą szatę.

Biedna Róża, gdy zwilżyłem wodą jej skronie, zwołna otworzyła oczy; spojrzenie jej padło na mnie i zapewne wszystko, co tłoczyło jej serce, wróciło jej na pamięć, bo wyciągnęła zimne rączki złożone, patrząc żałośnie, błagalnie.

— Panie Joachimie, szepnęła cicho.

W tej chwili zwracała się do mnie prawie z trwogą, ja jeden pozostałem przy niej, a przecież przed godziną jeszcze otoczona była tak licznym gronem przyjaciół, pochlebców! Pochwyciłem w moje jej dłonie.

— Rozkazuj pani, zawołałem i bądź co bądź, rachuj na mnie.

Te słowa powróciły jej zupełnie przytomność, podniosła się gwałtownie z szezłagu, na którym ją złożyłem.

— Panie Joachimie, wyrzekła szybko, tutaj coś strasznego się stało, powiedz mi wszystko, wszak widzisz jestem silną, muszę, powinnam wszystko wiedzieć.

I mówiąc o swojej sile drżała całym ciałem, zaledwie mogąc się utrzymać, wspierała się o krawędź krzesła, a przecież stała prosta z wolą podolania złemu, co na nią spadało. Mężtwo jej przenosiło się. To, co zaszło, nie mogło dla niej pozostać tajemnicą, prędzej lub później musiała się o tem dowiedzieć z ust szorstkich lub obojętnych, więc jak mogłem najostrożniej, powiedziałem jej wszystko. Słuchała mnie nieruchoma, bez żadnego wykrzyknika, bez zmroczenia powiek, tylko blade jej czoło pochylilo się pod brzemieniem bólu, ręce złożone podnosiły do piersi.

— Boże, szepnęła zaledwie słyszalnym głosem, jam winna.

Nastała chwila głuchego milczenia, nie mogłem jej przeczyć, ale teraz nie myślała o sobie, o własnej przyszłości zniweczonej zdarzonym faktem. Całą jej troską byli ci dwaj ludzie, co dla niej ważyli życie.

Pod tym względem obawy moje wiele mniej były gwałtowne, domyślałem się wprawdzie, że przyjść musi pomiędzy nimi do pojedynku, obadwaj należeli do świata i szanowali jego formy, by się od tego uchylić; wiedziałem jednak, że pojedynek pomiędzy podobnymi ludźmi, rzadko bardzo bywa niebezpieczny, że honor w takich razach nadwyczej łatwo zadowolonym bywa, skandal tego wypadku niepokoił mnie wiele więcej niż jego skutki; ale ona tego rozumieć nie mogła.

Gdy wyszedł od niej, goście się już rozjechali, Henryk czekał na mnie. Świece dopalały się w lichtarzach, rzucając wahające się światło na porozrzucane sprząty, wszędzie znać było świeżą obecność licznego zgromadzenia, karty leżały na stolikach, resztki cygar dymiły gdzie niegdzie, atmosfera była dusząca, przesiąknięta winem i zapachami strojów, przez okna otwarte czuć było parny, denerwujący powiew burzliwej nocy. Henryk w pół rozebrany siedział w swoim pokoju, podparty obu rękami na zielonym stoliku, nie wyglądał wcale na człowieka zrozpaczonego sercowo, ale raczej na takiego, co zgrał się, wpadłszy w zřęcznie zastawione sidła i złym był sam na siebie, na świat otaczający, może też w duchu żałował nierozważnego wybuchu, który niespodzianie zatrzasł za nim wrota spokojnego życia i postawił go w dramatycznym położeniu bohatera romansu.

Nie kochał dość Róży, by się o nią strzelać, a w gruncie obchodziłoby go to bardzo mało, czy miała lub nie romans z Eugeniuszem, ale rzeczy zasły tak daleko, że bez śmieszności w położeniu tém zostawać nie mógł, a teraz rozpamiętywał smutne następstwa, jakie na niego spaść musiały. Najprzód, przyjemne życie, jakie prowadził dotąd, musiało być zerwane, musiał rozłączyć się z żoną, co znowu stawiało go w fałszywym położeniu towarzysko i materyalnie, bo rozstając się z Różą, musiał zwrócić znaczny pasag, jaki wziął

za nią, a którego już nie miał w ręku, włożywszy go w ulepszenia gospodarcze i urządzenie domu: słowem zdawał się gorzko żałować "porywczosci swojej i tego, że tak niefortunnie usłyszał rozmowę swych sąsiadów i przyjaciół.

Gdy wszedł, podniósł głowę i spojrzał chmurno, pytając: — Gdzie byłeś?

— Byłem u twojej żony.

— U mojej żony! powtórzył, gryząc ze złości cygaro, które machinalnie trzymał w ręku i zaponinał palić, niech djabli porwą żony, ich kaprysy, przywidzenia i romanse. Moja żona wykierowała doskonale mnie i siebie, nie ma co mówić.

Wysłuchałem tego wybuchu, aż nadto usprawiedliwiając go okolicznościami, wprowadzić mogłem mu powiedzieć, że przed ślubem jeszcze, ostrzegałem go o prawdopodobieństwie tego smutnego faktu, przekładałem naturalne następstwa podobnych związków, ale nie czas było powtarzać tego drażniącego dla wszystkich nieszczęśliwych „ty sam chciałeś;“ zresztą to do niczego nie mogło doprowadzić, siadłem więc przy nim, zapaliłem cygaro i rzekłem spokojnie.

— Rzeczywiście, to co się stało, jest nieszczęściem bez ratunku, cóż zamierzasz teraz uczynić?

— Ja nic nie zamierzam, odparł z tłumionym gniewem, muszę ulegać wymaganiom okoliczności, których przecie nie wywołałem; byłem oszukany, grałem doskonale rolę męża z komedyi, otworzyły mi się oczy, rzuciłem w twarz obelżywe wyrazy uwodzicielowi mojej żony, teraz wypada mi się z nim strzelać i na domiar wszystkiego narażać życie i zdrowie za dziecinne romanse Róży. Ciekawym bardzo, co mi z tego przyjdzie, jeśli mnie Eugeniusz skaleczy, on wiele zręczniejszy odemnie, piękne zadosyćuczynienie.

Miał słuszną uwagę, ale zdziwiło mnie to rozumowanie w ustach człowieka, idącego tak ślepo za przyjętym zwyczajem i nie mogłem wstrzymać się od powtórzenia jego ulubionych wyrazów.

— Tak czynią wszyscy.

Ale on nie rozumiał wcale lekkiego szyderstwa,

zawartego w t $\acute{e}$ m zdaniu i przerwał mi gwałtownie.

— I wszyscy czyniąc tak, popełniają głupstwo; powiedz mi na przykład dla czego koniecznie mam nadstawić karku dla tego, że moja żona kogoś kocha?

Wzruszyłem ramionami, logika tego dowodzenia była dla mnie zupełnie dostateczną.

A jeszcze jak na złość, ciągnął dalej Henryk, tego łotra Eugeniusza lubiłem bardzo, prawdę mówiąc, nie mogę się tak bardzo dziwić Róży, że jej się podobał.

Sposób jego widzenia był teraz na zimno pełen poślazania.

— A więc, zawołałem, kiedy tak, pocóż nagłym wybuchem wywołałeś na jaw tę całą sprawę.

— Dziwny jesteś Joachimie, przecież nie mogłem inaczej postąpić, postawiono mnie w głupim położeniu i kwita.

Miałem ochotę zauważyć, że człowiek sam wytwarza sobie położenia, i nie powinien im podlegać, ale to było zupełnie bezużytecznym; raz wszedłszy w b $\acute{u}$ hatterską rolę musiał odgrywać ją do końca, i to podobno trapiło go najwięcej, czyniąc tak przykrą obecną chwilę. Zresztą nie dopatrzyłem w nim żalu, ni współczucia dla nieszczęśliwej kobiety, która tę grę serca brała na seryo i pokutowała za nią w t $\acute{e}$ j chwili palącym niepokojem — rozpaczą. Jeżeli Eugeniusz, jak się tego lękałem, równie mało zajmował się jej loseni, to kara j $\acute{e}$ y o wiele przenosiła winę.

— A c $\acute{o}$ ż stanie się z R $\acute{o$ zą? spytałem po długim milczeniu, wśród którego mimowolnie myślałem o niej jednej.

Henryk zmarszczył brwi.

— To mnie najmniej obchodzić powinno, niech wraca do rodziców, gdzie chce wreszcie.

— Rodzice j $\acute{e}$ y są teraz za granicą?

— No to przyjadą wkrótce, mnie nic do tego.

Mówiąc to jednak, cglądał się, jakby spodziewając się, że ona przyjdzie żebrać przebaczenia, i zapewne byłby go wspaniałomyślnie udzielił. — Ale R $\acute{o$ za nie była zwyczajną kobietą, która widząc, że wybryki j $\acute{e}$ y

są znane, zdaje się pokornie na łaskę swego władcy i pana, by rozgrzeszona raz, znowu bawić się w miłość, zręczniejszą tylko i ostrożniejszą niż wprzód. Rachuby Henryka były więc omyłone, dla niej wszystko co zaszło było niepowrotnem, i żal w jej sercu budziło tylko niebezpieczeństwo ukochanego. Jednak tego nie mogłem wypowiedzieć w tej chwili.

— Cóż robi Róża? spytał wreszcie, chcąc mi nasunąć widać myśl przebaczenia.

— Płacze, odparłem krótko.

— Kobiety nic innego nie potrafią, mruknął przez zęby, tu łzy nic nie pomogą. Jutro muszę się z nią rozmówić stanowczo.

Dnia tego nie wróciłem do siebie, czułem, że co chwila obecność moja mogła być potrzebną w tym domu, nawiedzonym nieszczęściem.

Na jutro zapowiedziana rozmowa, nie uspokajała mnie wcale; usposobienia obojga małżonków były tak różne, jak zawsze być muszą, wychodząc z tak sprzecznych stanowisk, iż nie mogły doprowadzić do żadnego pomyślnego rezultatu.

Dom cały był w nieładzie, służba powtarzała sobie po cichu zdarzone wypadki, komentując je i przerabiając po swojemu, a mnóstwo oczu śledziło każdy krok Róży i Henryka, ze złe skrywaną ciekawością.

Od rana też ruch niezwykły zrobił się w domu, sekundanci Eugeniusza naradzali się z sekundantami Henryka, przybierając tajemniczo napuszone miny. Narady ich odbywały się przy drzwiach zamkniętych, Henryk chodził wielkimi krokami po swoim pokoju, widocznie zaniepokojony więcej daleko, niż to chciał pokazać.

Zniecierpliwiony tem wszystkiem wyszedłem do ogrodu. Dziwny kontrast z niepokojem panującym tutaj przedstawiał ranek letni; pogodne słońce wzbijało się na rozognione błękity, rosa zaścieniała murawy i migotała jak dyamenty na kielichach kwiatów, w naturze była cisza, błogosławieństwo i rozkosz, przesiąkające w piersi ludzkie.

Przebiegałem ogród w milczeniu, szukając ukoje-



nia bolesnych myśli co mną miotają, aż zdaleka ujrzałem postać Róży w otwartém oknie swego pokoju. Młoda kobieta znać nie kładła się wcale, zapomniała nawet zdjęć balowej sukni, której strojne fałdy obejmowały jej postać pochyloną smutkiem, czarne włosy w nieładzie spadały na czoło i w koło twarzy przerażająco bladej, pod złotymi promieniami słońca. Łzy zaschły jej w oczach pełnych gorączkowego blasku.

Stała w oknie ze wzrokiem sztywno utkwionym przed siebie, jakby oczekiwała na coś lub na kogoś; mnie nie widziała wcale, ale ja zrozumiał co ją przykuwało tutaj, zapewne w dniach dawnych, nieraz schodzili się w tém miejscu z Eugeniuszem, czekała zapewne noc całą na jakiebądź słowo lub znak od niego, a on o tém zapomniał.

Podszedłem aż pod samo okno, zanim mnie spostrzegła, oczy jej szukały jego i nic innego zobaczyć nie chciały, wreszcie ocknęła się z zamyślenia niby ze snu.

— Jak widzę, zawołałem, pani wcale nie spałaś tej nocy.

— To prawda, odparła, zapomniałam o tém.

— Zapomniałaś pani o spoczynku, to źle bardzo, możesz zachorować na domiar złego.

Wstrząsnęła smutnie głową, jakby powiedzieć chciała, że nie miała obowiązku się szanować, ona, co nie obchodziła nikogo.

— Pamiętaj pani jednak, mówiłem nie zważając na to, że w trudnych chwilach życia podwójnie trzeba zdrowia i siły, by trzeźwo spojrzeć w przyszłość i nie dać się złudzić gorączkowemu marom lub tęsknotom.

Ale słowa moje nie mogły trafić do jej przekonania, chwile te ona musiała przeboleć koniecznie.

— Pani jesteś zbyt młodą, zawołałem, by oddawać się tak rozpaczy.

— Alboż młodość broni od śmierci, od nieszczęścia, wybuchnęła — panie Joachimie on może umrzeć dla mnie, a ty chcesz bym znalazła chwilę spoczynku, spokoju.

On, znaczyło tutaj naturalnie Eugeniusza; w obec

troski o niego, Henryk przestał istnieć dla niej, lub wydawał jej się przedwcześnie mordercą.

Bez niego, powtórzyła, łamiąc ręce w bezsilnej rozpacz, nie ma już dla mnie życia.

Bez wątpienia, mówiąc to była szczerą, a jednak ja nie mogłem zgodzić się z myślą, by cała jej przeszłość zależna była od człowieka, którego w głębi ducha nazywałem nikczemnym.

— Powiedz mi pan co o nim, ciągnęła dalej, kładąc dłoń zimną jak marmur na moich rękach.

Zawahałem się, miałem jej powiedzieć, że w przyległym pokoju umawiają się o broń i godzinę spotkania, miałem wyjawić moje osobiste pojęcie o tym pojedynku, nie wierzyłyby mi nigdy.

— Oh! mówiła dalej, nie rozumiejąc mego milczenia i biorąc go za potwierdzenie niepokojów swoich, gdyby mi wiedziała, że potrafię wyprosić jego życie, błagałabym o nie na kolanach, zgodziłabym się na wszystko, czegoby żądał.

— Na Boga! zawołałem przerażony, nie czyi pani tego, to pogorszyłoby jeszcze sprawę.

— A przecież jeśli chce krwi, niech mnie zabije, ja mam winna wszystkiemu, ja gotowam umrzeć z rozkoszą.

W tych dziecinnych pojęciach o świecie, ludziach i ich stosunkach, było jednak tyle szlachetnego zapomnienia siebie, iż ta kobieta w upadku budziła cały mój szacunek, winą jej była miłość tylko, ta najwyższa siła, co powinna była opróżnić jej życie, być jej chlubą, nie hańbą.

— Uspokój się pani, wyrzekłem rozrzewniony, tu nie ma mowy o śmierci.

— Jako, spytała, czy widziałeś pan Eugeniusza?

Czyż on wart był tej ciągłej myśli, tego nieograniczonego uczucia?

— Czy żądasz pani co od niego, wyrzekłem nawzajem.

— Żądam od niego, by żył tylko, by puścił w niepamięć to nieszczęśliwe zajście, by je złagodził — ja wiem, że to być nie może.

Sama czuła najlepiej fatalność, której nikt nie był w stanie zapobiedz, i to właśnie czyniło jej położenie tak rozpaczliwem, ona musiała czekać, aż się spełni to, czego najbardziej lękała się na świecie, musiała patrzeć beczynn timer na przygotowującą się walkę i drzeć przed jej rezultatem.

Był to okropny stan, a jednak nikt jej uwolnić od tej męki nie mógł, musiała ją odcierpieć. Daremnie starałem się uspokoić ją, słuchała mnie z tym osłupiałym wyrazem ludzi, którzy nie mają nadziei, siłła się być mi wdzięczną, ale rozumowania moje nie znajdowały żadnego echa w jej sercu.

Tymczasem warunki pojedynku ułożone zostały, scena na balu miała tak straszny rozgłos, rzucała taki cień na obydwoh zapaśników, iż radzi nie radzi musieli poddać się ciężającej na nich konieczności pojedynku, a nawet pragnęli załatwić się z tem jak najprędzej, nadając mu tym sposobem pozor ważności, której może nie miał mieć de facto. Ażeby uspokoić Różę, dośc było otworzyć jej oczy na nicośc człowieka, którego w myśli swojej postawiła tak wysoko, ale w tej chwili żadne ludzkie słowo nie miało dostatecznej mocy. Do rozmowy pomiędzy małżonkami nie przyszło dnia tego, żona nie była w stanie rozumieć nic więcej, jak niebezpieczeństwo ukochanego, mąż miał nadto wiele przykrych spraw na głowie, by uczynić ten krok ostateczny, nienawidził on scen wszystkich i odezwał się do mnie bardzo loicznie:

— Jeśli zginę jutro, to obejdzie się bez wymówek i wyjaśnień, jeśli zaś żyć będę, to pozostanie mi dosyć czasu do uregulowania naszych stosunków.

Wszyscy w Sinogórze byli rozstrojeni, a owo groźne jutro ciążyło ponuro nad każdą myślą, gdy niespodzianie dano mi znać nad wieczorem, że jakiś gośc nieznanym czeka w moim domu i chce mnie widzieć koniecznie. Wróciłem więc do siebie zaciekawiony i niespokojny, czułem instynktownie, że odwiedziny te były w związku z wypadkami, w które byłem wmieszany, ale jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem u siebie Adama. Przyjechał on konno i to zapewne

mil kilka, bo koń cały w pianie przywiązany stał przed domem, pan jego zapomniał się nim zająć, ani powierzyć go czyjś opiece, a sam przechadzał się po szczupłym pokoju, uderzając z niecierpliwości końcem szpicróżgi o podłogę. Widać miotał nim straszny niepokój, bo zapomniał się witać, nie tłumaczył tych niespodzianych odwiedzin, tylko ujrawszy mnie zapytał z szorstkością, jaką nadają czasem wielkie moralne wstrząśnienia.

— Co się stało wczoraj, na miłość Boga, powiedz mi pan, co się to stało?

Nie potrzebował tłumaczyć się jaśniej, ani wymawiać żadnego nazwiska, ja wiedziałem, o czym on mówił, wyczytałem mu to z bladego czoła, z warg przyściętych. On najbardziej może był dotkniętym domową katastrofą Wielińskich. — Spoglądałem na niego z cichym smutkiem.

— Panie Adamie, wyrzekłem po chwili, co to ciebie dzisiaj obchodzić może?

Ale na te słowa on targnął niecierpliwie rękę moją. —

— Pan wiesz dobrze, że mnie to obchodzi i wicznie obchodzić będzie, ja muszę wiedzieć, co się stało, lub jeśli mi tego nie powiesz, pójdę zapytać jej męża, co on zrobił z miłością, którą go darzyła, co ona sama uczyniła z sercem, — po które ja sięgnąć nie śmiałem.

W tych słowach drgały wszystkie burze pustoszące tę pierś gwałtowną; musiał cierpieć strasznie, szalenie.

— Czy to prawda, mówił dalej, że ten człowiek poważyl się stanąć na jej drodze, że ona . . .

Myśli tej nawet dokończyć nie mógł, głos odmówił mu posłuszeństwa.

— Powiedzże mi pan, wyrzekł po chwili, zwyciężając wzruszenie, a widząc, że milczałem uparcie, powiedz mi, że to fałsz, kłamstwo, plotki świata, nie mając żadnej podstawy, że uwiodły go pozory.

I drżący cały czekał jednego słowa z ust moich, któreby potwierdziło zaprzeczenia jego; nieszczęściem te-

go słowa ja dać mu nie mogłem — on musiał zrozumieć to w końcu; — jakiś cień złowrogi przemknął mu się po czole, źrenice zaszyły krwią, machinalnie szukał ręką punktu oparcia, jakby zmysły i siły opuszczały go na raz i napotkawszy stolik, oparł się na nim tak bardzo, że ta słaba podpora pękła mu w rękę.

W tej chwili ja czułem, że on był w stanie go zmiażdżyć, że ta ręka w braku nieprzyjaciela szukała czegoś, coby zniweczyć mogła, ale usta jego zaciśnięte konwulsyjnie nie wydały ni jednym wyrazem piekła, co wrzało mu w piersi. Ja także szanowałem tę boleść, nie miałem słów na jej ukojenie i pomiędzy nami panowała tak głęboka cisza, iż mogłem usłyszeć gwałtowne, szybkie uderzenia tego szalonego serca.

Jak to długo trwało, nie wiem, ale gdy znowu głos jego zbudził mnie z smutego zamyslenia, mrok wieczorny panował w pokoju i nie mogłem dostrzedz wyrazu jego twarzy.

— Więc ona rzeczywiście pokochała tego Eugenisza?

Żeby wymówić te proste słowa, musiał dokazać nadludzkiego wysilenia, bo głos jego dźwięczał fałszywie, jakby wychodził z rozbitej piersi.

— Powiedz mi pan wszystko, dodał po chwili — wszak widzisz jestem spokojnym, mogę wszystko wysłuchać, ja muszę to wiedzieć.

— Po co! zawołałem, dla czego chcesz rozkrwawiać sobie serce daremnie?

— Daremnie, powtórzył, nic daremnego nie ma na świecie i miłość moja próżno dla niej przejść nie powinna.

— Jakto, wyrzekłem przerażony, pan teraz jeszcze masz nadzieję.

Wzruszył ramionami znacząco.

— Ja nigdy nie miałem nadziei, odparł po chwili, dzisiaj tylko mogę jej być użytecznym. Mów pan otwarcie ze mną, nie zważaj, jeśli cierpię, ja sam nie zważam.

Byłem zwyciężony, odpowiedziałem mu w kilku słowach sinutne choć powszednie dzieje kobiety, którą

kochał; z głową schyloną, wspartą na rękę, słuchał mnie nie przerywając niczem, a jednak zdawało mi się, że to harde serce, kruszyło się w nim i pękało. Skończyłem, a on słuchał jeszcze, ja powiedziałem mu nagie fakta, bez żadnych komentarzy, to mu nie wystarczyło, bo zapytał gwałtownie.

— I któż jest ten Eugeniusz?

W głosie jego drgała taka nienawiść, że mimowolnie dreszcz mnie przeszedł na to pytanie.

— Znam go bardzo mało, odparłem oględnie.

— Czyż trzeba lat, wyrzekł, by poznać moralną wartość człowieka, zresztą tu mówią czyny, jeśli on nie ma na swoje usprawiedliwienie szalonej namiętności, to fakta osądziły go aż nadto. Pan widziałeś go, mogłeś spojrzeć mu w oczy, musisz wiedzieć, czy też po prostu była to dla niego zabawka, igraszka chwili.

Nigdy może w mowie ludzkiej nie dźwięczało tyle goryczy.

Na to pytanie odparłem.

— Przyszłość jedna odpowie, ja nie mogę.

— I gdzież ona jest teraz, mówił dalej.

Z miejsca, gdzieśmy stali, widać było mieszkanie Henryka, jaśniało ono wśród nocy oświetlonymi oknami.

— Jest tam, odparłem, wyciągając rękę, w tym domu, który od wczoraj przestał być jej domem.

— I on ją tam zostawił, wybuchnął, patrząc w te światła oddalone, niby w zakłute kraje marzeń swoich.

Wstrząsnąłem głową.

— Bądź pan sprawiedliwym, wyrzekłem, nie mógł inaczej uczynić.

— Nie mógł, powtórzył szyderczo, z kąd masz pan miarę mocy człowieka, jak wiesz, gdzie zaczyna się niepodobieństwo. Wiem, że świat ustanowił prawa i obyczaje, któremi rządzi się zawsze, a jednak ja śmiem twierdzić, że są chwile, których obrachować nie potrafi, które łamią wszelkie przywidzenia; pan mówisz, że on ją kocha, ja temu nie wierzę, gdyby ją kochał, nie zostawiłby jej jednej minuty pod tym nienawistnym dachem w mocy człowieka, którego obraził.

Logika namiętności jego była słuszną, wspomniałem na męczarnie jakie przechodziła, na to palące pragnienie zobaczenia tego, dla którego cierpiała, a którego wyobraźnia gorączkowa przedstawiała jej już trupem i musiałem to uznać, — a on mówił dalej.

— Nie mów mi panie, że jemu chodziło o pozory — wszystko stało się daremnem, po skandalu tej nocy: powinien był przewidzieć tę chwilę i przygotować się na nią wówczas gdy miał odwagę wciągnąć ją na drogę namiętności.

Niestety, o tem wszystkiem zapewne Eugeniusz nie pomyślał nigdy, ale w tym momencie nie mogłem przydawać potępienia mojego, do tego, które on sprawiedliwie rzucał na jego głowę.

— A ja, zawołał mimowolnie, czyniąc po raz pierwszy zwrot do swego uczucia, jam ją tak kochał. Jeżeli chciała serca, czemuż nie zwróciła się do mnie?

I zakrył twarz rękoma zwyciężony wzruszeniem. Rzeczywiście i ja pomyślałem w tej chwili, że jeśli Róża miała koniecznie kogoś pokochać, dla czegoż nie jego. Zapomniałem, że dla niej on nie istniał dotąd, że on dopiero poważił się pomyśleć o niej, kiedy było zapóźno, zapomniałem, że ludzie prawdziwej wartości, zwykle nie wysuwają się naprzód, i dla tego najczęściej miejsca przynależne zasłudze, zajmują ci, co nie usprawiedliwiają tego niczem.

Adam jednak opamiętał się szybko, i nie zatrzymując dłużej myśli nad samym sobą, rzekł znowu.

— Cóż się z nią teraz stanie?

— Ja nie wiem odparłem, po tem co zaszło, życie z Henrykiem stało się niemożliwem, czują to oboje; zapewne powróci do rodziców.

— Do rodziców, zawołał z przerażeniem w głosie, pan znasz jej matkę?

— Zdaleka tylko, wyrzekłem zdziwiony.

— Róża nie ma rodziców, do którychby wrócić mogła, którzyby przyjęli nieszczęśliwe, zbłąkane dziecko, jak syna marnotrawnego.

— Dla czego? zapytałem, wszak ją kochają i przytulku odmówić nie mogą.

— Kochają powtórzył, biedna ona, wszak kocha ją mąż, kocha Eugeniusz, kocham ja bezsilny, i to wszystko składa się dla niej i tworzy nieszczęście.

— Więc cóż ma czynić, spytałem zaniepokojony.

— Ja nie wiem, odparł, ten którego wybrała powinien o tem postanowić, ale pamiętaj pan, ona nie może powrócić do matki, teraz mniej jeszcze niż kiedykolwiek.

Mówił to wszystko gorączkowo, widocznie zadając sobie gwałt straszliwy, bo wyglądał tak, jakby za każdym słowem miał ochotę umilknąć i zatopić się w śmiertelnym bólu, przepelniającym mu piersi; konała tam miłość lat tylu, rozwiana, zniszczona, straszną rzeczywistością.

Odgadywałem, co działo się w jego sercu, ale siły tych wrażeń zniweczyć nie mogłem. Marzenia życia rozwiła jedna chwila; kobieta, która była dla niego świętością, którą wyniósł po nad swoją namiętność, jak gwiazdę niedostępną na błękitie nieba, od której pragnął tylko promieni i blasku, zawiodła go i postąpiła sobie, jak każda zwyczajna, płocha, lekkomyślna istota. Zresztą on nigdy trzeźwemi oczyma nie patrzył na nią, nie umiał dostrzedz, że nie był to żaden wymarzony ideał, ale szlachetne dziecko, postawione na trudnej i niebezpiecznej drodze życia, bez żadnego wsparcia. Biedna Róża, miał słuszną mówiąc, że wszyscy, co ją kochali, składali się na jej nieszczęście.

— I on nie widział się z nią po tej chwili, spytał znowu, gwałtem kierując myśl swoją do tego niewąstnego człowieka.

— Nic, odparłem tylko.

— On jej nie kocha, zawołał, inaczej chociażby ona była strzeżoną przez stuokiego argusa, opasaną niedostępnym murem, on poniósłby jej słowo miłości, pociechy, pożegnania wreszcie, jeśli on milczeć może teraz, wierz mi pan, on jej nie kocha, ja to czuję.

Była w tych słowach jakaś dzika niewyroczona radość. Miał słuszną zapewne, przecucie szeptało mu sprawiedliwie, że prawdziwa miłość inaczej postępuje, ale odparłem poważnie.



— I cóż ztąd, to czyni Różę jeszcze stokroć nie-  
szczęśliwszą.

— Prawda, zawołał uderzając się w czoło, jestem  
szalony, cierpiała za nadto.

Umilkł, a ja czułem, że szalone żądze i pragnie-  
nia snuły się w tej zgorączkowanej myśli, ale on nie  
wypowiedział ich więcej, milczenie i ciemność zapano-  
wały pomiędzy nami.

W tej chwili obecność jego była mi ciężarem —  
byłem potrzebny w Sinogórze, a nie mogłem zostawić  
go w tym stanie, tak blisko po za sobą, mogła przyjść  
godzina, w której on nie byłby panem siebie, i nagłą  
obecnością w Sinogrodzie mógł wywołać nowe zawi-  
klania. Poszedłem niespokojny do okna, i zapatrzy-  
łem się w światła bijące z mieszkania Henryka. Jak  
to długo trwało, nie wiem, wreszcie usłyszałem przy  
sobie jego głos.

— Czy pan tam nie wrócisz?

— Chciałbym, ale musisz mi pan dać słowo, że  
cokolwiek wypadnie, nie przedsięwezmiesz nic be-  
zemnie.

— A cóż ja mogę przedsięwziąć, wybuchnął, w tej  
katastrofie niweczącej jej życie, ja nie jestem niczem,  
niczem; ostatni sługa w jej domu ma więcej praw i  
szczęścia odemnie, a ja mogę być tylko próżnym wi-  
dzem jej losu, kula wymierzona w pierś jej ukochaną  
nie na mnie godzić będzie — czy jej nie dla mnie  
płyną, serce nie dla mnie uderza. Czasami przycho-  
dzi mi żądza wcisnienia się do jej domu i szalonym  
strzałem uspokojenia jej, siebie, nas wszystkich. Co ona  
powiedziała, gdybym zabił Henryka, nie stałoby nic  
pomiędzy nią a wybranym, ja tylko byłbym mordercą  
i cóż ztąd — potrafiłbyin sam sobie wymierzyć spra-  
wiedliwość. Ale ja jej nie kocham, nie, nie, ja nią  
gardzę.

— Były to słowa szaleńca, bezładne, straszne  
słowa, wypowiedające głąb tego ducha, to nie mówiło  
serce jego, ni myśl, ni rozwaga, to były ślepe instynk-  
ta, rozrywające więzy woli i wylewające się potokiem

słów. Ciemność i milczenie odbierały mu resztę przytomności.

— Adamie! zawołałem przerażony, chwytając obie jego ręce, Adamie! co ty mówisz.

Zachwiał się i czułem, jak w moich jego dłonie zimne jak lód drżały gwałtownie.

Zawołałem o światło i przy jego blasku dojrzałem tylko trupio-błady kolor jego twarzy, oczy miał spuszczone. Wreszcie zwolna podniósł głowę, chwila szaleństwa minęła, nie zostawiając nawet wyraźnego śladu w pamięci, bo zapytał.

— Czy ja co mówiłem?

Był teraz bezsilny jak dziecko pokonane, uczucia doznanego nieszczęścia przygniotły go całym ogromem. Było to położenie bez wyjścia, musiałem stosować się do okoliczności i czekałem w milczeniu, co postanowi. — Uplęły długie minuty, zdawał się zapominać o czasie, z głową wspartą na obu rękach. Może pasował się sam z sobą, może walczył jeszcze z szaleństwem, które go opanowało — powstał wreszcie i przybliżył się do mnie.

— Czuję, wyrzekł drżącym jeszcze głosem, że nie był panem siebie, przyjeżdżając tutaj — na co — powinienem był sam sobie powiedzieć, że nic nie mogę dla tych, co mi drogimi byli — przebac mi pan, jesteś dobrym, ty zrozumiesz, że są chwile, co zwyciężą wolę, że są ciosy gorsze niżeli śmierć. Odjadę stąd, pan jesteś potrzebnym gdzie indziej, nie troszcz się o mnie.

Mówił to zupełnie chłodno, ze złudnym spokojem, jaki może dać zarówno straszne postanowienie jak obojętność.

— Ja muszę troskać się o pana, pochwyciłem, powiedz mi pan, co zamierzasz.

Nieokreślony uśmiech zarysował się wkoło jego białych warg.

— Ha! rozumiem, wyrzekł zwolna, pamiętasz pan, że raz powróciłeś mnie do życia i niechcesz, by trud ten był daremny, bądź spokojnym, wtedy byłem w rozpacz, dziś nie mam nawet za czem rozpocząć

puść mnie pan, nie wiem, co dalej będzie, ale ja muszę przyuczyć się do tego nowego życia, ono rozpoczyna się dla mnie od tej godziny, bądź pan spokojnym, ja teraz już nie mam za czem umierać. Rzeczywiście w tym człowieku kruszył się i rozpadał świat serdeczny; wiedziałem, że potrzebuje spokoju, sam z nadto znałem boleść, by nie rozumieć wszystkich jej faz i przemian. Na jakiegokolwiek on był teraz drodze, ja nic nie mogłem uczynić dla niego.

W milczeniu ścisnąłem mu rękę, a on wsiadł na konia i skierował go w stronę przeciwną Sinogórze, raz tylko spojrzął ku oknom płonącym, a na jego bladym czole mignął cień pogardy i pojechał z wolna, zostawiając po za sobą to wszystko, co stanowiło mu tak długo życia jego cele.

Pogarda jego dla biednej Róży nie była sprawiedliwą, jednak jam się jej nie mógł dziwić; pomimo wszystko on nigdy nie zgodził się z myślą, że nie istniał dla niej, zresztą nie była to właściwa pora do złagodzenia tego wielkiego nieporozumienia, co rozdzieliło na zawsze może dwoje ludzi stworzonych wazem dla siebie.

Nazajutrz odbył się pojedynek pomiędzy Henrykiem i Eugeniuszem; obadwaj znaleźli się doskonale, jak to przystało ludziom ich świata i wychowania, zamienili oni z przyzwyczajonej odległości kilka nieszkodliwych strzałów, aż wreszcie gdy Eugeniuszowi udało się drasnąć lekko ramię Henryka, sekundanci uznali, że zadosyćuczynienie jest zupełne i dostateczne, a przeciwnicy podali sobie ręce, uradowani w duchu, że się przecież skończyła ta nieprzyjemna ceremonia. Wprawdzie nie byłem nigdy zbyt cicho niespokojny co do rezultatu pojedynku, przecież także widząc, że Henryk wyszedł z niego bez szwanku, odetchnąłem swobodniej. Na prędce obandażowano mu rękę i wracaliśmy obadwaj z miejsca spotkania, gdzie mu towarzyszyłem. W tej chwili mój dawny uczeń był w tak doskonałym humorze, iż byłby z serca przebaczył żonie i przycisnął ją do serca razem z całym światem, który mu się napowrót uśmiechał rozkosznie.

Tanim kosztem dostał patent na bohatera, co we własnym uznaniu podnosiło go niezmiernie i nadawało mu niejako prawo do wspaniałomyślności, według której chciał postąpić z żoną. Była to ostatnia kwestya do załatwienia, by potem odzyskawszy swobodę myśli, powrócić do dawnego życia. W tej chwili Henryk widział je tylko z różowej strony, tak dalece, że nawet gotów był wyobrazić sobie, iż cały stosunek pomiędzy Różą a Eugeniuszem, był wymysłem złośliwych, zazdrośnych ludzi; dość było młodej kobiecie wyrzec słowo jedno, by wszystko powróciło do dawnego trybu, a nawet by Eugeniusz był znowu przyjętym pod dach Sinogórski, w usankcjonowanym charakterze przyjaciela domu.

Henryk zdawał się przekonany, że uczyniwszy ten wielki akt odwagi i sprawiedliwości, mógł już, nie troszcząc się dalej o to, co się stanie, nie mieszać się więcej niż dotąd do uczuć i myśli żony. Rozwiązanie więc położenia spoczywało całkiem na Róży, — ale ja znając ją, nie mogłem podzielać tych optymistycznych poglądów; wprawdzie nie śmiałem nie przesądzać, świat stawia kobiety w tak strasznym położeniu, tak niemiłosiernie każe im w podobnych razach wybierać pomiędzy potępieniem ogólnym a potępieniem własnego sumienia, kobiecie wyszłej z rodzinnego koła tak trudne stawia warunki, iż sprawiedliwie nie mogłem surowo sądzić tych nawet, które cofnęły się przed ciernistą drogą prawdy i sam zapytany o radę w tym względzie nie byłbym miał odwagi jej udzielić.

Róża musiała przebyć ten cały ranek w śmiertelnej trwodze, zapewne domyślała się celu wycieczki, z którą zresztą nikt bardzo nie ukrywał się w domu, były to godziny męczarni, które powinny jej być porachowane w zadośćuczynieniu za spełnioną winę, więc wysiadłszy czem prędzej z powozu, udałem się do niej. Ze swego pokoju usłyszała znać turkot zajeżdżających, bo zastałem ją nieruchomą wspartą o fotel na przeciw drzwi, w których się ukazałem, czekającą z głową naprzód wychyloną, jak gdyby wypatrzeć chciała prędzej to co się stało.

— Bądź pani spokojną, zawołałem z progu.

Oczy jej smutne, przerażone, skierowały się ku mnie, rozjaśniły nagłym promieniem, a usta ścięte wyszeptały to jedno słowo:

— Eugeniusz.

Domyśliłem się tego więcej niż usłyszałem.

— Żyje, nie ranny nawet.

Odetchnęła z głębi piersi, a wzrok jej skierował się w górę, z wyrazem nieskończonej wdzięczności, ale to trwało chwilę tylko, wszak ona o obydwóch lękać się musiała.

— A Henryk szepnęła znowu.

— Zdrów i cały także.

— Jaktó, zawołała, więc walka odłożona.

Ona wierzyła w naiwności swojej, że śmiertelna obraza wymagała krwi koniecznie, że ci dwaj ludzie bić się będą na prawdę, do ostatka, bez litości.

— Nie pani wyrzekłem, bądź zupełnie spokojną, pojedynek odbył się i zakończył zgodą przeciwników.

— Zgodą przeciwników, powtórzyła wlepiając we mnie oczy i jakże to być może?

Trudno jej to było wytłomaczyć, czyż tu nie chodziło o nią, czyż ona nie była tym spornym przedmiotem, dla którego narazili się na śmierć, jakim sposobem spór ten mógł się rozstrzygnąć bez jej udziału i zakończyć zgodą? tego nie rozumiała, nie wiedziała, że ona była tutaj tylko pozorem, że w gruncie ani mężowi ani Eugeniuszowi nawet nie szło o nią, że pojedynek ten była to po prostu konieczność towarzyska, od której nie mieli odwagi się wyłamać i naturalnie obadwaj zgodzili się odbyć go jak najtańszym kosztem.

Widać jednak, że te pojęcia zaczęły przychodzić jej do głowy, bo stała zamyślona, a na jej ustach występował powoli smutny uśmiech pełen zwątpienia i pogardy, ale ona tego wszystkiego od razu domyślać się nie mogła, wiara w ukochanego człowieka nie mogła pierzchnąć, od razu tylko straszne przeczucie opañowało jej serce.

— A Eugeniusz, spytała teraz wyraźnie?

— Cóż chcesz pani o nim wiedzieć.

Złożyła ręce przedemną z prośbą rozpaczłą.

— On mnie kocha, zawołała, jakby chcąc w samą siebie to wmówić.

— Pani, odparłem poważnie, ty musisz to najlepiej wiedzieć.

— Muszę go zobaczyć wyrzekła gorączkowo, dla czego nie odebrałam od niego ani słowa, czemu nie szukał sposobu zobaczenia się ze mną, nie ulitował nad moją trwogą, rozpaczą, jak mógł bez pożegnania stanąć do pojedynku, panie Joachimie, ja tego nie rozumiem. Wszak gdyby chciał koniecznie, mógł był to uczynić.

Według logiki namiętności miała słuszność, czułem to, była sprawiedliwie zranioną; w podobnych razach nikt nie potrafi stanąć na przeszkodzie kochającemu, zwycięży zapory wszystkie, ominie zawady, zniesie trudności! Ale Eugeniusz nie był takim człowiekiem, ten drugi ideał jej życia, musiał powoli blaknąć w jej oczach. Mileżałem, patrząc na nią, bo i cóż odpowiedzieć mogłem; jednak Róża pragnęła widać w głębi ducha, bym go usprawiedliwił, bo widząc że tego nie czynię zaczęła sama:

— Czyż lękał się narazić mnie, skompromitować? czemu? czyż nie jestem i tak zgubioną w oczach świata.

— Pani! wyrzekłem po chwili namysłu, świat cię oskarża, ale ma tylko przeciwko tobie pozory, mąż twój bił się dla tych pozorów.

— W takim razie! zawołała Róża, czemuż nie wyzwał człowieka, co mnie oskarżał.

Była wielka logika w tych słowach, ta kobieta sądząc zawile położenia ludzkie zdrowym rozumem, umiała doskonale wykazać niekonsekwencyę i niezgodność postępów z zasadami, ale patrząc na świat z tej strony, zdawała mi się niezdolną przyjąć haniebny kompromis, pomiędzy obowiązkiem a pozorem przecież nie mogłem nic przesądzać.

I cóż pani zamierzasz teraz? spytałem.

— Nie pomyślałam o tём jeszcze, wyrzekła zwolna, chciałam, by on . . . czekałam na niego.

Zwracała się ku niemu, jak kwiat ku słońcu — teraz opuszczona bez kierunku zostawiona sobie nie umiała myślał nawet sformułować przyszłości.

— Zastanów się nad tём paui, wyrzekłem, biorąc jej rękę, powiedz mi życzenia twoje, chciałbym ci być pomocnym, a w każdym razie licz na mnie jednego na świecie.

Odszedłem, widziałem, że teraz potrzebowała pomyśleć nad sobą; dotąd zajęta palącym niepokojem nie była w stanie zmierzyć trzeźwo swego położenia, a ja nie chciałem wpływać na postanowienie, jakie powziąć mogła; ten moment życia był tak ważnym, mógł tak zupełnie oddziałać na jej całe życie, że nie śmiałem brać na siebie trudnej roli doradcy, ona jednak nie miała nawet względnego spokoju, potrzebnego koniecznie w podobnej chwili. Wprawdzie nie potrzebowała lękać się o życie ukochanego, natomiast w piersi jej zapanowała równie sroga a może i sroższa trwoga o serce jego, jeszcze nie zwątpiła o jego miłości, ale miłość ta nie była tём zupełnie, czego pragnęła; człowiek stojący tyle niżej od niej w hierarchii moralnej nie mógł dać jej nawet tego upojenia szczęścia, jakiego miała prawo żądać w zamian za wszystko, co dla niego traciła. Teraz spoglądała na Eugenia, przez doznana boleść odkrywała w nim z przeżeniem tysiąc niedostatków, których nie domyślała się wcale, musiały to być dla niej straszne godziny walki i cierpienia, ale nie było nikogo, coby mógł z nią podzielić, lub złagodzić ich gorycz.

Ja powróciłem do Henryka; jakkolwiek nie nie znaczącą była jego rana, przecież wywołała trochę gorączki, co zatrwożyło go niezmiernie, a wyobraźnia powiększała to drobne cierpienie do nieskończonych rozmiarów. Musiałem więc w tём urojonem niebezpieczeństwie pielegnować go i pocieszać, aż wreszcie noc spoczynku rozwiła te wszystkie mary i powróciła mu spokojność.

Uważałem jednak, że wcale nie było mu pilno

zobaczyć się z żoną, nie przyznawał tego przecież, czuł może w głębi ducha, iż jeśli ona nie była bez winy, on także miał względem niej dużo rzeczy na sumieniu, do których powaga mężowska nie pozwalała mu się przyznać, słowem lękał się tego spotkania, do którego w końcu musiało przyjść koniecznie. Gdy więc przekonał się nazajutrz, że jego zdrowie znajduje się w stanie zadawalniającym, że żadne nie zagraża mu niebezpieczeństwo, przystąpił do tej drażliwej kwestyi.

— Joachimie, spytał, ty widziałeś moją żonę?

— Widziałem ją, odparłem.

— I cóż mówi?

— Przyznam się, Henryku, że to dziwne pytanie, bo jeśli posiadam zaufanie twojej żony, nie powinienem go zdradzać, a jeśli go nie mam, nie mogę ci powiedzieć.

Henryk ruszył ramionami.

— Masz słuszność, masz słuszność jak zawsze, tylko jak zwykle bierzesz tę rzecz tak urzędownie, tak na seryo, — ja pytam się po prostu, jak Róża jest usposobioną, bo chciałbym się z nią porozumieć. Czegoż ona chce?

— Przyznam ci się, że nie wiem, nie byłem weale umocowany do czynienia jej jakiegobądź propozycyi.

— Ale jakież niedobry jesteś Joachimie — zawołał znowu Henryk, przecież wiem o tém, nadajesz moim słowom znaczenie, którego nie mają. Mówmy po prostu. Musisz przecież wiedzieć, czego sobie życzy moja żona.

Wzruszyłem ramionami na znak zupełnej niewiedomości.

— Doprawdy, mówił dalej, należałoby jej wytłumaczyć, że wszystko, co zaszło, jest dziecinstwem, które nie wiem czemu tyle uwagi zwróciło?

— W każdym razie nie jest to jej winą, i ona wiedzieć nie może, jak ty to uważasz?

— To wielkie nieszczęście, że matka jej jest właśnie za granicą. — To kobieta rozumna, znająca świat.



— Wątpię, by w tym razie była ci wdzięczną za rozgłos nadany całej tej sprawie.

— Hm, to prawda, mruknął Henryk, uniosłem się wcale nie w porę.

To już zależało zupełnie od wyobrażeń; pogląd mój na te rzeczy był bardzo różnym od sposobu widzenia mego dawnego ucznia i nie mogę mu bezwzględnie przywodzić, ale zdania nasze nigdy prawie się nie zgadzały — on też, jak zwykle, nie uważając na to, mówił dalej:

— Postąpiłem jak szaleniec, przyznaję to sam, a nawet w rozwadze, zdaje mi się, że posądzenia moje były niesłuszne — po pojedynku Eugeniusz dawał mi na to słowo.

Tu już wyraźnie dobroduszość Henryka szła za daleko i rola moja zaczynała być trudną, nie mogłem być jednocześnie powiernikiem żony i męża, i nie wiedziałem nawet, czego dla nich pragnąć powinienem. Wprawdzie mój dawny uczeń zdawał mi się stworzonym na to, by go oszukiwano, ale znów Róża, zańdado była szlachetną i prawą, by po rozwadze podjęła się tej nikczemnej roli.

— Najlepiej będzie, wyrzekłem, jeśli sam tę kwestyę z żoną załatwisz.

Henryk spojrział na mnie zakłopotany.

— Tak sądzisz, odparł powoli, bo widzisz, ja nie cierpię wszystkich tłumaczeń, a z Różą osobliwie mówić nie umiem, zawsze ją czem obrażę, dotknę, lub zniechęcę.

Było to arcynaiwne wyznanie, Henryk jednak nie uważał je za takie.

— Powinienbyś — odparłem — starać się ją wyrozumieć.

Ale ta prosta uwaga nie trafiła do jego przekonania, bo wyrzekł z jakimś pozorem logiki:

— To prawda, a jednak nie wiem czemu, chociaż jesteśmy oboje dziećmi jednego narodu i społeczeństwa, mamy o każdej rzeczy różne pojęcia.

Nie było w jego naturze zastanawiać się nad czem-

kolwiek, dla tego też nie tracąc czasu, powrócił do trapiącej go kwestyi matrymonialnej.

— Tak, wyrzekł, trzeba ostatecznie rozmówić się z Różą. Bądźże przynajmniej łaskaw i chodź ze mną.

— Zważywszy chłodne stosunki obojga, nie opierałem się temu życzeniu, czułem, że miałem prawo stanąć pomiędzy nimi jako opiekun i obrońca Róży; więc obadwaj udaliśmy się do niej.

Położenie wydawało się tak trudnem dla mnie, com znał doskonale skryte myśli i uczucia tych ludzi, że nie był w stanie sformułować żadnej rady ani pragnienia, i czekałem co oni postanowią, w jakich warunkach określą przyszłość swoją,

Młoda kobieta, była dziwnie smutną i poważną, ale z twarzy jej zniknęły ślady niepokoju; przeciwnie miała na czole wyryte postanowienie, a niezmacony wyraz oczów oświadczył, że postanowienie to zgodnem było z jej sumieniem.

Oboje przecież spotkali się z rodzajem przymusu, każde z nich czuło, że zawiniło względem drugiego; Henryk był trochę błady, ręka jego zraniona spoczywała na temblaku, widziałem, że to uczyniło na Różę pewne wrażenie, może w tej chwili trzeba było tylko serdecznego słowa, by zwróciła się do męża, ale zkażdże to słowo wiaść się mogło na ustach Henryka, a choćby i wycisnęła go ta chwila i zjednoczyła ich nawet, czyż to trwałoby długo, czyż głęboki rozdźwięk istniejący pomiędzy temi dwoma istotami cokolwiek zharmonizować był w stanie.

Nie pozostawało mi więc, jak być niemyym świadkiem rozmowy, która miała stanowić o ich przyszłym losie.

Henryk zaczął pierwszy; Róziu! wyrzekł, siłąc się na dawny ton przyjacielski, jesteś obrażoną, czuję to.

Oczy Róży podniosły się na niego z łagodnem zdziwieniem, ale on nie zważając na to nieme przeczenie, raz wpadłszy na ten tor, mówił dalej.

— Uwiodły mnie pozory, wiem o tém, ale teraz jestem prze konany, że ty i Eugeniusz byliście zupełnie niewinni; jesteś młodą, żywą, niedoświadczoną i

przez to zapewne dałaś pozór do niesłusznej obmowy, to powinno posłużyć ci za przestrożę na przyszłość.

Róża patrzała ciągle na niego głębokim wzrokiem, aż zrozumiała naczenie tych słów, oczekiwała ona mowy wprost przeciwnej i przez chwilę widziałem jak łamała się sama z sobą; jak zwykle, przygotowała się na wszystko, ale nie na to właśnie, co ją spotkało, to łatwowieczne usposobienie Henryka podniosło trudności jej położenia, a jemu samemu nie dodawało wcale uroku, ani powagi. Ale wahanie jej trwało krótko, rozmyśliła się szybko i w chwili stanowczej nie brakło jej mężstwa.

Henryk na ten łagodny frazes był w prawie oczekiwać równie pojednawczej odpowiedzi i milczał, spoglądając na żonę, ale ona odparła zwolna i chłodno.

— Nie obraziłeś mnie wcale, bo . . . bo nie byłam obmówioną niesłusznie.

— Wypowiedziawszy te słowa, tak sprzeczne ze zwykłą polityką małżeńską, czoło jej zamglilo się, jakby pod brzemieniem wstydu.

— Jak to! zawołał Henryk, tknięty wyrazami, których od razu nie pojął doniosłości, co chcesz powiedzieć.

On nie był z tych, co umieją domyślać się półsłówek, uprzedzić, lub odgadnąć wyznanie. Młoda kobieta zrozumiała, że wszystko wypowiedzieć musi i z dziwnym postanowieniem podniosła twarz oblaną gorącym rumieńcem.

— Ja kocham Eugeniusza, wyrzekła tylko.

On nie chciał tego wiedzieć, dawał jej wszelką zręczność zrzucenia z siebie podejrzeń nazwania ich potwarzą, a ona ją odrzucała niebacznie; tego było za wiele na tak wyraźne wyznanie, oczy jego zabłysły gniewem, daremnie chciał się ludzić, pomimo usiłowań uczynionych musiał tracić na raz ładną, bogatą żonę i uprzejmego przyjaciela.

— Różo, zawołał, zastanów się, co mówisz.

Ale ona uśmiechnęła się lekko i powtórzyła jakby upojona rozkoszą prawdy.

— Tak, kocham Eugeniusza, miałam czas zasta-

nowić się nad t $\acute{e}$ m; czy s $\acute{a}$ dzisz, że nie wypowiedziała-  
bym była tego od dawna, gdyby nie śmiertelna trwoga,  
że słowo to rzucone pomiędzy was, zamieni was w wro-  
gów i doprowadzi do walki. Ale dziś, dziś mam rozwią-  
zane usta, dziś mogę zrzucić tłocz $\acute{a}$ c $\acute{a}$  mnie maskę  
kłamstwa.

Przez ten czas twarz Henryka mieniła się sprze-  
cznymi uczuciami, było w nim widać zdumienie, tłu-  
miony gniew i szyderstwo z jakim odezwał się do  
żony:

— Zapewne obrachowałaś pani następstwa tego  
uczucia.

— Następstwa te dzisiaj na mnie jedną spaść  
moga, podejmuję ich cały ciężar.

To przepęłniło miarę jego cierpliwości; gdyby  
przynajmniej Róża miała przyt $\acute{e}$ m pozór pokutującej  
żałującej grzesznicy, gdyby choć cz $\acute{e}$ mkolwiek dała  
mu poznać, że pragnie przebaczenia; ale nie, ona mó-  
wiła to z rodzajem dumnego spokoju, który jak sądził  
nie przystał ani j $\acute{e}$ y wyznaniu, ani p $\acute{o}$ łożeniu, więc uzbroi-  
wszy się w całą ewangeliczną groz $\acute{e}$  obrażonego mał-  
żonka, wyrzekł:

— Pani śmiesz to mówić g $\acute{o}$ śno, mnie w oczy,  
śmiesz przyznawać się do gorszącej mi $\acute{o}$ stki.

— Nie zrozumiałeś mnie, odparła, ja kocham.

Henryk wzruszył ramionami.

— To nie do uwierzenia, zawołał, nie zdolny wcale  
pojąć gł $\acute{e}$ bokiej różnicy tych dwóch wyrazów, tak m $\acute{o}$ łoda  
a tak bezwstydna, czyż pani nie wiesz, że to przynosi  
ci hańb $\acute{e}$ , że . . .

Ale ona przerwała mu ze smunym spokojem:

— Wiem wszystko, wiem że t $\acute{s}$ wiat piorunować  
mnie będzie, może ma s $\acute{ł}$ uszość, obrażone są prawa i zwy-  
czaje jego, wiem, że nie znajdę nigdzie w $\acute{s}$ p $\acute{o}$ łczucia  
ni litości, a jednak ja musz $\acute{e}$  wypowiedzieć prawdę,  
może tym sposobem potępiona przez ludzi, odnajdę  
własny szacunek.

Mówiła to z cich $\acute{e}$ m przekonaniem, zupełnie zоста-  
wiając na boku m $\acute{e}$ ża, widocznie czuła, że zgrzeszyła  
przeciw społeczeństwu, ale nie przeciw niemu.

— Zapominasz pani, zawołał Henryk, że najpierw zawiniłaś przeciwko mnie, że postawiłaś mnie w położeniu fałszywem, śmiesznem, że zawiodłaś moje zaufanie.

Róża spojrzała na męża głębokim wzrokiem; on tak mało znaczył w jej życiu, że zapewne pierwszy raz pomyślała o nim, więc to odwołanie się jego, nie sprawiło żadnego skutku.

— Oh! szepnęła tylko, o tem możnaby wiele powiedzieć.

— Jakto, powinnaś wiedzieć przecie, że nappełniłaś serce moje boleścią, spustoszyłaś życie.

Były to frazesa używane w podobnych okolicznościach, nie wiem czy Henryk wypowiadał je dla tego, że tak czynią wszyscy, czy też czuł na prawdę, że przez postępek żony życie jego uległo smutnemu przeobrażeniu. Ale ona słysząc je, podniosła w górę czoło, na którem wryło się jakieś smutne postanowienie, na jej blade lica wystąpił rumieniec.

— A ja, a ja, zawołała, wszak ja ci nie nie wymawiałam dotąd, a ty coś uczynił z sercem mojem z wiarą, z miłością moją.

Rzeczywiście było to pierwsze słowo wyrzutu. Henryk patrzył na nią zdumiony, a ona mówiła dalej, niby zatrzwożona wzruszeniem, które wezbrało wreszcie na usta.

— Ja mam prawo zapytać się, Henryku, coś ty uczynił ze mną, co zawiniłam tobie nieznana, żeś wziął mnie na to jedynie, by zabijać wszelkie myśli i zgiąć mnie gwałtem do miary tego ogólnego poziomu, którego upodobałeś sobie, nie wiem czemu. Wszak ja także miałam prawo do czegoś na świecie, wszak rzuciłam się z młodym zapałem w nowe życie, któreś przedemną otworzył, wszak garnęłam się ku tobie, chciałam kochać, kochałam cię nawet tem nieokreślonym uczuciem, które systematycznie zabijałeś na nieszczęście nas obojga. Serce twoje nie zdolne było już silniej uderzyć, więc sądziłeś, że i moje milczeć musi, że tak jak ty postawię sobie za godło życia karłowaty ideał świata. Skazałeś mnie na czcze, puste, jałowe życie,

które tobie wystarczało, a kiedy pierś moja podnosiła się westchnieniem, za tem wszystkim co mogła pragnąć, a co mi niesłusznie odmówionem zostało, ty śmiałeś się, śmiałeś się, gdysь widział łzy moje i smutki; w samolubnych twoich oczach to wszystko, co przenosiło miarę pojęć twoich, było egzaltacją lub kaprysem. Czy zapytałeś kiedy, czego mi braknie? Czy jeśli nie już kochankiem, byłeś dla mnie przyjacielem?

Mówiła to z mierzoną siłą, jakby musiała hamować się co chwila, by nie wybuchnąć zbyt niemi oburzeniem, słowa te, wychodziły z jej drżących od wzruszenia ust jak zastygła lawa wewnętrznego wulkanu

— Różo, przerwał Henryk, spoglądając na nią z rodzajem przerażenia, ja nie wiedziałem — nie mogłem wiedzieć.

— Nie zatroskałeś się o to nigdy, mówiła nieubłagana, ja byłam w twoich oczach dzieckiem tylko, dzieckiem, o którego przyszłość nie troskałeś się wcale, które nie mogło mieć innej przyszłości nad tę, coś ty jej zakreślił, wówczas gdy serce moje rwało się w piersi, rzucałeś mi stroje, zabawy i chciałeś, bym zadowolniła się tem wiecznie.

Henryk powoli przyszedł do siebie z pierwszego zdziwienia.

— Na Boga, wyrzekł, wracając do pierwszej swój brony, cóż ja innego robiłem jak wszyscy.

Ale to słabe tłumaczenie, nie mogło trafić do przekonania słusznie rozżalonej kobiety.

— I cóż mi to znaczy, odparła, ja nie znam potrzeb cudzego ducha, wiem, co mi nieodbicie potrzebne do życia, do szczęścia.

— Przecież, przerwał, ja nie mogłem odgadnąć, że ty właśnie różną byłaś od całego świata.

— Ty nie pytałeś o to, powtórzyła z mocą przekonania, ty nie spytałeś nigdy jakie były upodobania, myśli, potrzeby moje, nie zafrasowałaś się o to nawet; ja powinnam była stać się tem, czem ty pragniesz, zaniechać własnych myśli, stracić indywidualność dla tego, że tobie podobała się moja twarz lub posąg. Ale czemu mówiłeś mi, że mnie kochasz, czemu moje nie-

doświadczone serce łudziłeś obietnicami, których nie myślałeś dotrzymać, słowami, które nie powstały ci w myśli. Byłam bardzo młoda i niedoświadczona, było ci łatwo mnie oszukać, ty powinienes być pomyśleć, że tym sposobem budząc we mnie nadzieje nigdy nie mające się spełnić, popełniałeś zły i niebezpieczny uczynek, za który kara słusznie spaść na ciebie powinna. Ale powiedz mi, za co ja cierpiałam tak szalenie, za co cierpieć? Czy ty wiesz, że wśród nocy, gdy obudziłam się zniemacka i ze snów swobodnych wróciłam do rzeczywistości, gdy objęłam jej całą okropność, to rwałam sobie włosy na głowie, biłam czołem o twarde ściany, byle na chwilę przestać czuć i myśleć. Były czasy, w których chciałam przemódz naturę moją, stłumić w sobie niewczesne marzenia, i kiedy nie wolno mi było kochać, zwrócić całą czynność moją w inną stronę. Wówczas zwróciłam się do nauki i znajdowałam w niej chwilę spokoju, Joachim był moim kierownikiem, on wiódł mnie cierpliwie, niezmordowanie po stromych ścieżkach wiedzy, on opiekował się duchem moim rozmarzonym, i zamiast chwili szału i zapomnienia wskazywał mi cel najwyższy — mądrość. — Ja szłam za nim chwiejąca, niepewna, walcząc na każdym kroku z pokusą i żalem, aż on odjechał; nie miałam dość siły by wytrwać — pokochana pokochałam.

Wymówiła te ostatnie słowa stłumionym głosem, jak gdyby ją kosztowało to powtórzone wyznanie.

Henryk słuchał tego potoku namiętnych uczuć z takim przerażeniem, jak gdyby w jego oczach stało się coś zupełnie sprzecznego z prawami natury, żona odkrywała mu naraz jasność przekonań, siły myśli, loikę rozumowania, której nie spodziewał się w niej nigdy. Widocznie omyliła go zasada, tak niezmiennie wprowadzona w życie, daremnie silił się iść za ogółem i nie wyróżniać niczem, wbrew pozorom i przewidzeniom; Róża nie była taką jak wszystkie kobiety. Trzeba było się z nią rachować jak z prawdziwą indywidualnością; daremnie próbował dotąd zbywać ją blichtren

życia, ona nie dała się nim omamić i domagała się słuszných praw swoich.

Pomimo to cała przewaga położenia była po stronie Henryka, według świata ich domowa katastrofa, było to nieszczęście spadające całym ciężarem na stronę więcej czującą, ona była obwinioną, a on sędzią we własnej sprawie swojej. Napróżno cała wina jej upadku powinna była spaść na niego, ona dźwigać ją musiała teraz i przez całe życie. Jednak gdy Henryk przemówił, w obejściu jego i głosie nastąpiła zmiana, którą zauważyłem od razu, nabrał on dla Róży tego rodzaju szacunku, jaki w podobnych ludziach budzi każda siła; wprawdzie nie uznał on wcale win swoich, tylko teraz odezwał się bez ironji i lekceważenia, choć może z większym gniewem.

— Nie wchodzę w przeszłość, może i ja również miałbym prawo żalu, może także nie znalazłem w pani tego, czego szukałem, ale stało się, dziś nosisz pani moje nazwisko, ja go hańbić nie pozwolę. Już i tak z łaski twojej naraziłem życie, igraszki te za drogo mnie kosztują.

— Więc, wyrzekła Róża, siląc się na spokojność, chociaż oczy jej gorzały ponurym blaskiem, odbierz mi je jak najprędzej, oto wszystko czego jeszcze pragnąć mogę.

Rzeczywiście, rzeczy zaszły tak daleko, że nie widziałem innego wyjścia z ich wzajemnego położenia, ale właśnie ten rezultat do wściekłości przyprowadzał Henryka; przecież on ożenił się na to, ażeby mieć żonę, wziął posażną pannę, by powiększyć swój majątek, spłacić niektóre długi i poczynić konieczne ulepszenia, a sama myśl wszystkich kłopotów, jakich go obecne położenie nabawić mogło, przyprowadzała go do rozpacz. Przytem separacja lub rozwód były to rzeczy zupełnie wyłamujące się z ogólnej kolei, a położenie opuszczonego męża miało swoją smutną i komiczną stronę wcale nie przypadającą mu do smaku.

W takich okolicznościach najpocziwszy człowiek ma chwile okrucieństwa, i przyznać muszę, że Henryk znalazł się okrutnie.



— I sądzisz pani, wyrzekł, że tak powrócę ci wolność, że za staraniem mojem od razu uzyskasz wolność, i rozpoczniesz z kochankiem szczęśliwa nowe życie, mylisz się, — nie będę do końca dobrodusznym mężem, za jakiegoście mnie uważali, cierpliwość ludzka ma granicę, i ja do niej doszedłem; teraz stanę na drodze waszej i nie dopuszczę pani do nowej komedy małżeńskiej.

Mówiąc tak, Henryk zapomniał, że mógł się tylko zranić obosieczną bronią, że kępując ją i sam tracił wolność, różnica tu jednak była taka, że on po tém smutném doświadczeniu, nie myślał wchodzić w inne związki i mógł pozostać swobodnym, gdy dla niej była to nie ledwie kwestya życia i śmierci, że opuściwszy go, mogła jedynie w drugiem małżeństwie odnaleźć położenie towarzyskie i szacunek świata. Zresztą takie postępowanie było niesprawiedliwem i złośliwem; zapewne nie był tak twardym, by je wprowadzić w praktykę, ale już ta sama groźba dorzucała żarzewia na ogień i niegodną była uczciwego człowieka.

Róża też spojrzała na niego chłodnym, pogardliwym wzrokiem i rzekła zwolna.

— Po całym postępowaniu twojem, nie powinnam się była niczego innego spodziewać, a jednak nie sądziłam, byś doszedł tak daleko.

Umilkła, jakby lękała się powiedzieć za wiele.

— Henryku, zawołałem micszając się pomiędzy nich, to nie jest twoje ostatnie słowo, znam ciebie lepiej niż ty sam.

Ale teraz wszystkie przedstawienia były daremne, mój dawny uczeń był w jednej z tych faz uporu, co napadają czasem ludzi płytkiego umysłu i czynią ich zupełnie złymi; czuł dobrze, iż był to jedyny sposób zemścić się na żonie, pozostawiony mu w ręku, i dla tego opuścić go nie chciał.

Nie wiem, czy ona w téj chwili była w stanie zrozumieć całą doniosłość téj pogroźki — scena ta trwać mogła bardzo długo, bez skutku, gdy przerwało ją niespodziane wydarzenie.

Eugeniusz zupełnie uspokojony co do następstw

zaszłej sceny na balu, nie spodziewając się widać wyznania Róży, przyjechał dać dowód szczerego pojednania, odwiedzając rannego przeciwnika. Lokaj przyniósł nam tę wiadomość. Rzeczywiście trudnoby wybrać fatalniejszą porę, widziałem, że Henryk zbladł ową złowrogą bladłością ludzi doszłych do porywu wściekłego gniewu, ręce jego drżały, piana wyszła na zsińnięte usta.

Młoda kobieta dostrzegła to z przerażeniem, jej cała istność rwała się do nowo przybyłego, ale pozostała nieruchoma, uczuła, że nie tu było miejsce zejścia się jej z kochankiem, tylko oczyma wskazała mi męża.

— Henryku, zawołałem, biorąc na siebie inicjatywę w tej stanowczej chwili, ty nie możesz się z nim teraz widzieć, pozwól mi powiedzieć mu, że nie powinien być więcej w tym domu.

I nie czekając odpowiedzi, wybiegłem, zamykając drzwi za sobą.

Eugeniusz nie stracił nic ze zwykłej swobody i pewności siebie, jak dawniej był on tutaj jak u siebie, i czekając zapewne aż Róża lub sam Henryk wyjdzie do niego, przechodził się po salonie nucąc dźwięcznym tonem jakąś aryetkę Offenbacha.

Słyszając zbliżające się kroki, przystanął i oczekiwał z uśmiechniętymi usty, z wyciągniętą ręką na pojednanego przyjaciela, jak gdyby uczucia jego podwoiły się w czasie chwilowej przerwy stosunków.

Ale gdym ja ukazał się na progu, ten sztuczny wyraz ustąpił natychmiast, a pozostała tylko zwykła czelność ulubienica świata, którą mało co zachwiać było zdolne; jednak twarz moja musiała nosić ślady przedchwilowego wzruszenia, a widok tego człowieka powiększał jeszcze, bo on zrozumiał, że coś niezwykłego stało się tutaj i zapytał z prawdziwą trwogą.

— Wszak Henryk nie jest gorzej? wszak ta rana nie ma żadnego znaczenia.

— Henryk jest zupełnie dobrze, ale pan czegoś chcesz jeszcze w tym domu.

Spojrzał na mnie, widocznie nie pojmując znaczenia tych słów.

— Jakto, wyrzekł głosem, którego zwykła swoboda mieszała się z odcieniem dumy, co pan chcesz powiedzieć, nie czuję wcale bym, był obowiązany tłumaczyć się tutaj z moich odwiedzin, wszakże wiedz pan, że wczoraj na placu walki pojedналиśmy się z Henrykiem, on uczuł niesłuszność podejrzeń swoich.

Mimowolnie wzruszyłem ramionami na próżną dyplomacyę jego.

Chciał mówić więcej, czytałem obrazę w jego oku, ale nie pora była teraz zważać na to; trzeba było oddalić go jak najspieszniej.

— Panie Eugeniuszu, odparłem, podejrzewania Henryka są teraz pewnością, więc w podobnych okolicznościach obecność pana tutaj jest co najmniej niestosowną.

— Cóż się tu stało, zapytał trwożnie, nieufnie, jak gdyby uważał mnie w głębi ducha za sprawcę tego odkrycia.

W tym razie uważałem, że najlepiej postąpię, wyjawiając mu prawdę.

— Pani Róża, wyrzekłem, sama to wyznała mężowi.

Chwilę zdawał się nie dowierzać własnym uszom.

— Kto!? Róża? zawołał, to być nie może.

Potwierdziłem milczącym skinieniem głowy. Ale on sam po minucie rozwagi zrozumiał daremność tych zaprzeczeń, uczuł fałszywość swego położenia, bo zmarszczył brwi i obejrzał się z rodzajem trwogi. Patrzałem na niego uważnie, pytałem tego pięknego czoła o myśli kryjące się za niem, pierwszym jego uczuciem nie była troska o nią, ale raczej gniew i niecierpliwość tak dalece, że wstrzymać się nie mógł od słów.

— I czemuż ona popełniła to szaleństwo?

Spojrzałem na niego surowo.

— W każdym razie, pan nie masz prawa na to się uskarżać.

Zmierzył mnie oczyma, jakby pytając znowu, jakim prawem daję mu nauki.

— Masz pan słuszność, wyrzekł tylko, na teraz obecność moja nie jest tutaj w porę.

I to było wszystko; — wziął z gniewem kapelusz, leżący na stole, wyszedł, nie oglądając się nawet, szepcząc tylko przez zaciśnięte zęby.

— Któż się u licha mógł tego spodziewać.

Byłem zdumiony, wprawd i nie przeceniałem nigdy moralnej wartości tego pięknego chłopca, ale przecież sądziłem, że w podobnej chwili znajdzie przynajmniej słowo współczucia dla kobiety, która zgubiła się dla niego. Teraz pilno mu było wyjść z tego domu, którego próg zdawał się palić stopy jego zarzewiem, uciekał z niego co prędzej, zostawiając nieszczęście.

Konie jego dawnym obyczajem poszły do stajni, gdzie furman wyprzągnął je, nie domyślając się wcale, że tak prędko potrzebne być mogą.

Na teraz Eugeniusz nie czekał aż zajadą, ale wraz ze mną poszedł ich szukać. Był on więcej rozgniewany tym drobnym wypadkiem, nadającym mu pewną śmieszność, niż to chciał pokazać, zresztą pilno mu było zostawić po za sobą Sinogórę i jej mieszkańców, pilno mu było pozbyć się mego wzroku i odzyskać przynajmniej pozorną cechującą go swobodę. Ale za nim konie były gotowe musieliśmy zamienić słów kilka; co do mnie, oczekiwałem ich i pragnąłem. Przez kilka minut upłynionych Eugeniusz miał czas odzyskać panowanie nad sobą, zrozumiał, że gniew jego próżnym był i nie w miejscu, wypadki poszły wbrew przewidywaniom jego, więc rad nie rad przyjąć musiał fakt spełniony.

Teraz należało mu określić sobie jasno obecne położenie, a ja mogłem posłużyć mu do tego, więc rozpogodził wzrok, przywołał na twarz ten ujmujący wyraz, którym umiał podbijać serca i przekonania.

— Panie Joachimie, — wyrzekł, zwracając się do mnie, jak człowiek, który poddaje się losowi, — to, coś mi pan powiedział, było tak niespodzianem, że w pierwszej chwili wytrąciło mnie z kolei, wybacz mi pan, jeśli mimowolnie odezwałem się za zbyt szorstko i nie bierz mi za złe tego, co się stało.

Mówił to z całym pozorem ujmującej otwartości,

pokazując mi lekki odcień żalu nad zdarzonymi wypadkami, jak gdyby to było tylko mało znaczącym nieporozumieniem towarzyskiem. Widocznie on nie był na ich wysokości, lub nie chciał brać ich odpowiedzialności na swoje barki. Więc bez względu na pieszczony wdzięk, z jakim odzywał się do mnie, wyrzekłem poważnie.

— Nie powinieneś się pan troszczyć o moje osobiste zdanie, ono nie wpłynęło i wpłynąć nie może na toczące się wypadki, dziwię się tylko, jakim sposobem pan znając dobrze panią Wielińską, uważasz to, co się stało za rzecz niespodziewaną.

— Ależ panie Joachinie, przerwał mi Eugeniusz, ze skrywaną ironią, pełną litości, przyznaj sam, że ta spowiedź była co najmniej zbyt uczynną.

— To zależy od pojęcia, odparłem, spowiedź ta leżała w szlachetnym charakterze Róży, dla której kłamstwo było męczarnią.

Mówiłem mu o rzeczach, o których widać nie miał najmniejszego pojęcia, bo słuchając mnie, uśmiechnął się znacząco, jednak nie śmiał zaprzeczyć mi wyraźnie i ze zwykłą giętkością wszedł nawet po części w myśl moją mówiąc.

— Tak, tak, to smutny wynik położenia — zapewne

W głosie jego drgało to nieokreślone lekceważenie dla każdego głębszego, prawdziwego uczucia, cechujące całe prawie dzisiejsze męskie pokolenie; zre sztą Eugeniusz przytakiwał mi półgębkiem, bo czuł że tak wypadło uczynić, w głębi ducha był jednak przekonany, że tak samo jak on podobnych rzeczy nie bierę na seryo. Żeby na mojem miejscu był którybądź z jego współtowarzyszy, byłby roześmiał mu się w oczy i dowodził, że kłamstwo jest prawdziwym żywiołem kobiet, że mną jednak nie był dość poufałym, by wypowiedzieć całą myśl swoją i uważał za stosowne, grać komedię cnoty, ponieważ, jak, sądził ja daję mu ten przykład.

Zrozumiałem, że daremnie bym mu tłumaczył to, co leżało po nad jego pojęciem, i nie łudziłem się już więcej co do przyszłości Róży, ale gdyby pozostały je-

szcze jakiegobądź wątpliwości w moim umyśle, on podjął się je rozproszyć.

— Rozumiesz pan jednak doskonale, mówił dalej po chwili milczenia, w jak fałszywem położeniu stawia mnie to niespodziane odkrycie Henryka.

Korzystając z tego zwrotu, postanowiłem wiedzieć wyraźnie o jego przyszłych zamiarach i dla tego odpartem powolnie.

— Owszem, ja sędzę, że to odkrycie jasno określa tylko wzajemne stosunki.

Rzucił na mnie bacznem wejrzeniem, jak gdyby pytał, czy ja przypadkiem nie żartuję z niego, ale widząc, że mówię zupełnie na seryo, wyrzekł.

— Cóż z tego wyniknąć może? — oto wstęp do tego domu jest mi wzbroniony, co będzie bolesnem dla nas obojga, — odnowi się skandal, który próżno starałem się uciszyć, a Róża pozostanie na zawsze poniżoną w oczach męża i świata, życie jej towarzyskie najeży się mnóstwem trudności, a wszystko przez to nieszczęśliwe wyznanie. — Trzeba przyznać, że kobiety rzadko potrafią obrachować następstwa słów niebacznych.

Więc on uważał to tylko za małą nieprzyjemność w ich wspólnem życiu i zerwawszy tę miłość jako niepodobną, zwróciłby się znowu do pierwszej ufnęj istoty, którąby napotkał, by znowu dla innej porzucić ją z kolei, przy lada trudności, prowadząc dalej bezmyślne młodzieńcze życie.

To wszystko w jego oczach było tak naturalnem, iż nie zadawał sobie nawet pracy maskować lub tłumaczyć swych uczuć. I jego to Róża mogła ukochać? dla niego zerwała wszystkie krępujące więzy? Teraz dopiero zrozumiałem całą głębię jej nieszczęścia i postanowiłem także uderzyć cios stanowczy.

— Pani Wielińska, odrzekłem, zamierza rozstać się z mężem.

Ta wiadomość, której pomimo wszystko nie spodziewała się wcale, uderzyła go jak piorunem.

— To być nie może! zawołał, któż mógł dać jej tak zgubną radę?

Był widocznie przerażony tym faktem.

— Pani Wielińska, ciągnąłem dalej niezrażony, nie zważając wcale na przerwę jego, sądzi, iż kochając pana, nie powinna zostawać w domu męża.

Eugeniusz miał niezaprzeczoną ochotę przeklinać i wyszydzać podobne skrupuły, to wszystko, co mówiłem, miał ochotę uważać za mistyfikację. Uczuł jednak, że postanowienie Róży mogło wkładać na niego obowiązki, których podejmować się nie myślał wcale.

— Ależ panie, zawołał, to za wiele, ja nie zastąpiłem, nie sądziłem — zważ pan sam, takie rzeczy dzieją się co dzień.

Był zmieszany, powiększyłem jeszcze przerażenie jego, mówiąc:

— Zapewne, codzieln w życiu napotyamy kłamstwo i obłudę, jednak to nie jest przyczyną, byśmy je za dobre uważali. Zresztą pan powinienesz rozumieć, że są wyjątkowe indywidualności, które pod ogólne prawo podciągnąć się nie dadzą.

On patrzył na mnie prawie osłupiały.

— I cóż z tego będzie, co być może, powtórzył.

Wzruszyłem ramionami z nieukrywaną pogardą.

— Trzeba było o tem wcześniej pomyśleć, wyrzekłem szorstko, pani Wielińska uczyniła swoje, reszta do pana należy.

Piękny chłopiec zupełnie utracił pewność siebie, i zdawał się przygnieciony szczęściem spadającym na niego tak niespodzianie, a z którego wcale korzystał nie myślał, tak dalece, że nawet zapomniał o miłość własnej połączanej podobnym faktem. Wprawdzie Róża, jak się pokazywało, kochała go szalenie, ale wszakże on przywykł do tego, specjalnością jego w życiu było umieć zdobywać łatwowieczne serca, natura i sztuka kształtowały go zda się w tym jednym celu. On miał wszystko, co może olśnić niedoświadczone istoty, więc niewiele sobie robił z ich miłości. Uczynić kobietę nieszczęśliwą, była zwykła rzecz dla niego, ale nie myślał wkładać jej losem swego motylowego życia.

Zresztą sam zmienny i lekkomyślny, nie wierzył

w trwałość uczucia, była to dla niego igraszka tylko dobra — dopóki nie brano jej na seryo, więc nie dziw, że postępek Róży był dla niego rzeczą niezrozumiałą i kłopotliwą.

— Ja, wyrzekł zmieszany, ja cierpię bardzo nad tém, co się stało, naraziłem życie bez wahania, uczynilem, co było w mojej mocy, by ochronić jej dobrą sławę — potrafiłem zupełnie zniweczyć podejrzenia Henryka, czyż więcęj można żądać odemnie?

Widocznie z góry zabierał on położenie odporne, gotów zrzucić na nią całą odpowiedzialność i umyć sobie ręce od wszystkich następstw.

Mówiąc te ostatnie słowa, odzyskał już zupełne panowanie nad sobą, zwykłą swobodę, zachwiane niespodziewaną wieścią, jaką odebrał przezemnie; określił on położenie po swojemu dla samego siebie jak i dla świata, i uznał się sam za zupełnie uwolnionego od odpowiedzialności, wszak nie on zgubił tę kobietę, ona zgubiła się sama dobrowolnie, więc on nie był jej nic winien w zamian za wszystko, co straciła.

— Ja w to zupełnie nie wchodzę i wchodzić nie mogę, odrzekłem zimno, zawiadomiłem tylko pana o tém, co tu zaszło, reszta do mnie nie należy.

Konie już były zaprzężone, skłoniłem mu się z daleka, nie czekając, aż poda mi rękę, której ścisnąć nie chciałem, zrozumiał doskonale to nieme potępienie, a była to dla niego rzecz tak nowa i nieznaną, że chociaż nie mogło mu wiele zależeć na zdaniu starego nauczyciela, przecież uczuł je boleśnie, bo usta jego koronowe zacisnęły się gniewnie i zmarszczyło się gładkie czoło.

Pojechał wreszcie, a ja wolnym krokiem wracałem do dworu, rozmyślając o smutném położeniu Róży; kochanek i mąż równie mało dbali o nią, i na całym świecie mogła rachować na mnie jednego; było wprawdzie jedno serce... ale ona nie wiedziała o niém. Teraz była tylko rozbitkiem, którego fale unieść mogły, gdzie chciały.

W sieni spotkałem Henryka; tak jak Eugeniusz był zdziwiony i rozgniewany tylko tém jedynie, co go



osobiście spotykało, o żonie nie pomyślał wcale, ta kobieta widocznie pomyliła się na ludziach, należała do innego wieku, lub innej społecznej sfery.

— Słyszałeś, mówił do mnie rozburzony, słyszałeś żądania mojej żony, ja przecież po tem, co zaszło, nie mogę błagać jej, by pozostała tutaj, ciekawym tylko, co zyska na tym skandalu, czy lepiej jej będzie gdziekolwiek, niż było w Sinogórze.

— Gdzież ona chce jechać? spytałem.

— Alboż ja wiem, o to przecież troszczyć się nie mogę, może powróci do rodziców, ja mam dość tych kłopotów, wyjeżdżam do Warszawy, ztamąd za granicę, potrzeba mi trochę odpocząć po tem wszystkim, podobne rzeczy są smutne, za powrotem urządzę sobie kawalerskie życie, niech Róża znowu nie myśli, że sobie za nią z desperacyi w łeb strzelę.

Była w tych słowach szlachetna obraza, na jaką Henryk się mógł zdobyć, zresztą nie brałem nigdy na seryo jego groźb, wypowiedzianych żonie przed chwilą, znałem go dobrze, był to w gruncie niezmiernie dobry chłopiec, kiedy nie szło o jego osobiste przyjemności; wprawdzie nie był on w stanie dla oszczędzenia komu wielkiego cierpienia zrobić najmniejszej ofiary, ale też nigdy przez prostą zemstę, nie stanąłby na wspak cudzego szczęścia.

Na teraz jednak nie o to chodziło; po tej ostatniej rozmowie z Eugeniuszem nie mogłem względem niego zachować żadnego złudzenia, szczęściem może dla biednej Róży, odkrył się w niej zupełnie, ona także od razu przecierpieć musiała to drugie rozstanie, on nie kochał jej dość, by jej dać swoje życie, musiała zrozumieć, że liczman brała za złoto, że służyła za igraszkę temu, którego kochała całą siłą serca. Tej boleści jednak nie mogłem jej zadać, zresztą czy uwierzyłaby mi? Z tem smutnem przekonaniem powróciłem do Róży.

Ona z gorączkowym niepokojem przechodziła się po pokoju, zbierając drobne sprzęty porozrzucane wszędzie, jakby już gotowała się do wyjazdu, ale była tak wzburzoną, iż nie była w stanie dokonać tej czynności

i drżącemi rękami rozrzuciła znowu to, co ułożyła przed chwilą. — Widać oczekiwała mnie z sercem bijącym nadzieją, bo gdym wszedł przerwała machinalnie bezużyteczne zajęcie i pobięła ku mnie, a widząc, że milczałem, pochwyliła moje ręce.

— Panie Joachimie! zawołała, dobry panie Joachimie, ty go widziałeś.

— Zrenice jej wpijały się we mnie, jak gdyby chciała dopatrzeć w oczach moich obraz jego.

— Widziałem go, odparłem, o co chcesz mnie pani zapytać.

— Powiedz mi pan, co on ci mówił?

Była namiętna prośba w tych słowach.

— Czy pani nie przeczuwasz tego, wyrzekłem, patrząc na nią z głęboką litością.

Opuściła ręce załamane, przerażona tonem, jakim te proste słowa wypowiedzieć musiałem.

— Ja nie wiem, szepnęła, lękam się czegoś, powiedz mi pan wszystko.

— Ja nie mam nic do powiedzenia, on mi nic nie mógł zlecić, ale los twój pani wkrótce rozstrzygnąć się musi, matka twoja powróciła z za granicy.

— Tę wiadomość odebrałem przed chwilą i dzieliłem się nią z Różą, sądząc, że jej przyniosę pociechę. Ale omyliłem się, młoda kobieta zadrżała lekko.

— Moja matka powróciła, szepnęła sama do siebie, jakby zadając sobie pytanie, jak przez nią przyjdą będzie.

Jednak nie pozostawało jej nic innego, jak udać się do rodzicielskiego domu po radę i opiekę, rozumiała to i wydała stosowne rozkazy.

— Panie Joachimie! wyrzekła do mnie błagalnie prawie, jedź pan ze mną.

— Tej prośbie nie mogłem odmówić. Henryk pojechał gdzieś konno, uciekając z domu, niemogącego znieść go teraz niczém; w głębi ducha rad byłem z tego, lękałem się bowiem w tej chwili ostatniego pożegnania małżonków; zanadto było pomiędzy nimi świeżej goryczy, by nie przyszło do jakiego słowa, którego po tem może żałowałiby oboje. Ona była obra-

żoną, on rozgniewany, a wiedziałem, że gniew jego, choć gwałtowny, był zazwyczaj krótko-trwałym, jak śnieg wiosenny.

Róża wyjechała więc ze swego domu niezegnana; siedzieliśmy w powozie w milczeniu obok siebie. Dzień był gorący, moja towarzyszka oparła bladą głowę o poduszki powozu, znać było w jej pięknych rysach zmęczenie i smutek, ale po za nim błyskały w jej myśli promienie nadziei. Zdawała się odpoczywać przez ten czas wymuszonego spokoju, pomiędzy tem, co przecierpiała, a co czuła jeszcze, że przecierpieć jej przyjdzie, przecież nie upadała na duchu, gorączkowa energia piętnowała jej lekko zmarszczone czoło. Szanowałem jej milczenie i przez cały ciąg drogi nie zamieniliśmy pomiędzy sobą jednego słowa, tylko im bardziej zbliżaliśmy się do celu podróży, tem więcej barwa życia schodziła z jej twarzy, po tem tylko miarkować mogłem jej wzruszenie. Aż mimowolnie przypomniałem sobie słowa Adama: „Ona do matki powrócić nie może“ i pytałem samego siebie dla czego?

Zajechaliśmy wreszcie przed jej dom rodzinny. — Wieść o pojedynku i wszystkich prawdziwych i zmyślonych szczegółach towarzyszących zwykle podobnym wypadkom, musiały poprzedzić nas tutaj; takie rzeczy zwykle lotem błyskawicy rozchodzą się po świecie, ojciec Róży stał na ganku, powitał on córkę z prawdziwym współczuciem, pochwycił ją w objęcia i przycisnął do szerokiej piersi, ale nie mówił nic i oglądał się z rodzajem trwogi wokoło, jak gdyby czyny jego i uczucia podlane były wyższej władzy, której te oznaki rodzicielskiej miłości mogły wydać się nie w miejscu, Róża wtajemniczona znać w domowe stosunki rodziców, zrozumiała to od razu.

— Mój ojcze! szepnęła, tuląc się do niego, a potem dodała ciszej jeszcze, a mama?

— Mama, powtórzył zakłopotany prezes, moje biedne dziecko.

Słowa te nie miały w sobie nic pocieszającego, jednak Róża powtórzyła pytanie swoje.

— Matka jest tam w salonie. . . ale. . .

Chciał widać coś powiedzieć, ostrzedz ją o jakiejś burzy, wiszącej nad jej głową, i, nie wiedział jak to sformułować.

Ona jednak nie zważała na to: jakiegobądź było usposobienie matki, musiała je przenieść, więc wysunęła się powoli z rąk ojca i poszła dalej wraz ze mną przez wielką sień do salonu.

Salon ten wychodzący na ogród, przyciemniony był przez stare drzewa rosnące około okien, fotele i krzesła ustawione w systematycznym porządku, stały nie odsunięte ani o linię jedną ze swego właściwego miejsca, na stołach nie było ani książki, ani dziennika, ani robótki, ani nic znamionującego rękę ludzką, tylko stały na nich sztywne symetryczne lampy, zapalane tylko w wielkich okolicznościach; wśród tego uroczystego salonu, na kanapie, zwykłym swym miejscu przyjęcia, siedziała prezesowa — widziałem ją nieraz, nie zwracając wielkiej uwagi na tę zwyczajną, jak sądziłem, kobietę; teraz po raz pierwszy spojrzałem na nią badawczym okiem i uderzony zostałem najprzód nadzwyczajną różnicą, jaką przedstawiały dwa typy matki i córki; były one sobie najzupełniej przeciwne, twarz Róży okrągła, miękka, pełna wdzięku, zdawała się łagodnością samą, gdy rysy matki ostre i wybitne zdradzały zakrojem swoim suchość i ciasnotę myśli, których wiek nie rozszerzył ani zmiękczył — przeciwnie wszystko zdawało się spiczastem w tej twarzy, nos jej cienki i przezroczysty zakończył się spiczasto, broda jej była spiczastą, spiczastem nawet było wejrzenie jasnoniebieskich oczów, świecących z pod silnie narysowanych brwi. Wszystko to zdradzało kobietę despotyczną i nieubłaganą, biorącą ciasnotę pojęć za niewzruszoność zasad, a upór za siłę charakteru; zapewne musiała ona przy tem być sprawiedliwą, o ile nią być mogła, ale bez miłosierdzia dla siebie i drugich spełniała to, co uważała za swój obowiązek; może i miała serce, może w głębi jej piersi były jakie uczucia, tylko nie brała ich nigdy w obrachunek, i miała sobie nawet za punkt honoru, nie zdradzić ich niczem.

Ta kobieta była dla mnie wytłumaczeniem zupełnej bierności Róży przed ślubem; dziewczyna ściśnięta żelaznemi kleszczami jej zasad i pojęć nie wiedziała nic o indywidualności własnej. Indywidualność jej rozwinęła się dopiero zdala od tej mrożącej atmosfery. Bo raz wydawszy córkę za mąż, nie mieszała się do niej wcale, jak gdyby błogosławieństwo małżeńskie starczyło zupełnie, by dać jej doświadczenie życia, zdrowe pojęcia i ustrzedz od wszystkich niebezpieczeństw: nie chciała wchodzić w cudze prawa. Raz oddawszy ją Henrykowi w stanie zupełnej nieświadomości, uważała, iż uczyniła wszystko, co do niej należało i godnie odpowiedziała obowiązkom matki. Dziś jednak w brew tak wybornemu wychowaniu, życie jej córki było zachwianem. Skandal w Sinogórze, miłostka, pojedynek, — widocznie wiedziała wszystko.

I zapewne przygotowała się Róża na to wszystko, i przystąpiwszy do niej, pochyliła się, chcąc ucałować jej rękę, ale prezesowa cofnęła je i razem wlepiła w córkę spiczaste wejrzenie.

— Mamo, szepnęła Róża, zmięszana tem przyjęciem.

— Moja córko, odparła poważnie, zanim powitam cię po dawnemu, chciałabym wiedzieć po co tutaj przybywasz? dla czego Henryk ci nie towarzyszy?

To wszystko wypowiedziała oschłym tonem; nie była to matka przyjmująca zbłąkane dziecko, ale surowy sędzia, przytém zmierzyła mnie oczyma, jakby pytając, jakim prawem towarzyszę Róży. Skłoniłem jej się w milczeniu. Prezesowa oddała mi z góry ukłon i więcej nie zważała na mnie, może w duchu cieszyła się z tego świadka jej bezstronnych, jak sądziła, postępów.

Jednak Róża nie była z tych kobiet, które w ważnych chwilach życia tracą przytomność i dla tego też wyrzekła od razu, chociaż w głosie jej stłumionym drgało wzruszenie.

— Matko, powróciłam do ciebie na zawsze, rozstałam się z Henrykiem.

Prezesowa przyjęła to wyznanie niewzruszona

wcale, tylko oczy stały się bardziej kolące, a cała postać sztywniejszą jeszcze gdyby to być mogło.

— Kiedym wydawała cię za męża Rózo, wyrzekła, zapytywałam o twoje zdanie, tyś sama zgodziła się na to małżeństwo, którego nie narzucałam ci, wszak prawda? —

— Prawda, mamó — ale

Tu matka spojrzała groźnic i skinęła ręką.

— Żadnych ale, powtórzyła dobitnie, musisz sama przyznać, że cię nie namawiała i nie wpływała na twój wybór, chociaż dogadzał on zupełnie moim życzeniem.

Róza widząc, że przerwa jej była daremną, nie powazyła się już nawet przywtarzać, a prezesowa mówiła dalej:

— Henryk jest młodym, przystojnym, bogatym, dobrze wychowanym, wiem, że nigdy nie odmawiał ci niczego, nie zasłużył w niczem na żadną naganę i był dla ciebie najlepszym mężem, więc nie sądz, proszę, bym była tak nierozsądną i schlebiała twoim fantazyom. Wychodząc za męża, przyjęłaś na siebie święte obowiązki, opuściłaś rodziców, a dom męża stał się twoim domem, którego nigdy porzucić nie powinnaś.

— Matko, zawołała Róza śmiertelnie blada, jakto ty odmówiłabyś mi schronienia.

Fakt ten przewyższył wszystko, czego się spodziewać mogła. Prezesowa nie odpowiedziała wprost na pytanie córki, tylko z kolei zadała jej inne.

— Cóż masz do zarzucenia Henrykowi.

I mówiąc to, spojrzała tak badawczo na córkę, że ta z bladej stała się różową, może chciała ją zmusić tym sposobem do natychmiastowej spowiedzi; ale po krótkiej chwili młoda kobieta odparła.

— Ja nic mu nie zarzucam, tylko nie kochamy się. —

Te ostatnie wyrazy wymówiła ciszej, czuła, że słowo, które dla niej stanowiło treść życia, dla matki nie mogło mieć żadnego znaczenia. Rzeczywiście, słysząc je prezesowa, — wzruszyła ramionami z najwyższą pogardą.

— Dziwię się, moja córko — odrzekła tylko, jak możesz przedstawiać takie powody, które nawet właściwie powodami nie są. — Miłość w małżeństwie, to rzecz zupełnie zbyteczna, skoro jest szacunek; nie wiem doprawdy, w jakim romansie mogłaś zaczerpnąć podobnych idei, bo nie wyniosłaś ich przecie z rodzicielskiego domu. Mnie prawdziwie wstyd nawet słuchać takich niedorzeczności.

Na tak stanowczą odpowiedź Róża milcząc, spuściła głowę, a po chwili prezesowa spytała badawczo:

— Więc to jest jedyna przyczyna twego wyjazdu? nie miałaś innej do opuszczenia męża? Różo, ty nie jesteś szczerą ze mną.

Chwilę obie kobiety mierzyły się oczyma.

— Moja matko — szepnęła wreszcie córka, skoro wiesz wszystko, po co pytasz?

Prezesowa podniosła czoło z wyrazem tryumfu.

— Jakto, po co pytam? chcę wiedzieć, jakie imie nadasz postępkom twoim? — jak usprawiedliwić je możesz?

— Matko, szepnęła Róża, ja się nie usprawiedliwiam, wiem, że nie potrafię tego uczynić przed tobą, bo cierpienie jedno jest mojem usprawiedliwieniem, a ty go nie rozumiesz. Zbłądziłam, wiem o tém, ale dzisiaj fakt ten ciąży nademną i zamyka mi wrota przeszłości.

Było coś rozzwierającego w tych krótkich słowach, ale prezesowa nie była wcale z tych kobiet, które się łatwo wzruszyć dają. Siedziała ona ciągle sztywna w rogu kanapy, ręce splecione spuściła na kolana i zwyczajem swoim przebierała palcami, jak gdyby to wszystko, co zaszło, nie było w stanie naruszyć jej majestatycznego spokoju.

— Postąpiłaś niegodnie, wyrzekła po chwili, czując się w obowiązku wzmocnić o wiele wyrażenia biednej Róży — przyniosłaś hańbę nie tylko mężowi, ale i matce, która cię wychowała. Henryk, jako człowiek honorowy, naraził życie za ciebie, a ty powinnaś na klęczkach błagać jego przebaczenia.

Rumieniec oburzenia wystąpił na twarz młodej kobiety.

— Jeśli chcesz matko, klęknę przed tobą — jeśli chcesz, będę prosić twego przebaczenia, ale Henryka nigdy! Grzech mój powinien spaść na niego, bo on go wywołał.

— Byłaś zawsze dumną i upartą, więc nie zadziwia mnie twoja mowa, odparła sucho prezesowa.

Ale to wszystko nie doprowadzało do żadnego rezultatu. Róża stała przed matką zawsze w kapeluszu, obwinęta białym burnusem, jak w chwili, kiedy wysiadła z powozu. Prezesowa teraz nie zdawała się zwracać na to uwagi.

— Jesteś dumną i upartą, powtórzyła po chwili, poprawiając się; wyraźnie wypowiedziawszy ten frazes, oczekiwała, by córka odprzysięgła się wad wymienionych, a nie doczekawszy się tego, dodała z ukrytym gniewem:

— Ale ja także potrafię być stanowczą, gdy chodzi o twoją przyszłość i honor rodzinny.

O stanowczości matki Róża z pewnością nie wątpiła nigdy — a prezesowa po krótkiej chwili ciągnęła dalej:

— Wiem, że Henryk pomimo wszystko co się stało, gotów ci był przebaczyć, — że sama porzuciłaś go nierozsądnie, i powtarzam, jeśliś sądziła, że schlebiać będę twoim wybrykom, to omyliłaś się bardzo.

Widać matka Róży była doskonale uwiadomioną o domowych sprawach swej córki, zapewne na pierwszą wieść o pojedynku zaprowadziła w tej mierze korespondencyę z zięciem, lub też posiadała w sąsiedztwie doskonałych donosicieli. Na teraz nie czas było zgłębiać tej kwestyi; nowe położenie, które tworzyła widoczna niechęć prezesowej, nabawiała mnie bolesnego kłopotu.

— Tak, tak, omyliłaś się bardzo, powtarzała prezesowa, nadając tym sposobem przycisk ostatnim wyrazom.

— Tak jest, omyliłam się, wyrzekła Róża, przy-



wiedziona do ostateczności, sądziłam, że znajdę tutaj matkę.

I patrzyła wymownemi oczyma w suchą spiczastą twarz stariej kobiety, chcąc się w niej dopatrzeć śladu ludzkiego uczucia, ale twarz ta pozostała niewzruszoną, tylko wazkie jej wargi przycięły się gniewnie.

— Uczucia milknąć powinny wobec obowiązku odparła.

— Matko, matko, zawołała Róża, gdybyś mnie kochała, inaczej przemawiałabyś do mnie, mogłabyś zganić mnie, zgromić nawet, ale zrozumiałabyś, co się dzieje w mojem sercu.

Słowa te przerywane były łzami, które gwałtem cisnęły się jej do oczów.

Ale ani łzy, ani ten wykrzyk nie trafiły do twardej piersi matki. Róża była w jej przekonaniu występna kobieta, i niczem więcej, miała sobie za punkt honoru, pokazać się dla niej nieubłaganą, zresztą trzeba jej oddać sprawiedliwość, iż nie znała wcale natury ludzkiej i nie pojmowała ani serdecznych cierpień, ani niestosowności charakterów, ani tego wszystkiego, co córkę jej czyniło nieszczęśliwą, więc patrzyła na nią z rodzajem pogardliwej litości, równie dalekiej od współczucia jak od przebaczenia. Gdybyż jeszcze Róża była po prostu przepraszała ją, nie wdając się w żadne tłumaczenia i obiecała nadal wykonać jej rozkazy, to byłaby się dała może przebłagać, lecz młoda kobieta miała hardość zranionego ducha i dumę swjej miłości, śmiała nie schylić od razu czoła przed wszechwładnem skinieniem matki, która wszystkich w koło siebie przyzwyczajwszy do biernego posłuszeństwa, tém bardziej czuła się w prawie wymagać go od córki. Zdawało się, że nie mogło pomiędzy niemi przyjść do porozumienia, bo na te ostatnie słowa prezesowa nie raczyła odpowiedzieć, ani nawet zwrócić bacniejszej uwagi na biedną kobietę, która ciągle stała przed matką blada, znękana, w podrózném ubraniu, nie upoważniona nawet do rozgoszczenia się w rodzicielskim domu.

Bolało mnie to za nią, ale niepodobna mi było mieszać się pomiędzy matkę i córkę, znać też niełaska,

w którą popadła Róża, i mnie dosięgała, bo prezesowa wcale nie zwróciła na mnie uwagi, jakbym ja odwożąc ją tutaj, stał się tём samém współwinnym jęj buntu.

W salonie trwało milczenie, wśród którego słycać było czasem spazmatyczne łkania, wydobywające się z piersi Róży. Wreszcie przerwała je prezesowa, która bez żadnego względu na wszystko, co usłyszała, mówiła dalej, zawsze jednakim obojętnym tonem.

— Ja sądzę moja córko, że na teraz zostaje ci tylko jedna droga, powrócić do męża i starać się go prześlagać; to radzę ci jak najprędzej uczynić, dopóki nie rozniesie się po świecie wieść o twoim nierozsądnym wyjeździe.

— Nie prawdaż, panie Joachimie, dodała, zwracając się do mnie, sądzę, że pan i w tęj podróży zechcesz towarzyszyć Róży.

— Uczynię wszystko, odparłem, co pani Wielńska zażąda, jestem na jęj rozkazy.

— A więc wyrzekła prezesowa, nie troszcząc się wcale o zezwolenie córki, im prędzej, tём lepiej, każe zaraz zajeżdzać.

I podnosiła rękę do dzwonka, ale Róża pochwyciła tę rękę.

— Nigdy, nigdy, matko, zawołała urywanym głosem, uczynię wszystko, co zechcesz, tylko nie to.

— Prezesowa chłodnym a szybkim ruchem wysunęła dłoń z jęj uścisku.

— Nie mam prawa rozkazywać, odparła sucho, radziłam tylko, ale nie myśl, bym dała schronienie w moim domu występnej żonie i buntowniczej córce.

— Jakkolwiek Róża znała matkę swoją, tego przecież nie przewidziała.

— Matko! szepnęła, czy to twoje ostatnie słowo

— Pierwsze i ostatnie, odparła nieubłaganie.

— Róża załamała ręce gwałtownie i podniosła je do czoła z rozpaczą.

— Oh! zawołała więcęj sama do siebie, niż do matki, której nie spodziewała się już zmiękczyć, tego za wiele.

Ale i ten wykrzyk boleści nie zrobił na prezeso-

wej żadnego wrażenia, nie odpowiedziała nic nawet, tylko dalej przebierała splecionemi palcami, siedząc majestatycznie z oczyma wlepionemi w sufit.

— I cóż uczynię teraz, gdzie mam szukać pomocy, mówiła młoda kobieta z wybuchem; matko, udałam się do ciebie z miłością i żalem, jak dziecko zbłąkane, gotową byłam otworzyć ci serce moje i szukać w tobie wsparcia, ty odtrąciłaś mnie niemiłosiernie, niech teraz co chce dzieje się ze mną, niech odpowiedzialność za to, co stać się może, spadnie na ciebie. Dobry panie Joachimie, chodźmy ztąd, ja nie mam matki.

— Słowa te wyrwały się wśród łkań z jej piersi ściśniętej, chwiała się i oparła całym ciężarem na mojem ramieniu.

Prezesowa słuchała jej osłupiała, nigdy nie przepuszczała w córce tak gwałtownych uczuć i do obojętności, cechującej tę twarz spiczastą, przyłączyła się jeszcze obraza; żadnem słowem, żadnym ruchem nie zatrzymała jej, tylko siedziała nieporuszona w rogu kanapy, jak senatorowie rzymsey w krzesłach kurulskich, przejęta jak oni godnością własną.

Wyprowadziłem ślaniającą się Różę z pokoju; jak dziecko dała powodować sobą, na ganku siedział prezes, oczekując niespokojnie na skutek dłuższej rozmowy żony swojej z córką, do której mieszać się nie śmiał.

Widząc płaczącą Różę, pochwycił ją w ramiona.

— Biedna Róziu, szeptał, widzisz, mówiłem ci zaraz, z matką nie łatwa sprawa, wiem to nie od dzisiaj.

Młoda kobieta w jego objęciu zanosila się od łez, ale czułem, że to jedno w tej chwili mogło jej sprawić ulgę.

— Panie prezesie, rzekłem, żona odmawia córce przytułku w domu swoim, czyż pan na to pozwolisz?

On spojrział na mnie przerażonemi oczyma, jak gdybym żądał od niego coś widocznie przechodzącego siły ludzkiej, jakiej gwiazdy z nieba, lub coś podobnego, bo powtórzył.

— Pozwolić, pozwolić, łatwo to powiedzieć, moja żona ma silną wolę i wie co czyni. W tym jednak

razie, poprawił się, okazała się twardą, bardzo twardą, ostrzegałem cię Róziu; nie płacz tak na miłość boską, obaczysz, to może i lepiej, pogodzisz się z Henrykiem i przyjedziecie tu oboje.

Na próżno odwoływałem się do ojcowskiej miłości tego niedoleźnego człowieka, sądząc, że ona doda mu odrobiny energii.

Róża nie mówiła nic, знаła go lepiej odemnie, tylko zmęczoną głowę opierała na jego piersi i płakała.

On jednak czuł się obowiązany dać jej także radę i napomnienie.

— Widzisz moje dziecko, mówił, trzeba zawsze słuchać matki, nie sprzeciwiać jej się w niczem, to jedyny z nią sposób, ja to od dawna zmiarkowałem i dobrze mi z tem bardzo.

— Wierzę ci ojeze, odparła Róża, zmęczona tą słabą oznaką uczucia, ty przynajmniej dobrym jesteś dla mnie.

— Dobrym dla ciebie. zawołał prezes, tknięty tym wymownym wyrazem, ja kocham cię Róziu, i gdyby to odemnie zależało. . . .

Tu zatrzymał się przełknięty niezwykle tych słów śmiałością i dodał po chwili.

— Matka kocha cię także, wiem o tem, tylko po swojemu, nie trzeba jej się sprzeciwiać.

Ale na wspomnienie tej miłości, biedna Róża wstrząsnęła się w jego objęciu.

— Uspokójże się moje dziecko, mówił, głaszcząc jej ciemne włosy, zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Te zdawkowe słowa pociechy, powtarzane zwykle wówczas gdy się nie ma nic do powiedzenia, ocuciły Różę z moralnego odrętwienia, w którym się znajdowała.

— Co będzie dobrze, spytała, podnosząc głowę z ramienia ojca.

— No, wszystko, odparł prezes, któremu to orzeczenie wystarczało zupełnie, tylko nie płacz tak bo się rozchorujesz.

Młoda kobieta wstrząsnęła głową, może i miała w myśli jakie gorzkie słowo, wywołane optymizmem

ojca w tak krytycznej chwili, ale gdy spojrzała na do-  
broduszną twarz jego, słowo to pozostało niewymówione.

Czas nagle, słońce chyliło się do zachodu, konie  
stały przed gankiem, nie śmiałem jednak tego przy-  
pominać Róży, nie wiedziałem jej dalszych zamiarów.

Widać rozumiała także, iż ta scena do niczego  
doprowadzić nie mogła, że z temi marnemi wyrazami  
współczucia ojciec dał jej wszystko co dać było w jego  
mocy, bo w milczeniu wysunęła się z jego ramion i  
skierowała się do powozu.

Prezes też nie zatrzymywał jej wcale; lękał  
się, by córka nie odwołała się do jego władzy, bo to  
mogło go postawić w przykrém położeniu odmówienia  
jej, nie przyszło mu na myśl, by nawet w tej ważnej  
chwili, sprzeciwić się wszechwładnej woli swój maje-  
statycznej małżonki, więc postanowienie Róży sprawiło  
mu pewną ulgę.

Sam odprowadził ją i wsadził do powozu, a obra-  
cając się do mnie ścisnął mi rękę.

— Panie Joachimie, wyrzekł z prawdziwą serde-  
cznością, strzeż pan naszej Rózi, opiekuj się nią, ja  
odwiozłbym ją sam do domu, ale teraz nie mogę, pra-  
wdziwie nie mogę.

— Nie czyni tego mój ojciec, zawołała z trwogą  
młoda kobieta.

Ale on nie uważał tego.

— Bądź spokojną, wyrzekł, odwiedzę cię za dni  
kilka.

Ucałował ją raz jeszcze i powóz ruszył z powro-  
tem w raz przebytą drogę.

Zaledwie jednak byliśmy za bramą, Róża podnio-  
sła się z poduszek, na których spoczywała.

— Panie Joachimie, rzekła gwałtownie, pan wiesz  
dobrze, iż nie powrócę do Henryka.

Domyślałem się tego, było to w jej charakterze,  
więc spytałem tylko:

— Gdzież udasz się pani?

— Gdzie? — powtórzyła, wlepiając we mnie oczy  
błyszczące gorączkowem postanowieniem — jest jesz-

eze przecież dom, gdzie schronić się mogę, gdzie zapewne powinnam była naprzód się udać.

Patrzyłem na nią przerażony.

— Jadę do Eugeniusza, dodała, widząc że mój nie rozumiał, ten przynajmniej nie odmówi mi schronienia.

I już gotową była wydać ten rozkaz ludziom swoim.

— Pani, odparłem biorąc jej rękę, chcesz się zgubić do reszty, ale na to nie pozwolę.

— Zgubić się — powtórzyła Róża z gorzkim sztyderym śmiechem — alboż i tak nie jestem zgubioną? A zresztą mniejsza o to, rodzice zamknęli dom przedemną, gdzież się udać mogę? — jeśli lecę w przepaść, oni mnie w nią wepchnęli; teraz jedyne miejsce dla mnie jest przy nim.

Była rozgorączkowaną, gotową na wszystko; zrozumiałem, że w tej stanowczej chwili winien jej był całą prawdę i rzekłem.

— Gdyby Eugeniusz był godnym ciebie, pani, dawno już byłby dał ci jakibądź znak życia i stanął gotowy na rozkazy twoje. Na te szorstkie słowa zbłądła i zaczęła drżeć, patrząc na mnie miłosiernie oczyma; ona chciała usłyszeć wszystko, a pomimo jej woli zboliałe serce błagało, by mu oszczędzić zbyt srogich ciosów.

— Widziałeś go pan, wyrzekła, cóż ci mówił?

— Nie takiego, cobym śmiał powtórzyć ci pani, nie takiego, coby było godnym ciebie.

Chwilę milczała pognębiona.

— A więc, zawołała po chwili, ja chcę zapytać go o to sama, chcę widzieć, jakim czołem kłamię. — Panie Joachimie, czy chcesz, lub nie chcesz mi towarzyszyć, ja jadę do Eugeniusza.

W rozpaczy swojej gotową była uczynić to bez wahania.

— Nie pani — zawołałem także stanowczo, jesteś pod moją opieką, a ja na to nie pozwolę.

— Więc gdzież się udam, pochwyciła obrażona, czy pan także radzisz mi powrócić do Henryka.

— Nie pani, tej rady ci nie dam, wiem że to byłoby napróżno, ale zechciej przyjąć gościnność w moim domu; niepodobna, by mąż i rodzice, widząc stałe postanowienie twoje nie przyszli ci w pomoc; dom mój będzie punktem neutralnym, zkąd możesz układać się i namyślić, co ci dalej czynić wypada, wszak to nie obowiązuje cię do niczego.

— Panie Joachimie, zawołała podając mi obie ręce z wymowną wdzięcznością, czy pan zastanowiłeś się, wiele przez ten krok ściągniesz na siebie nieprzyjaźni, wszak widziałeś, że mnie pomódz nie wolno pod karą popadnięcia w niełaskę świata, ja jestem po za granicami jego, stałam się paryasem, biada tym, co się mnie dotkna.

— Pani, odparłem dumnie, nad takimi rzeczami nie zastanawiam się nigdy, czynię to, co uważam za swoją powinność, i nie dbam o płocze sądy ludzkie; powiedziałem ci raz, że jestem na twoje usługi, a nie zwykłem mówić słów próżnych.

Zrozumiała, że byłem w prawdzie i pomimo wszystkich tłoczących ją bólów, zdobyła się na blade uśmiech.

— A więc przyjmuję gościnność pana, wyrzekła tylko.

Odtąd jechaliśmy w milczeniu, każde z nas pograżone było w myślach swoich.

Staralem się, by w moim skromnym domku, jak najmniej źle było Róży — znała go, czasami przechadzka przychodziła tutaj na podwieczorek, czasem konno, wstawszy przypadkiem razem ze słońcem, budziła mnie bijąc gałką spicruty o zamknięte okiennice, znały ją dobrze psy domowe i wszystkie kąty mego domu, w którym nieraz bawiła się w gospodarstwo. — Tutaj zawsze była swobodną i wesołą, a teraz w jakże odmiennych okolicznościach witała te ciche ściany. — Jednak nie okazała ni łez ni smutku, ale odważnie z uśmiechem wsparła się na mojem ramieniu i weszła do saloniku.

Zmrok zapadał; był to cichy wieczór letni, purpurowe łuny gasły na zachodzie, i przez okna otwarte

widać było na tém tle ognistém, rysujące się drzewa i pałacyk Sinogóry.

Spocznij pani, mówiłem, układając poduszki na kanapie, ja tymczasem tu wszystko zarządzę.

— Dobry panie Joachimie, odparła, sprawiam ci tyle kłopotu.

Poniosłem do ust jej rękę i zostawiłem ją, sam poszedłem zająć się obowiązkami gospodarza domu; przyjęcie takiej kobiety, jak Róża, na czas dłuższy było tu rzeczą tak nadzwyczajną, że urządzenie jej pokoju zabrało mi trochę czasu, gdy niespodzianie usłyszałem tentent konia na dziedzincu; niespokojny wyszedłem przed dom, ale już było za późno; w mroku wieczornym poznałem Adama, jak uwiązawszy wierzchowca u słupa, wszedł spiesźnie wewnątrz domu, nie miałem czasu mu przeszkodzić, lub uprzedzić przynajmniej o bytności Róży; stało się więc to, co przewidywałem aż nadto, przypadek zbliżył tych dwoje ludzi, wbrew nawet ich woli; teraz jednak nie wiedziałem, czy miałem błogosławić mu lub złorzeczyć, i musiałem być świadkiem ich spotkania; po za Adamem wsunąłem się do pokoju.

W salonie panowała cisza i półcień wieczoru, tylko ostatnie odbłyski zachodu padały na postać młodej kobiety, obwiniejętj fałdami białego burnusa spoczywającj niedbale na kanapie z twarzą zwróconą ku drzwiom wehodowym. Na ten niespodziewany widok, on zatrzymał się drżący, zmieszany, niedowierzając oczom własnym, i stał zapatrzony jak w zjawisko dni gorączkowych i snów niespokojnych, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca, by ich nie spłoszyć. Róża wlepiła błyszczące oczy w męzką postać stojącą na progu, młody kuzyn tak dalekim był od jej myśli, że nie mogła poznać go od razu, aż wreszcie rozjaśniły się jej wspomnienia i powstając na jego spotkanie, zawołała radośnie.

— Adaś, Adaś.

On przynosił jej z sobą upajającą pamięć przeszłości, owych dni, w których była wolną, szczęśliwą.

Gdy spojrział na nią i jego oczy zamglily się łzami; postąpił ku niej.



— Rózo! pani, szeptał drżącemi usty.

On gotów był wyciągnąć do niej ramiona, by pochwycić ideał życia, gotów był ukłęknąć przed nią i modlić się jak do Madonny i gotów był wybuchnąć gorzkim wyrzutem, że ona ukochana tak zupełnie, przez lat tyle mogła gdzieindziej zwrócić serce swoje. Ale te wszystkie uczucia rysowały się widne dla mnie na twarzy jego, a nie objawiły niczemu wyraźnem.

Ona nie zauważyła nawet jego wzruszenia, — nie dorozumiewała się niczego, odnajdywała po prostu towarzysza zabaw dzieciennych, ucieszyła się, jak może ucieszyłaby się kuzynowi Karolowi, — lub kuzynowi Ignasiowi, których znała kiedyś równie dobrze.

— Adasiu, mówiła, zkądże się wzięłeś, wieki nie widzieliśmy się z sobą — kiedyż to było?

I szukała próżno w pamięci, kiedy było ich ostatnie rozstanie.

To zwykłe przyjacielskie powitanie, odebrało mu do reszty przytomność, mimowolnie on miał jej za złe, że nie przypomniła sobie nawet, iż dzień kiedy widzieli się po raz ostatni, był to dzień jej ślubu, dzień, którego o mało życiem nie przypłacił, więc milczał, nie znajdując słowa, któremby mógł przemówić do niej.

Róża opacznie wytłumaczyła sobie to milczenie.

— Adasiu, wyrzekła, cóż tak niechętnie witasz się ze mną, czyś już o mnie zapomniał.

Mówiła to spokojnie, obojętnie, jak gdyby niepamięć jego, była zwykłym życiowym faktem nie brany przez nią do serca.

— Ja o pani! zawołał młody człowiek.

I nie mógł powiedzieć nic więcej, brakło mu głosu i oddechu w piersiach, nawet ta pieszczotliwa nazwa, którą darzyła go bezmyślnie, była dla niego boleścią.

— Nie spodziewałeś się zastać mnie tutaj, ciągnęła dalej młoda kobieta. głucha i ślepa na cudze cierpienie, jak zwykle ci, którzy kochają gdzieindziej.

On już nie był w stanie odpowiedzieć, ona też nie czekała na to.

— Ale zkądże wzięłeś się tutaj, tak niespodzianie,

pytała, przypomniawszy sobie widać, ten dziwny fakt jego obecności.

Adam poruszył ustami, ale dźwięk żaden z nich nie wyszedł, brakowało mu sił i wsparł się o ścianę, jak gdyby lękał się upaść.

Przyszedłem mu w pomoc.

— Pan Adam, wyrzekłem, od kilku miesięcy mieszka w tej okolicy.

Ale tłumaczenie to nic nie tłumaczyło, a właściwie bardziej jeszcze plątało sprawę.

-- Szkaradny Adasiu, zawołała Róża, czemuż nie przyjechałeś do Sinogóry, powiedz mi zaraz, dla czego? czy stałeś się odludkiem — mizantropem? proszę odpowiedzieć.

I nie odbierając odpowiedzi, tupnęła nóżką zniecierpliwiona. Ona przemawiała do niego, jak to zapewne czynić była przywykłą w dniach dzieciństwa, z rodzajem moralnej przewagi, jaką zawsze wywierała nad nim.

— Czyż zapomniałeś już posłuszeństwa dla siostrzyczki Rózi, mówiła niby rozgniewana milczeniem jego.

— Róziu — pani — szepnął młody człowiek nieprzytomnie, nie pytaj o nic — miej miłosierdzie — ja nie wiedziałem, że tutaj jesteś — przebacz mi.

Teraz dopiero ona zrozumiała, że coś niezwykłego działo się z Adamem; wymówiwszy te ostatnie słowa chciał odejść, ale siły odmówiły mu posłuszeństwa, blade jak ściana, o którą się wspierał, stał przed nią bez tchu i głosu.

Ona spoglądała pokolei na mnie, a i na niego, jakby szukając napróżno wytłumaczenia tej niepojętej zagadki, i od razu odbiegł ją żartobliwy ton, jakim przemawiała niesiona wspomnieniem lat dziecinnych; własne cierpienie kazało jej cudze uszanować, zbliżyła się do niego poważnie.

— Adamie, wyrzekła, to ty przebacz mi za nieuważne słowa, nie wiedziałam, że ty także doznałeś twardej ręki nieszczęścia, ale bądź szczerym ze mną, nie jestem już także tym bezmyślnym dzieckiem, które

znales, potrafię dzielić boleść twoją i zapłakać z tobą, tak jak śmiałam się dawniej.

Pomimo wszystko nie zrozumiała go dotąd, i przez myśl jej przeszło wszystko, oprócz prawdy.

Oczy jego spoczywały na niej z niemym zachwytem, aż ona zbliżyła się i dotknęła aksamitną dłońią jego ręki, w tej chwili zimnej jak marmur. Tego było za dużo, on pochwycił tę rękę w swoją i przyciskał do ust gwałtownie, jakby teraz nie wydrzeć mu jej nie było w stanie.

Było coś tak namiętnego w tym uścisku, że kobieta cofnęła się przerażona, napróżno usiłując wyrwać się z niego. On nie uczuł tego nawet, zatopiony w piekielnej rozkoszy tej chwili.

— Panie Joachimie, zawołała, co to jest, co to wszystko znaczy?

Adam dosłyszał te słowa zwrócone do mnie, puścił jej rękę i głuchy jęk wydobył się z jego piersi...

Ja byłem bezczynnym świadkiem tej sceny, niezdolny przerwać jej lub wyjaśnić, porwany wirem wypadków, bo jakim prawem mogłem stanąć pomiędzy nimi; działo się tutaj coś wyższego nad przewidywania ludzkie, a zresztą cóż mogło stawić opór namiętności takiej siły, — ten człowiek nie był teraz w stanie usłuhać nikogo, nawet samego siebie.

— Ja cię kocham, zawołał jak gdyby pękła zaporą zamykająca mu usta, Rózo ja ciebie kocham, kocham na śmierć i życie, kocham od owych dni dzieciństwa, gdy bawiliśmy się po kolei w brata i w siostrę, lub w męża i żonę; kocham cię, a ty, ty nie pomyślałaś tego nigdy i gdzież ty miałaś oczy gdzie serce? W dzień ślubu twojego ja unurzczyć chciałem, a potem włóczyłem się po świecie, jak ciało bez ducha, waleząc z jedną myślą, z jednym uczuciem. Rózo żaden człowiek na świecie tak jak ja nie kochał, ty byłaś mi słońcem, światłem, powietrzem, ty byłaś myślą dni moich i snem nocy a ty tymczasem... Rózo, jak ty mogłaś pokochać innego, jak ty mogłaś sprofanować tę świętość moją, — twoje serce, jak ty śmiałaś mieć dla innego uśmiech, spojrzenie, miłość, kiedy ja ko-

nałem za tobą. Czy on przynajmniej kocha cię, jak ja kocham — nie to być nie może, on byłby tutaj, on nie porzuciłby cię na minutę jedną, nie stracił by takiej chwili. A ja szalony uciekałem i kryłem się zdala od ciebie, za ledwie pozwalając sobie spojrzeć w jasne okna twego pałacu, czemu ja nie wszedłem tam z innemi, czemu nie stanąłem przed tobą, ty może brś była wyciągnęła rękę do mnie i wyrzekła, Adamie ja cię kocham, jak powiedziałaś to innemu.

Są rzeczy, które wypowiedziane być muszą; te gorące słowa płuły w atmosferze co go otaczała, zanim wymówione zostały. Było to dzikie bezładne wyznanie, więcej wyrzut niż wyznanie, nie uczynił go rozmyślenie, ono wyrwało mu się gwałtem, wbrew woli, serce jego wezbrało słowami, bo było zbyt pełne, żadna siła ludzka zatrzymać ich nie mogła, a teraz stał sam przerażony tem, co uczynił. Róża uderzona niby gromem wyznaniem miłości, o której nie pomyślała nigdy, słuchała go ze spuszczoneń czołem, z falującą pierśią. — Może czyniła mimowolne porównanie pomiędzy zapomnianym kuzynem, a wybranym przez siebie; może pierwszy raz dosłyszała słowa prawdziwego uczucia, i uderzyła ją ich siła, może zaślepiona swoją miłością nie była w stanie tego zrozumieć, ale nie zdradziła niczem wrażeń swoich.

— Adamie — wyrzekła po długiej chwili, cicho i tak miękkim głosem, że jego przejmująca słodycz dźwięczała niby balsam kojący — teraz rozumiem, ile ci złego uczyniłam, byłam szalonem dzieckiem; czy będziesz mógł mi przebaczyć?

— Przebaczyć tobie — powtórzył Adam, jakby nie rozumiejąc nawet tego wyrazu w jej ustach. Wszak to ja jestem winowajcą, wszak to ja wypowiedziałem to, co przysięgłem sobie pokryć wiecznem milczeniem.

Położyła mu rękę na ramieniu i szepnęła, niezmiernie smutnie patrząc na niego.

Zawiniliśmy oboje może, Adamie, ty, żeś milczał, ja żeś nie odgadła wówczas, kiedy był czas na to; — czemuż nie rozumiałam cię wtedy, gdy bawiliśmy

się razem, życie moje byłoby inném, wierzaj mi, a dzisiaj . . .

Przez chwilę tłumila łzy czy wspomnienia, a potem odezwała się z większą mocą.

— Stało się; na co próżno myśleć tem, co było, o tem, co być mogło; nie wyrzucaj mi nic, i moje życie nie było zasłane różami, teraz to może lepiej, że wiem wszystko.

— Zapomnij o tem, co wymówiłem w chwili szaleństwa — rzekł Adam uspokojony jej współczuciem, pamiętaj tylko, że nazywałaś mnie kiedyś bratem, chcę być teraz tylko bratem twoim, kiedy potrzebować mnie możesz, kiedy jesteś samą. Dla czegoż nie miałem siły zachować tajemnicy, teraz ty powiedziałaś mi wszystko.

— A cóż chcesz wiedzieć, spytała, czy chcesz poznać całą głębię nieszczęścia mego, ja sama nie znam jej jeszcze, porzuciłam męża, odepchnęła mnie matka; ten jeden wierny przyjaciel mnie nie opuścił i mówiąc to, wskazywała na mnie, ale wszakże on jest i twoim przyjacielem.

Nie wymówili wcale imienia Eugeniusza, nie mówili nawet o nim, a przecież cień tego człowieka płątał się pomiędzy nimi, oboje mieli go jeśli nie na ustach to w myśli, i oboje tego wypowiedzieć nie śmieli; czuli, że tak dla jednej, jak dla drugiej strony była to śmiertelna rana.

Wreszcie przemówił on pierwszy cicho, ostrożnie.

— Przypadek połączył nas na chwilę po latach niewidzenia, niech on daremnym nie zostanie, miej ufność we mnie, powiedz mi zamiary twoje.

Uśmiechnęła się z tłumioną goryczą.

— Alboż ja mam zamiary jakie? odparła, alboż wiem, co jutro ze mną będzie, jestem teraz jak rozbitek miotany burzą życia.

— A on Rózo, on? pytał Adam.

Płomienny rumieniec uderzył na jej twarz, wstrząsnęła się cała, jak gdyby to pytanie było dla niej boleścią.

— Nie widziałam go od tego balu, szepnęła.

— Jakto, zawołał, on nie oddał się całej od tej

\*

pamiętnęj chwili na twoje usługi, Rózo, albo ten człowiek nie żyje, lub jest nikczemnikiem.

Były to gwałtowne słowa, których nie umiał powstrzymać, ale ona spojrzała na niego wzrokiem takiej rozpacz, że pożałował ich pewno. Nie mówiła nic, tylko broniła go w głębi ducha przed tym skarżącym głosem, co zdawał się echem jej serca.

Chwilę trwało milczenie, on wymawiał sobie szorstkość swoją, ona zdawała się uspakajać z wolna po doznaniem wstrząśnienia.

— Rózo, spytał znowu Adam, tak cicho, że ledwie mógł dosłyszeć, co mówił, ty chcesz go zobaczyć, nieprawdaż?

Skinęła głową na znak twierdzenia, składając ręce błagalnie, wyraźnie on wypowiedział to, czego wymówić nie śmiała. A jednak każde zamienione słowo było dla niego męczarnią, widziałem jak blada twarz jego pobladła bardziej jeszcze, jak walczył, by nie zdradzić niczem szalonego bólu tej chwili.

— Więc dobrze, zobaczysz go dziś jeszcze, przysięgam ci na to, pamiętaj tylko, że dziś jestem twoim bratem, mam prawa brata nad tobą.

Wyszedł bez pożegnania, i w minutę koń jego mignął przed oknami, unosząc w pełnym galopie pochylonego jeźdźca.

Zostaliśmy sami z Różą. Adam udał się do Eugeniusza; scenę, która zaszła pomiędzy nimi, opowiedział mi potem szczegółowo, mogę ją więc tutaj zamieścić.

Po wizycie w Sinogórze, która mu się tak niefortunnie udała, Eugeniusz powrócił do siebie, niekoniecznie rad z obrotu, jaki wzięły sprawy, chociaż nie zwykł był on podobnych rzeczy brać do serca w świetnej karierze uwodziciela, którą od lat kilku prowadził zręcznie i szczęśliwie; była to zwyczajna przykrość wprawdzie, że stosunki jego z Różą zerwać się muszą, chociaż nie przypuszczał wcale rozstania się małżonków. A przecież młoda kobieta warta była pożałowania, chociażby dla tej głębokiej miłości, którą go tak nieogłędnie darzyła, ale świetny Eugeniusz na zenicie

swoich powodzeń czuł się w prawie zawichrzyć inne serce. Róża lub inna — cóż mu znaczyła, zresztą czyż ona nie straciła wszelkiego prawa do sympatii, wyznaniem swoim, był to postępek dziecinny, parafiański, dowiodła nim, że nie dbała o Eugeniusza, bo mogła wiedzieć przecież, że to stawiało pomiędzy nimi nieprzebytą granicę. On zaś, Eugeniusz, miał względem niej zupełnie czyste sumienie, uczynił wszystko czego honor wymagał od niego, sam dobrowolnie niczem jej nie skompromitował, stanął do walki z Henrykiem, przekonał go o niewinności żony, słowem ocalił wszystkie pozory i trudności położenia, ta krytyczna chwila ich miłości byłaby przeszła szczęśliwie, gdyby ona sama nie popsukała wszystkiego. Za to więc pensyonarskie znalezienie się była słusznie ukarana.

Trzeba przyznać, że Eugeniuszowi wcale nie przyszło na myśl, by nowe położenie Róży wymagało od niego dalszych ofiar, ani to nawet, że ona stanowczo zerwała z mężem, dla tego by z nim w przyszłości zawrzeć nowe związki, wszakże o tém nie mówili nigdy, on nigdy nie obowiązywał się brać na siebie ciężaru jej dalszego losu. Bałamucić ładną kobietę, był to zwykły fakt towarzyski, zdarzający się mniej więcej codziennie, ale rozwodzić mężatkę, przechodzić przez ośmieszoną i ciernistą drogę prawnych trudności, któremi najeżone bywa podobne położenie, był to romansowy czyn, do którego on, Eugeniusz czuł się zupełnie niezdolnym i nie przypuszczał nawet, by go kto mógł o coś podobnego posądzić.

Uważał po prostu, że jego stosunek z Różą zerwał się stanowczo, jak zwykle zrywają się podobne związki, ale fakt ten z góry przewidziany nie pograżył go wcale w rozpacz, ani wytrącił ze zwykłej kolei domowych zatrudnień.

Jednak przeciw zwyczajowi był sam tego wieczora, nie miał czasu utworzyć sobie nowych przyjaźni i przywyknień, samotnie więc pił herbatę rozciągnięty w fotelu, paląc doskonałe cygara, jakiś modny romans francuzki leżał przed nim otwarty, a młody człowiek zatopiony w tym zmyślonym świecie, zapominał zapewne

o lekkich własnych troskach, gdy tentent konia dał się słyszeć przed gankiem, a niebawem i drzwi się otworzyły.

Adam nie zastał w sieni nikogo i wszedł kierując się światłem bijącym z okien do pokoju, gdzie znajdował się gospodarz domu.

Na odgłos kroków, Eugeniusz zwrócił się w tę stronę ze swobodną niedbałością cechującą go zwykle, ale zobaczywszy człowieka nieznanego sobie zupełnie, którego wybladła postać i surowe rysy stanowić musiały dziwny kontrast ze światem, do którego przywykł, zawahał się.

Nowo przybyły stał na progu, objęty ciężką draperyą portyery i pomimo całych wysileń woli spoglądał na młodego gospodarza domu błyszczącymi oczyma, w których przebijała się nienawiść. Jednak tego skrytego uczucia nie dostrzegł Eugeniusz, tylko zauważyć musiał coś niezwykłego w tym człowieku zjawiającym się tu niespodzianie, bo powstał i zapytał z dumną grzecznością.

— Kto pan jesteś? czego sobie życzysz?

Po pierwszej chwili Adam odzyskał panowanie nad sobą i zbliżył się do Eugeniusza.

— Przyjechałem tutaj, by to panu wyjaśnić, odparł chłodno.

— Jestem Adam S., kuzyn pani Wielińskiej, stoję tutaj w jej imieniu.

Eugeniusz skłonił mu się i wskazał fotel naprzeciw siebie w milczeniu, widocznie ten młody kuzyn, z ognistymi oczyma, z energicznymi rysami, wydał mu się podejrzanym, przecież oczekiwał tego co mu powie.

Ale Adam nie usiadł, tylko wsparłszy się na poręczy fotelu, spoglądał na człowieka, który wydarł mu bezwiednie szczęście życia, burza wrzała w głębi jego piersi, podżęgała ją pogodna twarz Eugeniusza, nie zdradzająca żadnej serdecznej troski i chłodna powierzchność jego, jednak mówił dalej spokojnie.

— Pani Wielińska rozstała się z mężem stanowczo, szukała schronienia u rodziców, którzy go jej odmówili, obecnie więc znajduje się chwilowo u pana



Joachima, zanim coś stanowczego postanowi o swoim losie. W tych smutnych okolicznościach, pragnie ona zobaczyć pana, zapewne zasięgnąć rady i porozumieć się co do przyszłości.

To wszystko razem, nieprzyjemnie uderzyć musiało o uszy Eugeniusza, dla tego też odparł po chwili:

— Przyznam się panu, nie rozumiem zupełnie, na co rada moja zdać się może, ale jeżeli pani Wielińska pyta o nią, to ja radzę jej zaniechać zamiarów niepodległości i pogodzić się z mężem, takie zapewne być musi zdanie jej rodziców, skoro nie chcieli przyjąć jej do domu. Co do pana Joachima, nie pojmuję dla czego uparcie miesza się w tę sprawę i daje otuchę zachciankom niedoświadczonej kobiety, które tylko do nieszczęścia doprowadzić ją mogą.

To wszystko wypowiedział obojętnie, jak gdyby nie chodziło wcale o tę, którą kochał i zgubił. Adam wysłuchał go cierpliwie, tak cierpliwie, że on omylił się na sprawioném wrażeniu, zdawało mu się może, iż młody kuzyn Róży podziela jego sposób zapatrywania się na tę sprawę.

— Do nieszczęścia — powtórzył tylko przez zaciśnięte zęby — tak pan sądzisz?

— Naturalnie, tak sądzić musi każdy rozsądny człowiek; kobieta nie może powstawać przeciwko prawom społecznym, a czyniąc tak, ściąga koniecznie na siebie potępienie i nieszczęście.

Słowa te były całém wyznaniem wiary, Adam zrozumiał ich znaczenie, ale miał odwagę czekać aż ten człowiek odkryje mu głębię swych cynicznych pojęć i sformułuje wyraźniej jeszcze nikczemną doktrynę i pojęcia swoje, dla tego zdobył się na dalszą rozmowę.

— Wychodząc z tej zasady, pan możesz wrócić pani Wielińskiej utracone miejsce w społeczeństwie, możesz rozwieść ją i ożenić się, a w takim razie prawa ludzkie będą zaspokojone.

Słyszając tę wyraźną propozycję, Eugeniusz podniósł wzrok na gościa swego, jakby badając czy on ją czyni na seryo, ale spotkał tak stanowcze, tak surowe spojrzenie, iż uśmiech zamarł mu na ustach.

— Mój panie — wyrzekł po chwili — wszystko to być może, droga ta jednak długa i śliska, a rehabilitacya na końcu mocno wątpliwa, rozwód nie uzyskuje się w dzień, ani w rok nawet, ja więc sądzę i powtarzam to raz jeszcze, iż pani Wielińska najlepiej uczyni powracając do męża, do czego z pewnością rodzice dopomogą jej całym sercem.

— A jakież będzie jej dalsze pożycie? pytał Adam — powściągając wybuch wzgardy.

Eugeniusz uśmiechnął się znacząco.

— Kwestya ta — odparł — nigdy nie jest trudną dla ładnej i rozumnej kobiety.

— Więc to jest pańskie ostatnie słowo, to wszystko, co mam odwieźć mojej kuzynce? zapytał Adam.

— Wszystko, kochany panie — odrzekł — dziś może pogniewa się na mnie, ale kiedyś uzna, zaręczam, że postępuję jak należy uczciwemu człowiekowi, nie podtrzymując jej złudzenia.

Adam zawahał się, cisnęły mu się na usta gorzkie prawdy, których jeszcze nie chciał wymówić.

— Byłoby najlepiej — wyrzekł po chwili — gdybyś pan sam powiedział jej to wszystko.

Ale ta propozycya przeraziła Eugeniusza naiwnością swoją, i powtórnie spojrział w oczy Adama. Czyż on nie wiedział, że tego wszystkiego nie można przecie rzucić w twarz kobiecie, z którą zamieniało się dotąd tylko słowa i przysięgi miłosne, nie mające nic wspólnego z twardą rzeczywistością, że zasady, o których mówił, wprowadza się w czyn ale nigdy w słowa.

To niepodobna — zawołał z żywością — pan nie pomyślałeś nad tem.

— I owszem — odparł stanowczo Adam — pan musisz jej to sam wypowiedzieć, bo gdybym ja jej to powtórzył, ona nie uwierzyłaby mi nigdy, wołałaby myśleć, że ja kłamię niż . . .

Nie skończył zaczętej myśli i patrzył prosto w oczy Eugeniusza, który musiał spuścić je przed jego wzrokiem.

— Pan nie pomyślałeś nad tem — mówił dalej

— to skompromitowałoby ją do reszty, utrudniłoby zgodę, którą doradzam.

— A jednak pan to musisz uczynić, ja po to przyjechałem tutaj, mam prawo zmusić cię do tego.

— Zmusić — powtórzył Eugeniusz obrażony, cofając się jednak instynktownie przed gościem swoim.

— Tak jest, zmusić — wyrzekł piorunując go wzrokiem — to jedyne zadośćuczynienie, jakiego żądam; Róża musi cię poznać jakim jesteś, musi własnymi oczami zmierzyć nicość tego serca, kłamstwo tej miłości, a potem bądź pan spokojny o przyszłość, ona nie będzie żądać, byś sterował łódź jej życia, ona sama odepchnie cię ze wzgardą, na jaką zasługujesz.

Były to słowa wychodzące zupełnie z granic zwykłych rozmów, a nawet zwykłych obraz salonowych.

To nie była obelga rzucona naumyślnie w chwili gniewu, ale głębokie przekonanie człowieka, którego nawet pojedynkowa kula zmienić nie mogła. Eugeniusz znalazł się w trudnym położeniu, tylko co wyszedłszy szczęśliwie ze spotkania z Henrykiem nie miał ochoty narażać siebie i nowo zdobyte laury na drugą próbę, a zresztą na cóżby się to zdało, czuł, że ten co śmiał przemawiać do niego w ten sposób, zdolnym był ważyć się na wszystko i nie należał do tego świata zadawalniającego się zawsze i wszędzie pozorem.

Myśli te przeszły błyskawicą po jego głowie, a stosownie do nich powziął postanowienie i ułożył twarz i słowa. Mógł nie obrazić się tem co słyszał, bo jedynymi świadkami obelżywych słów Adama, były ściany jego domu, a w takich razach można przecie nie jedną obrazę puścić w niepamięć, spróbował więc innej taktyki.

— Unosisz się panie Adamie wyrzekł spokojnie, a zapominasz, że ty i ja powinniśmy mieć tylko jedną myśl wspólną, szczęście pani Wielińskiej.

Ten zwrot jednak nie wywarł wrażenia na Adamie, który odparł.

— Pod względem szczęścia mamy zupełnie sprzeczne pojęcie.

— Więc tem bardziej porozumieć nam się trzeba,

czy sądzisz pan, że bez cierpienia przyjąłem konieczność rozdziału, czy nie musiałem stoczyć walki z samym sobą, ale znam świat lepiej od pana i wiem, że obowiązek wskazuje mi tę właśnie drogę, którą obrałem.

Eugeniusz był zręcznym w szermierce słów, postać jego, głos i spojrzenie mogły złudzić zaślepienie oko rozkochanej kobiety, jak to czyniły nieraz, ale nie omyliły bystrego wzroku człowieka, co sam za wiele cierpiał by nie rozpoznał prawdziwego tętna boleści; dla tego też odparł nie tracąc wcale z oczów właściwego pola rozmowy.

— Jak widzę, inaczej każdy z nas rozumie szczęście i obowiązek, nie będę darmo tracił czasu na zbijanie pańskich poglądów, ani tłumaczenie moich, na teraz są to rzeczy zupełnie zbyteczne.

— Przeciwnie panie, pod tym względem także powinniśmy się porozumieć.

— Zapominasz pan jak widzę, że tu wcale o mnie nie chodzi, przekonaj o tem panią Wielińską, oto wszystko czego żądam.

— Ależ panie, zawołał Eugenjusz, czyż pomimo tego wszystkiego, trwasz w tej dziwacznej myśli.

— Dałem pani Wielińskiej słowo, że pana zobaczy i słowa mego dotrzymam.

Jest coś tak stanowczego w woli hartownego człowieka, iż wszystko ulegać jęj musi, Eugenjusz zrozumiał zapewne, iż daremnieby z nią walczył, wprawdzie Adam nie miał żadnego środka zmuszenia go do spełnienia tego czego żądał, nie mógł przecie użyć siły względem opierającego się przeciwnika, a jednak ten ostatni uczuł, że uleść musi i wołał nie dochodzić do ostateczności, pojął, że ma do czynienia z charakterem nieugiętym, jak żelazo od którego odbijały się wszystkie pieszczone frazesy i brzmiące sofizmata, więc chcąc złożyć przynajmniej broń z honorem, wyrzekł:

— Skoro pani Wielińska życzy sobie koniecznie mojej obecności, nie pozostaje mi jak towarzyszyć panu, sam jednak uznasz, iż byłoby najlepiej, gdyby to widzenie się nasze mogło pozostać w tajemnicy.

— O to możesz pan być spokojnym, odparł Adam, nikt z nas rozgłaszać go nie ma powodu.

Eugeniusz kazał osiodłać sobie konia, i obadwaj już ciemną nocą ruszyli w drogę; pomiędzy nimi panowało milczenie, bo i cóż z sobą mówić mogli. Eugeniusz był zły piekielnie i układał w duchu przykrą rozmowę z Różą, z mocnym postanowieniem bronięcia rozpaczliwie swęj niepodległości. Jednakże nie był wcale spokojnym co do ostatecznego rezultatu, widocznie miał do czynienia ze szczególnymi ludźmi, którzy brali każde słowo w rzeczywistém znaczeniu, a młoda kobieta aż nadto była pod ich wpływem, więc przysięgał sobie w duchu, że jeśli uda mu się szczęśliwie wywikłać z tej sprawy, nie będzie wdawał się więcej z parafiankami, mającemi tak delikatne sumienie i taki zbytek szczerości.

Uczucia Eugeniusza łatwo było obrachować, ale któż mógł zgadnąć, co się działo w piersi Adama, gdy według uczynionęj obietnicy wiódł go do Róży.

I u mnie także wieczór ten upływał ponuro; młoda kobieta spoczywała na kanapie pogrążona w myślach, ogarniona nawałem wypadków dnia tego, starała się rozwikłać je i uporządkować. Raz tylko odezwała się do mnie, w kilka chwil po odjeździe Adama i wymówiła dziwne słowa.

— Panie Joachimie, on mnie kochał.

W głosie jęj było zdziwienie, żal, litość; widać tyśiące drobnych, zapomnianych faktów powracało jęj do pamięci.

— Tak, on cię kochał, pani — odparłem — a jednak byłby wprzód umarł, niżeliby się odważył zamącić spokój twego życia.

Nie odpowiedziała mi nic i pozostała nieruchoma, z głową wspartą na ręku. Moralne przetworzenie musiało się w nięj odbywać; było niepodobieństwem, by ona nie porównała tych dwóch ludzi i tych dwóch miłości.

Godziny mijały, ona oczekiwała spełnienia obietnicy Adama, ale ani na chwilę widać nie zwątpiła o nięj, bo kilka razy próbowałem daremnie nakłonić ją

do spoczynku, aż wreszcie wśród głucho milczenia nocy doleciał nas daleki odgłos kopyt końskich.

Spojrzałem na Różę, reszta krwi zesła z jej twarzy, dała mi znak milczenia i słuchała dalej, tentent się zbliżał i niebawem jeźdźcy stanęli przed gankiem. Róża podniosła się zwolna i stanęła naprzeciw drzwi wchodowych w chwili właśnie, gdy ukazali się w nich młodzi ludzie.

— Rózo — rzekł Adam — dotrzymałem słowa.

Pomimo całą czelność i znajomość świata Eugeniusz zdawał się zmieszany, wyrazy towarzysza były okrutne dla niego i stawiały go w trudnym położeniu człowieka przybywającego tu pomimowolnie, ale w tej chwili Adam nie myślał bawić się w wspaniałomyślność, blady, drżący, zaledwie zdolny panować nad sobą, wyczerpał cały zapas sił swoich.

— Staję na rozkaz pani — powiedział wreszcie Eugeniusz zamieniwszy ze mną chłodne powitanie.

— Więc trzeba było na to aż mego rozkazu — wyrzekła Róża.

Głębokie jej oczy utkwione były w dawnym kochanku, z nieujętym wyrazem, ona zdawała się pytać tych pięknych rysów, tych nęcących źrenic, czy nie miały dla niej nic więcej, prócz tych zwykłych słów grzeczności.

— Pani — odparł Eugeniusz — dziś jak zawsze, rozkaz ten jest dla mnie prawem.

W tej trudnej chwili ona zdobyła się na uśmiech, ale nie był to znak radości, ni wiary, uśmiech ten był dziwnie smutny, pełen zwątpienia, litości, zdawał się szyderczą odpowiedzią na czczy frazes młodego człowieka, on obejrzał się niecierpliwie, jakby żądał swobodnej rozmowy sam na sam, zrozumieliśmy to, on był w prawie swoim i obadwaj z Adamem cofnęli się do drzwi, ale Róża spostrzegła to i zatrzymała nas skinnieniem ręki.

— Zostańcie — wyrzekła stanowczo — ja nic nie mam do powiedzenia, czegobym przy was powtórzyć nie mogła.

Eugeniusz zmarszczył piękne czoło, świadkowie

byli mu tutaj wcale nie na rękę, wszakże przeciw tak wyraźnie objawionej woli protestować nie mógł, tylko wyraźna niecierpliwość malowała się na jego twarzy zwykle pogodnej, dla niego, to wszystko co się działo było tak niewłaściwem, tak przeciwnem zwykłym formom ustanowionym przez świat na wszelkie wyjątkowe okoliczności, iż spoglądał na nas z rodzajem litości. Róża jednak nie zważała nic a nic na te widoczne oznaki niezadowolnienia, postąpiła ku niemu i rzekła poważnie głosem, w którym nie dźwięczało ni wzruszenie ni żadne miększe uczucie.

— Eugeniuszu.

Na to poufale nazwanie on drgnął i zdawał się wskazywać oczyma świadków tej sceny, ale ona mówiła dalej:

— Eugeniuszu, chociaż nie było nam wolno się kochać, świat odkrył tajemnicę naszą, naraziłeś dla mnie życie, a ja zerwawszy więzy, które nosiłam już tylko pozornie, czuję się w obowiązku zapytać ciebie o przyszłość, powiedz, czy miłość twoja była igraszką tylko, czy też czyniłam słusznie, biorąc ją za prawdę; jestem szczerą względem ciebie i mam prawo również żądać szczerości od ciebie.

Całe postępowanie Egeniusza było już odpowiedzią na to proste pytanie, a jednak w chwili gdy usta jego musiały sformułować wyraźnie, wobec młodej kobiety, to co wyrzekły o niej myśli jego, zatrzymał się ogarniony dziwnem uczuciem wstydu. Nie był on przecież wcale nieśmiałym, ani trwożnym, ale żądanie, by on wobec świadków, związał sobie całą przyszłość, lub też wyparł się od razu słów i przysięg miłosnych, których dźwięk przebrzmiał zaledwie, było to postawić go w bardzo drażliwem położeniu, więc usiłował wydobyć się z niego, ze zwykłą zręcznością, za pomocą omówień i frazesów, nie znaczących nic w gruncie.

— Pani, wyrzekł, nikt głębiej odemnie nie boleje nad tem, co się stało, wierz mi, gdyby jakimbądź kosztem było w mojej mocy cofnąć przeszłość, cofnąłbym ją z rozkoszą, dziś względy świata i położenie stoją na wspak gorącym życzeniom mego serca, ty po-

winnaś to zrozumieć, jeśli nie byłem przy tobie w tych bolesnych chwilach, to dla tego, iż obecność moja mogła tylko wszystko pogorszyć.

Mówił to modulując głos i nadając mu serdeczne brzmienie, twarz jego wyrażała smutek i poszanowanie, w wyraźnej sprzeczności ze słowami, które nie znaczyły nic wcale; musiałem oddać mu sprawiedliwość, był to co się zowie dobry aktor, i nie dziw, że wywierał wpływ tak wielki na niedoświadczone istoty, ale dzisiaj Róża podobną istotą być przestała, dojrzała szybko pod technieniem nieszczęścia, i dla tego wysłuchała go spokojnie, a żadne z uczuć, które chciał wyrazić, nie odbiło się na jej twarzy.

— Czy to ma znaczyć, że z powodu obecnych okoliczności kochać mnie przestałeś, spytała, może pragnąc dopomóc mu do wyrzeczenia tej prawdy.

Ale prawda sformułowana w ten sposób wydała mu się zbyt szorstką i nagą, bo zawołał z oburzeniem tym razem nieudaną.

— Różo, jesteś bez miłosierdzia.

Zazwyczaj ludzie podobni Eugeniuszowi pragną zostać bez zarzutu i sami poświęcając drugich, chcą wydać się jako niepokalane ofiary. On bez wahania zostawiał młodą kobietę w okropnym położeniu, w jakim ją postawił, ale chciał unieść z sobą jej żal i miłość, a nadewszystko lękał się, by nie przejrzała do głębi jego niekzemnego serca, słowem, chciał do ostatniej chwili utrzymać rolę romansowego bohatera. Jednak te dni ostatnie zbyt wyraźnie odsłoniły oczy Róży, na świat otaczający, miała za nadto bolesnej sposobności zajrzeć do dna uczuć ludzkich, by nie zrozumiała krętej gry jego i dla tego wyrzekła znowu.

— Nie chodzi tu o miłosierdzie, litość, ani tym podobne rzeczy, postawiłam pytanie tylko, na które mam prawo koniecznie żądać odpowiedzi.

— O cóż pytałaś się Różo, odparł młody człowiek niby nie pamiętając.

Oczy kobiety zabłysły oburzeniem czy żalem?

— Pytałam, odparła zawsze jednakiem spokojnym



głosem, czy dalsze losy nasze mają być złączone czy rozdzielone.

Eugeniusz uderzony dziwną stanowczością tej miękkiej istoty, co dotąd przyjmowała każde jego słowo bez kontroli, wahał się milcząc czas jakiś. Ona czekała nieruchoma jak posąg.

— Rózo, zawołał wreszcie, dla czegoż ta chwila ma być tak stanowczą.

— Chcę wiedzieć raz, czy to, czem żyłam dotąd było snem, tylko mrzonką nierozsądną, czy też miałam słuszość, rwąc się całym sercem ku przyszłości.

— O jakiejże przyszłości chcesz mówić, pytał, jak gdyby można jej było nie zrozumieć, wykręcając się jak wąż od ostatecznej odpowiedzi. Czułem jak Adam drżał, słuchając go i gotów był rzucić mu w oczy to wszystko, co przepełniało mu piersi, ale ostrafrził powstrzymać się, Róża dotąd żadnej nie potrzebowała pomocy. Teraz jednak zabrakło jej cierpliwości.

— Eugeniuszu zawołała, powinnam cię zrozumieć, ty nie chcesz mi odpowiedzieć.

— Bo też odparł, ja nie pojmuję celu tej dziwnej sceny.

Milczała, a on pochwycił sposobność, jak mu się zdawało, przerwania rozmowy na inne pole.

— Są chwile i położenia w życiu, ciągnął dalej, którym trzeba pozwolić przejść spokojnie, by cisza zapomnienia ukoiliła zbyt drażliwości, czułem to i dla tego chciałem je przeczekać, wezwałaś mnie, stawilem się na twój rozkaz, znając z góry niewłaściwość tego kroku.

Tutaj mięszał on zręcznie dwie wprost przeciwne rzeczy, ich wzajemne położenie względem siebie i położenie względem świata; niejasna mowa jego mogła znaczyć zarówno jedno jak i drugie. Ale Róża przerwała te próżne słowa.

— Czy to ma znaczyć, spytała, że nic nie zmienił o się pomiędzy nami? że kochasz mnie jak dawniej, ja to jedno wiedzieć muszę.

Na to jedno, on właśnie odpowiedzieć nie chciał, ed nak przyciśnięty koniecznością, odparł

— Bez wątpienia, kocham tak jak . . .

— Zatrzymaj się chwilę — przerwała — zanim dokończysz tych słów; czy wiesz, jakie ja nadaję im znaczenie.

Chciał coś mówić, ale ona nie dała mu na to czasu.

— Posłuchaj mnie, nigdy nie bawiłam się w miłość, nigdy z serca nie robiłam igraszki, kiedym mówiła kocham, oddawałam ci je na zawsze.

— Pani — zawołał — nie przesądzajmy przyszłości; jutro może żądanie dzisiejsze wyda ci się przedwczesnem. Pozwólmy czasowi ukoić rozdrażnienia chwili.

Dziwny, nieokreślony uśmiech przesunął się po jej twarzy.

— Więc cóż ja mam czynić dalej Eugeniuszu — wyrzekła.

Może zrozumiała teraz, że jasnęj odpowiedzi nie uzyska od niego, może chciała zostawić mu swobodę słowa i raz zrozumieć, do czego był zdolnym. On nie pojął rodzaju sidła, w jakie czasem prawość chwyta podstęp — moralne przetworzenie tej kobiety uchodziło bystrości jego i mówił dalej:

— Rózo, zanim ci powiem zdanie moje w tym względie, chcę, byś była przekonaną, że kocham cię więcej niż siebie.

Zatrzymał się minutę, czekając potwierdzenia, ale nie odbierając go, uczył widać, że może rachować, jak dotąd, na jej serce i wiarę, bo mówił dalej:

— Dla ciebie Rózo, wierz mi, byłoby najlepiej, by cała ta smutna sprawa zatarta się jak najspieszniej, a to jedynie stać się może, jeżeli usłuchasz głosu rozsądku i powrócisz do męża. Mówię to dla ciebie, powinnaś to zrozumieć, bo wiem, że działałam przeciw sobie samemu, ja w takim razie musiałbym cię niepowrotnie utracić.

— I ty, ty mi to radzisz?

Głos jej drgał tak namiętnem pytaniem, że Eugeniusz zawahał się chwilę, ale teraz za późno było się cofać, los był rzucony.

— Ty dotąd poznałeś mnie tak mało — mówiła

znowu młoda kobieta — iż sądzisz, że jakiegobądź względy mogłyby zmusić mnie do tego.

Była to skala uczuć leżąca zupełnie po za granicami pojęć młodego człowieka, więc odparł.

— Dla twego własnego dobra, dla przyszłości twojej, powiniśnas to uczynić, jakkolwiek ta konieczność dla nas obojga bolesną być może.

— Dla mojej przyszłości — zawołała — alboż ja mam jeszcze przyszłość, ja nie wiem co czeka mnie dalej, ale przysięgam ci, nigdy więcej nie przestąpię progu domu Henryka, z którego wyszłam dobrowolnie; teraz możesz być o mnie spokojnym, uczyniłeś zadość obowiązkowi względem mnie, teraz możesz swobodnie pozwolić przemówić sercu twojemu.

— Słucham cię.

Czy była w tych słowach prawda czy ironja, nie mogłem zrozumieć, podziwiałem tylko straszną loikę jej postępowania.

Ale Eugeniusz miał dość tej całej sceny, jeśli w sercu jego biło cośkolwiek dla Róży, teraz te słabe resztki miłości gasły niepowrotnie, kobieta stojąca przed nim uzbrojona samowiedzą i niesfałszowanymi pojęciami przestała być przedstawicielką nikczemnego ideału, jaki w niej upatrywał, teraz on zaczynał jej się lękać i żałował zapewne coraz bardziej, iż wdał się z nią w grę miłosną, której nadawała tak niebezpieczne znaczenie, więc milczał przez chwilę niby, dobierając słów do wypowiedzenia tego, co mogło brzmieć szorstko i niewłaściwie.

Pomiędzy nami była cisza, tylko widziałem jak źrenice Adama pały. Położenie było wyteżone, wreszcie Eugeniusz rozumiał, że trudności wzrastały z każdą chwilą, czuł się przeniesiony w jakiś świat przewrotny, a w nim nie popłacały żadne z utartych sofizmatów, ani ogólników, którymi posługują się wszędzie zazwyczaj.

— Pani, wyrzekł w końcu, ja sądzę, że dla nas obojga dość tej sceny.

Temi słowami wymówionemi wprost odmiennym tonem, usiłował wydobyć się wreszcie na znany sobie

grunt konwenansowy, wracał do grzecznych i składnych omówień towarzyskich, zamiast Różą nazywał ją panią, jak gdyby coś zmieniło się w koło nich lub w nich samych.

Ale ona odparła uparcie:

— Pan nie dałeś mi jeszcze odpowiedzi, której żądałam.

Eugeniusz był już przyprowadzony do ostateczności.

— Pani, powiedział, prosiłaś o radę, dałem ci ją szczerą, zbyt szczerą może, ona powinna służyć za odpowiedź.

Była w tém brutalna prawda, on jęj nie kochał, zostawiał ją mężowi, nie chciał mieszać się do jęj dalszych losów, fakt ten był jasnym jak słońce; Eugeniusz potrafił tylko uniknąć wymówienia tych wyrazów, chciał zbliżyć się jeszcze do Róży, pożegnać ją, ścisnąć jęj rękę, ale ona cofnęła się przed nim, widziałem, że miał na ustach jakiś miódowy frazes, zapewne o poświęceniu własnych uczuć, o obowiązkach społecznych, o ranie pozostawionej w sercu na zawsze, ale nie wymówił go na próżno, uczuł zapewne, że nie było tu już nikogo, kogoby mu się złudzić dało na minutę jedną.

Ja i Adam rozstąpiliśmy się z drogi jego, instynktownym ruchem unikając nawet powierzchowneg-zetknięcia z człowiekiem, którego nikczemność widzieliśmy dowodnie. Znaczenie tego wszystkiego zrozumiał aż nadto, i wyszedł błądy, chociaż na zaciśniętych ustach jego zarysował się ironiczny uśmiech. Cóż w rezultacie znaczyl dla niego sąd nasz i potępienie, on w tej całej sprawie miał za sobą poklask świata, którego zasad w niczem nie przekroczył, a my czyż nie byliśmy paryasami społeczeństwa, czy mieliśmy prawo skargi przeciw niemu.

On z tej całej sprawy wychodził nieskazitelny — Róża była kobietą upadłą, świat wymazał ją niepowrotnie z rzędu tych, co do niego należą, ona przecież nie mogła powstać przeciw uwodzicielowi swemu, głos jęj był głosem wołającego na puszczy, a ja, ja, co śmia-

łem trzymać jej stronę, ja com jej nie opuścił w tych bolesnych chwilach próby, tym jednym krokiem straciłem prawo do szacunku zdobytego latami zacności, i sumiennej pracy; znałem zanadto świat, by o tem nie wiedzieć, Róża pociągnęła mnie w przepaść za sobą, byłem współwinnym jej wybryków niepodległości i hardych postanowień.

Adam zaś z dziecinną miłością swoją, ze szlachetnym zapomnieniem siebie, odegrał tu rolę błędnego rycerza; świat dzisiejszy ludzi zdolnych do podobnych uczuć stygmatyzuje nazwą Don Kiszotów, i nie może ich przecie brać na seryo. Eugeniusz oddalając czem prędzej łódź swoją od naszej szalonej nawy, popułnił tylko czyn roztropny, zasługujący na pochwałę tak zwanych rozsądnych ludzi.

Zdawałem sobie dokładnie sprawę z położenia, ale mogłem nad niem ubolewać; są wyjątkowe chwile w życiu, w których trzeba koniecznie zerwać ze światem lub z sumieniem; jam nie mógł wahać się w wyborze, ani odmówić opieki tej nieszczęśliwiej kobiecie. Świat potępiając ją był w prawie swoim, sądził fakta tylko, ale ja com widział jej walki, cierpienie, położenie bez wyjścia, szczerłość i szlachetność, jam musiał być pobłażającym, i choć nie mogłem pochwalić jej czynów, musiałem uznać, że ona dźwigała całą odpowiedzialność za wszystko to, czemu najmniej winną była.

Usłyszeliśmy wszystko troje oddalający się tentent konia Eugeniusza; on jechał szybko jakby chcąc uciec czem prędzej, słuchaliśmy tego odgłosu w milczeniu, a cisza w pokoju była tak uroczystą, że żaden z nas przerwać jej nie śmiał.

Czułem, że w duchu Róży konało coś niepowrotnie! i szanowałem jej cierpienie. Młoda kobieta pozostała nieruchoma, twarz jej nawet, nie zdradzała niczem wewnętrznych uczuć, powieki jej opuściły się ku ziemi i tylko długi cień jej ciemnych rzęs rysował się na bladej twarzy.

Adam wskazał mi ją wymownym ruchem. On nie śmiał mieszać jej myśli.

— Pani, wyrzekłem, zbliżając się do niej.

\*

Nie zdawała się mnie słyszeć nawet, była jak posąg tajemniczy nad grobem zgasłych nadziei.

— Pani, powtórzyłem, dotykając jej ręki.

Wówczas dopiero spojrzała na mnie, jak gdyby ze snu zbudzona.

— Pani, zawołałem ośmielony łagodnym smutkiem jej wejrzenia, powiedz mi myśli twoje.

— I to jest człowiek, którego kochałam, wyrzekła z wybuchem, podnosząc obie ręce do czoła, jakby samej sobie czyniła wyrzuty za tę okropną omyłkę.

W tej chwili nie zważała na Adama, nie pamiętała o nim może, tylko powtarzała zatopiona w zawodzie własnym.

— A ja go tak kochałam.

On też nie czekał więcej i w milczeniu opuścił pokój.

Czy ona znowu była niewdzięczną dla niego? czy teraz nie była w stanie myśleć o niczem, nie wiedziałem. Gmach cały przyszłości usuwał się w jej duchu.

Spoglądałem na nią smutnie i chciałem się dopytać jej ust zamkniętych i zamglonych źrenic o tajemnicę jej cierpienia, ale ani usta ani źrenice nie odpowiedziały na nic. Stała ciągle w miejscu gdzie ją zostawił.

— Droga pani moja, wyrzekłem w końcu, potrzeba ci spoczynku, chodź ztąd.

— Spoczynku, powtórzyła rozbitym głosem, na co spoczynku? w sercu mojem jest spoczynek. Ona to wszystko odcierpieć musiała, a jednak trwożył mnie spokój jej boleści, nie było w niej żadnego wybuchu, jak gdyby wstydziała się uczuć swoich. Panie Joachimie, zawołała jeszcze, jak ja go mogłam kochać.

Niepodobna jej było darować samej sobie tej omyłki i miała słuszność; cierpieć dla podobnego człowieka, było to rodzajem hańby i kalectwa, a jednak cierpiała, pękały w niej naraz wszystkie nici marzeń, któremi opromieniała tę powszednią postać, rwały się nadzieje, które snuła z nim i przez niego, ułudne kraje wyobraźni zapadały w przepaść, a natomiast występowała rzeczywistość w całej grozie i ohydzie swo-

jęj. Róża należała do wyjątkowych kobiet, które z dumą i rozkoszą zgubią się dla człowieka, którego kochają, ale zgubić się dla takiego Eugeniusza, brać na seryo takiego Eugeniusza i spostrzedz to po niewczasie, był to cios mogący wprowadzić w rozpacz; ona teraz zwątpiła o własnem sercu, co mogło czcić podobne bożyszcze.

— Jak ja mogłam kochać tego człowieka? to pytanie zwracała naraz do mnie i do siebie samej.

W tej chwili cały świat był w jej oczach odpowiedzialnym za tę omyłkę, niby związany solidarnie z człowiekiem, którego obsypywał pochwałami i uwielbieniem. Zapewne Henryk nie był żadnym romansem bohatere, nie odpowiadał w zupełności swęj żonie, sercem i umysłem stał od niej niżej daleko, a jednak moralna wartość jego o wiele przenosiła Eugeniusza. Może w tej chwili Róża i to pomyślała, może zapragnęła powrócić do męża i znieść dalej twarde jarzmo niedobranego małżeństwa. Uchyliłem się stanowczo od roli doradcy i nie byłbym walczył wcale przeciw myśli pojednania, bo przyszłość młodej kobiety, zdawała się chmurną, niepewną, narażoną na wszystkie złośliwe pociski świata, ale ona nie zdradziła niczem przyszłych zamiarów swoich, tylko powtarzała uparcie.

— Jak ja go kochać mogłam.

— Pani, odrzekłem w końcu, omyłka ta jest najpowszedniejszym z faktów, serce twoje stęsknione, rwało się do życia, pomiędzy ludźmi, którzy cię otaczali każdy był gotów powiedzieć, że cię kocha i postąpić tak, jak on postąpił.

— To prawda, zawołała, a jednak nie powinienam była dać się złudzić.

— Ciebie pani nie złudził on, ale to wielkie uczucie zmarnowane, które drgało w piersi twojej i dopominało się życia, ono zadźwięczało dla ciebie w ustach jego, promieniało w oczach; nie skazuje się bezkarnie na milczenie najszlachetniejszych strun ducha, bo one mszczą się niestósownem uczuciem. Stało się,

ufna i kochająca byłaś oszukana, odwróć myśli i oczy od tego bolesnego obrazu, patrz raczej w przyszłość.

— W przyszłość zawołała z rodzajem przerażenia, jakąż przyszłość mieć mogę, komuż mam wierzyć ja zdradzona przez samą siebie.

Zrozumiałem, że w tej chwili słowa moje wszystkie były daremne, cierpiała w niej nie marna дума zdrażnięta odstępstwem Eugeniusza, ale uczucie własnej godności, któremu ubliżała sama takim wyborem; nie mając dla niej pociechy, odszedłem i przypomniałem sobie, że w domu moim był człowiek, cierpiący może srożej od niej.

Adam przechadzał się w małym ogrodku otaczającym mój domek, księżyc świecił w pełni i przy jego jasnych promieniach mogłem dostrzedz jego twarz śmiertelnie bladą, ale naznaczoną jakimś złowrogim piętnem spokoju, bo spokój ten miał w sobie coś grobowego; chodził on mierzonym krokiem w wązkich ulicach, ścinając końcem spierózgi bez litości kwiaty i trawy rosnące przy nich, nie wiem czy wiedział sam, co czynił, czy skrywane uczucia wybiegały na wierzch w tym instynkcie zniszczenia, czy też był to bezmyślny ruch i nic więcej.

Zbliżyłem się do niego.

Dostrzegłszy mnie, zatrzymał się zaraz.

— Czekałem na pana, wyrzekł tylko.

Głos jego był zwyczajny, a jednak zdawało mi się że dźwięczały w nim przepaście bólu.

Spojrzałem na niego i znać wzrok mój wydał mu się zanadto przenikliwym, bo odwrócił głowę niechętnie.

— Panie Adamie, wyrzekłem, podając, mu rękę wiesz dobrze iż możesz być szczerym zemną.

— Ja też zawsze szczerym byłem, odparł krótko.

Jednak pomimo tego zapewnienia umilkł, jak gdyby trudno mu było coś wypowiedzieć.

Spoglądałem na niego z pewnym zadziwieniem; była w nim jakaś siła nieubłagana, jakies postanowienie, które narzucał sam sobie, a które trudno mu było sformułować.



— Czekałem na pana, wyrzekł po chwili, usiłując pokryć lekkie drżenie głosu, gdyż chciałem pożegnać się, zapewne nie zobaczymy się tak prędko, gdyby zaś moja kuzynka potrzebowała czynnej pomocy mojej, to wiesz pan, gdzie mnie szukać, będę i nadal na jej rozkazy.

— Jakto spytałem, pan odjeżdżasz, nie widząc jej nawet.

Wstrząsnął się cały, jak gdybym tém prostém słowem dotknął świeżej rany, ale odparł szorstko.

— Czemże ja jestem dla niej, lub ona dla mnie, czas było skończyć marzenia dziecinne, drogi nasze rozeszły się od dawna, przypadek postawił nas jedno naprzeciw drugiego, przypadek zdarzył, żem oddał jej małą usługę niewartą wspomnienia, tak każdy inny uczyniłby na miejscu mojem, oto wszystko.

Było w jego mowie coś ostrego, dźwięczącego przykro i fałszywie.

— Więc pan także, zawołałem, opuszczasz ją w nieszczęściu, potępiasz oszukaną.

Spojrzał na mnie oczyma, w których pomimowolnie błyszczał dziki ogień.

— Zapominasz pan, że ja dla niej byłem i jestem niczem, nie w mocy mojej ustrzedz ją od nieszczęścia, które sama zgotowała sobie, pragnęła go zobaczyć, przywiódłem go tu pomimo oporu, gwałtem prawie, czegoż może chcieć więcej?

— Biedna Róża, zawołałem, ona nic nie żąda ale cierpi.

Okrutny uśmiech zarysował się na jego ustach, zapewne on porównywał w tej chwili jej i swoje cierpienie, a ból nad miarę czynił go niemiłosiernym.

— W każdym razie, odparł, ja nie mogę ulżyć jej bóleści, ale uspokój się pan, kobiety, które potrafią kochać takich Eugeniuszów, muszą łatwo zapominać i pocieszać się łatwo.

Teraz dopiero zrozumiałem śmiertelną urazę tkwiącą w tém zranioném sercu.

— Jesteś Pan niesprawiedliwym, wyrzekłem z mocą, za daleko byłeś by osądzić tę kobietę, nie widzia-

łeś jej walk,' nie możesz zrozumieć pokus, ułud i pozorów, którymi otoczył ją świat sprzymierzony fałszem i blichtrzem z człowiekiem, który ją zgubił.

Mówiłem to uniesiony przekonaniem mojem. Adam słuchał mnie z brwią zmarszczoną, surowe jego rysy zachowały marmurowy spokój narzucony wolą, jednak odparł łagodniej.

— Może masz pan słuszość, janie mam prawa jej potępiać, ale bądź jak bądź rozejść się musimy, bo i na cóż mamy się spotykać.

On nie mówił że spotkanie to było dla niego bólem nad siły, musiałem to wyczytać z jego twarzy.

— Panie Adamie, to być nie może, by ona nie oddała ci sprawiedliwości, by nie oceniła serca i miłości twojej.

Uśmiechnął się znowu, ale tym razem tak smutnie i dumnie, że przejrzałem głąb myśli jego.

Ona dla mnie przestała istnieć, wyrzekł głucho, nazwałem ją siostrą, bom nie mógł nazwać kochanką, ale ona i siostrą nie jest dla mnie.

Umilkł, jak gdyby zwyciężony wewnętrzną walką, nie chciał wypowiedzieć uczuć swoich; w pamięci jego wina tej nieszczęśliwej miłości ciążyła na Róży, był za nadto zraniony, by osądzić ją sprawiedliwie, czas mógł ułagodzić go jeden, na teraz wszystko było daremnym, ten człowiek zahartowany cierpieniem był bez miłosierdzia dla siebie i dla niej.

Pozegnaliśmy się krótko z Adamem i szliśmy obadwaj ścieżkami ogrodu na dziedziniec, a jednak on szedł zwolna, ociągając się i oglądając, jak gdyby pomimo hardych słów serce jego nie mogło oderwać się od miejsca, gdzie była ona, patrzył w okna domu, jakby chciał je przejrzeć i zobaczyć raz jeszcze tę, którą chciał pogardzić. Weszliśmy na dziedziniec, okno Róży było otwarte, w głębi pokoju świeca dogorywała w świeczniku, rzucając migotliwe błyski na porozrzucane sprzęty, ona sama stała w oknie, w białym burnusie, wspierając głowę na złożonych dłoniach.

— Pani zaziębisz się jeszcze, zawołałem przestra-

szony, zbliżając się do niej i otulając fałdami jej obnażone ręce, bo noc była chłodna.

Nie sprzeciwiała mi się, ze zwykłą łagodnością przyjęła uwagę moją.

— Czy Adam odjechał? szepnęła, nie widząc go, bo właśnie postać młodego człowieka skrytą była za węglem domu. Panie Joachimie jaki on dobry, jaki szlachetny, ja nie znalazłam słów dla niego, bo cóż dzisiaj znaczę, co powiedzieć mu mogę.

W tej chwili Adam wysunął się z cienia, przez chwilę patrzył na Różę wymownemi oczyma, w których grały wszystkie sprzeczne uczucia przepelniające pierś jego.

— Nie, wyrzekł wreszcie drżącemi usty, nie jestem ani dobrym ani szlachetnym.

I stał w miejscu jakby przykuty, oczarowany widokiem tej smutnej, łagodnej postaci; ona nie śmiała do niego przemówić, ale widziałem, jak bladła, jak na jej ustach drgały wyrazy, na które zabrakło jej odwagi.

On wreszcie otrząsł się z tego wrażenia siłą prawie, ścisnął bezprzytomnie jej rękę i oddalił się chwiejącym krokiem.

Róża przeprowadziła go oczyma, póki nie zniknął w zakrętach drogi, wówczas westchnęła cicho i opuściła zniechęconą głowę na piersi.

Nie śmiałem pytać o to, co działo się w jej duchu, widziałem, że wielkie sercowe nieporozumienie trwało ciągle pomiędzy nimi, a jednak pomimo zaprzeczeń i woli, on kochał ją niezmiennie; daremnie chciał wmówić w siebie, że ta kobieta nie była godną jego; na samo jej wspomnienie pierś jego drgała, a widok zmiękczyć musiał najtwardsze postanowienie.

— Jam zasłużyła na mój los, szepnęła młoda kobieta, zapatrzona w daleki horyzont, jakby tam dojrzeć jeszcze chciała dawno znikniętą postać jeźdźca.

Ta krótka noc letnia, tak pełna wydarzeń przeszła szybko; nie wiem czy Róża znalazła pod moim dachem choć godzin kilka snu i spoczynku, ale nazajutrz rano powitała mnie spokojnie, potrafiła zapano-

wać nad gwałtownemi wzruszeniami, które rozdzierały jej serce i zmierzyć nowe położenie stworzone przez ludzi i okoliczności. Siedliśmy oboje pod wielkim kasztanem w ogrodzie.

— Panie Joachimie, wyrzekła pierwsza, myślałam długo nad tem, co mi uczynić wypada, dziś kiedy nie mogę na nic rachować, na nikogo się oglądać. . .

— I cóż postanowiłaś pani, spytałem, czy chcesz powrócić do Sinogóry, ja ręczę, że Henryk . . .

Ale ona przerwała mi.

— Henryk przyjałby mnie, wiem o tem, ale cóż ztąd? powiedz mi pan, co zmieniłoby się w pożyciu naszym, lub w stosunku wzajemnym, też same przyczyny musiałyby sprowadzić jednakie skutki, ja nie czuję się w prawie przysięgać za przyszłość, są położenia zwykłe może, pojmowane jako naturalne przez ogół, a dla niektórych indywidualności nieznośne, ja nie potrafię cierpieć ich dłużej. Henryk gotówby mi przebaczyć, wiem o tem, obraziłam go śmiertelnie, a jednak nie mam w sercu skruchy żadnej, więc nie mogłabym przyjąć przebaczenia. Ja nie mogę zapomnieć, że on jest pierwszym choć niewinnym sprawcą nieszczęścia mego, żal mi go, ale to nie wystarcza, aby stosunki pomiędzy nami możliwemi były. Gdybym nawet przyciśnięta obolicznościami popełniła te nikczemność i wróciła do niego, byłby to fałsz gorszy daleko niż małżeństwo nasze, fałsz popełniony świadomie, rozmyślnie i fałsz ten musiałby tylko zgubne przynieść następstwa.

Nie mogłem jej przeczyć, miała słuszną zupełną, okupywała błędy swoje sumiennością, z jaką garnęła się do prawdy i odrzucała wszelkie układy z tem, co za złe uważała. Ale z drugiej strony położenie jej było tak trudnem, iż łatwiej daleko było sformułować to, czego nie mogła uczynić, niż to, co jej zrobić pozostawało.

— Jakie masz pani zamiary, spytałem, czy pomyślałaś nad tem.

— Nie mam nikogo, mówiła dalej młoda kobieta, do kogobym się schronić mogła, krewni moi przecież

nie mogą przyjąć tej, którą odepchnęli rodzice, rozumem to doskonale i narzucać się nie chcę. Powiadają, że jestem bogata, mogę więc osiąść w mieście lub na wsi i żyć spokojnie, nie będąc nikomu ciężarem i nie znosząc tego, co mi jest nieznośnem.

Było to bardzo loiczne postanowienie, a jednak jakkolwiek łatwe na pozór, w gruncie rzeczy była to rzecz najtrudniejsza może do przeprowadzenia w praktykę, przy systematycznym oporze męża i całej rodziny, którzy to proste żądanie wolności wzięliby naturalnie z najgorszej strony i starali się przeszkodzić mu wszelkimi sposobami, jako rzeczy nieprzyjętej wcale. Musiałem powiedzieć to Róży.

— Ale przecież jestem bogatą, odparła, rodzice wypłacili mój posąg Henrykowi.

— I cóż ztąd, Henryk go oddać nie zechce.

— Jak to, spytała, nie rozumiejąc wcale prawnych form, któremi obwarowane są w takich razach prawa mężów, wszakże skoro ja go opuszczam, on majątku mego zatrzymać nie może.

— Na to trzeba prawnej separacyi lub rozwodu, których pani możesz nie uzyskać, jeśli Henryk nie pomoże ci w tym względzie.

Wówczas ona przypomniała sobie groźbę jego, rzuconą w ostatniej rozmowie i dopiero zrozumiała jej doniosłość.

— Więc, zawołała, ten człowiek chciałby mnie zmusić nędzą do powrotu pod swój dach, i ja mogłabym się na to zgodzić, panie Joachimie, pan tego o mnie sądzić nie możesz?

— Pani, odparłem, do tego nie przyjdzie, mam nadzieję, ale powinienem ci objaśnić wszystkie trudności położenia, abyś wiedziała, na co się narażasz.

— I powiadają, mówiła Róża, że prawa zniosły niewolnictwo, czyż ono nie istnieje tutaj, w najgorszej, najhaniebniejszej formie; opinia ludzka i byt materyalny nawet czynią mnie zależną od Henryka, — czemuż nie powiedziano mi tego, gdym bezmyślnie brała na siebie obowiązki, których rozciągłości nie byłam w stanie pojąć, czyż nie zaprzędano mnie jemu z zawiąza-

nemi oczyma, nie, za to odpowiedzialną być nie mogę, nie dam się przymusić niczem na świecie, bym powróciła pod to nienawistne jarzmo, jeśli odmówią mi chleba i dachu, pracować będę.

Słuchałem jej z zachwytem, a jednak musiałem ostudzić ten niekłamany zapał praktycznym pytaniem.

— I cóżbyś pani robić potrafiła.

Róża zastanowiła się chwilę, odebrała ona zwykłe świetne nawet wychowanie, przecież w gruncie nie umiała nic w ten sposób, by się to na chleb powszedni zużytkować dało.

— Mogłabym dawać lekcye niektórych początkowych przedmiotów, wyrzekła smutnie, ale o tem nie ma co myśleć, w położeniu, w jakim się znajduję, nikt nie powierzy mi dzieci, wiem o tem, więc pracować będę rękoma, igłą, wszak tyle kobiet bez wykształcenia, potrafi zarobić sobie na życie.

Takie kobiety zwykle przestają na bardzo małym.

— Panie Joachimie, ja żyłabym raczej chlebem i wodą na poddaszu, niż przyjąłabym upadające warunki przebaczenia.

— Uspokój się pani, wyrzekłem, o takiej ostateczności mowy być nie może, wiem, że jesteś pani odważną, że nie cofniesz się nigdy przed spełnieniem tego, co uważasz za swój obowiązek, ale wszakże i na mnie rachować możesz, będę bronił sprawy twojej więcej niż własnej.

— Ja nie wątpiłam o tem, odparła, i nie mogę jeszcze narzekać, ale mimowolnie myślę o tysiącach kobiet, które są w takim jak ja położeniu; kto pozna życie, ten nie może niczemu się dziwić i niczem pogardzać, nawet kłamstwem i obłudą, wszak prawa świata mówią kobiecie wyraźnie „zradzaj, oszukuj i miej miedziane czoło, tego tylko żądam od ciebie.“ I nie dziw, czyż kobieta z prawa i obyczaju nie jest niewolnicą, zależną tylko od dobrej lub złej woli męża, więc cóż dziwnego, że położenie wyrabia wady niewolnictwa, fałsz, podstęp i pochlebstwo.

Róża teraz dopiero dochodziła do tych pojęć, znanych dobrze każdemu, co patrzy bezstronnie na sto-

sunki ludzkie, dla niej złe społeczne, objawiało się w całej ohydzie, bo sama była jego ofiarą. Wszak ona dzisiaj mogła położenie swoje osądzić bezstronnie, wszak nie ludziła się żadną nadzieją przyszłości, wszak pragnęła jedynie tego, do czego każdy człowiek ma niezaprzeczone prawo, postępować wedle sumienia swojego.

Ostatecznie narada nasza skończyła się na tém, że w jej imieniu udam się do Henryka, by przedstawić mu niezmiennie postanowienie żony. W gruncie to, czego ona żądała, było tak słuszném, iż nie sądziłem, aby Henryk mógł odmówić, szczególnie, jeśli mu te żądania stosownie wytłumaczonemi były tém bardziej, że pomiędzy nimi nie istniał nigdy sercowy związek.

Pojechałem więc do Sinogóry, ruch niezwykły panował w domu, prezesostwo zjechali tutaj na sąd polubowy, pewni, że zastaną tu córkę i chcąc ostatecznie pogodzić ją z mężem. Okoliczność ta była mi nie na rękę, Henryk jak zwykle ludzie, dla których głos ogólny jest najwyższém prawem, miał słaby charakter, na który każdy wpływ zewnętrzny mógł łatwo oddziaływać, a prezesowa ze swoim niezłomnym uporem i ciasnemi pojęciami była dla niego ideałem kobiety, zadanie więc moje przez jej przyjazd, znacznie utrudnioném zostało; z drugiej jednak strony wiedziałem, że on w tej sprawie nigdy nie działałby na swoją rękę i każde postanowienie czyniłby zależném od najwyższej sankcyi matki Róży, więc może było i lepiej, że spotkałem się od razu z nieprzyjacielem i mogłem zmiarkować ze swej strony zamiary jego.

Prezesowa upatrzyła sobie zaraz w Sinogórskim salonie miejsce na kanapie, na którem zasiadła ze zwykłą sobie uroczystością, przynajmniej tak ją zastałem w towarzystwie zięcia i męża.

Biedny prezes na tej naradzie familijnej zdawał się bardzo nieszczęśliwym; wprawdzie odwoływano się do niego li tylko przez grzeczność, bo zdanie jego nigdy na włos nie różniło się od zdania żony, chociaż może w głębi ducha protestował po cichu przeciw jej zbytnej surowości, przecież rola ta musiała być dla

niego nudną lub przykrą, bo kręcił się na fotelu, wyglądając niecierpliwie, by go zwolniono z tego obowiązku rodzicielskiego.

Wejście moje sprawiło dywersyę; Henryk, który przechadzał się po pokoju niecierpliwym krokiem, zatrzymał się nagle wśród nieskończonej wędrówki około ścian salonu; jednak postępowanie moje w tej całej sprawie musiało ściągnąć na mnie najwyższe niezadowolnienie, bo powitany zostałem bardzo chłodno, i nawet mój dawny uczeń podał mi rękę z rodzajem niechęci.

Wiedziano doskonale, że Róża była u mnie, więc ja to widocznie podtrzymywałem jej buntownicze usposobienie i śmiałem się opierać rozkazom prezesowej, tak wyraźnie wypowiedzianym w Tulniku. Może wiedziano i co więcej jeszcze, ale nie bawiłem się w przypuszczenia ni obrachowywania i od razu przystąpiłem do rzeczy, która mnie tu sprowadziła.

— Wiadomo państwu — rzekłem, przemawiając zbiorowo do zgromadzonych — że pani Wielińska znajduje się u mnie.

Oświadczenie to zrobiłem wszystkim obecnym; prezesowa jednak wzięła na siebie ciężar odpowiedzi, podniosła oczy, i usiłując ukłuć mnie szpiczastém spojrzeniem, wyrzekła nadzwyczaj zimno.

— Fakt ten przejął nas tak bolesném zdziwieniem, iż nie chcieliśmy dać mu wiary, ale skoro pan sam to wyznajesz. . . .

Wymówiła to w ten sposób, jakbym ja dając przytułek potępionej przez nią kobiecie, popełniał czyn niegodny, przeciwny boskim i ludzkim prawom, a nie pewna jeszcze czy mowa jej dostatecznie mnie o tém przekonała, ciągnęła dalej.

— Wprawdzie wczoraj już sama bytność pana w Tulniku, w towarzystwie mojej córki, powinna mnie była oświecić o sposobie pożałowania godnym, z jakim zapatrujesz się pan na domowe nieporozumienie Henryków.

Nie miałem wcale ochoty wdawać się z prezesową w żadną polemikę, zresztą nie zdziwiło mnie to, że



gniewała ją srodze opozycja spotkana w córce i że rada była zwalić ją na mnie, dla tego zniósłem tę przymówkę ze stoicyzmem, który do reszty rozdrażnił despotyczną kobietę.

— Nie od dziś dnia, mówiła, nie odbierając odpowiedzi, uważałam, że rola pana w tym domu nie była wcale pojednawczą, pan wywierałeś zgubny wpływ na moją córkę; przedstawiałam to nieraz Henrykowi, ale on wierzyć nie chciał, aż wreszcie nieszczęsna oczywistość otworzyła mu oczy.

Tego było za nadto; dla tego zwróciłem się do mego dawnego ucznia, który słuchał tej mowy z widocznym zakłopotaniem, pytając:

— Henryku, sądzę że ty znając mnie lepiej, nie podzielasz bolesnego dla mnie przekonania pani prezesowej.

— Tak jest, zawołał mąż Róży, postawionego w trudnym położeniu, mama nie wyrozumiała dobrze Joachima.

Ale prezesowa podniosła oczy w sufit z litośnym uśmiechem nad zwykłym zaślepieniem mężczyzn, widziałem doskonale, że słaba obrona Henryka nic a nic nie wpłynęła na zmianę jej zdania.

— Zresztą, wyrzekłem zniecierpliwiony, myślcie państwo o mnie, co wam się podoba, nie o to teraz chodzi, ja też nie przyszedłem się tu usprawiedliwiać z win, do których się nie poczuwam, tylko oświadczyć zamiary i żądania pani Wielińskiej.

Ta mowa wcale nie podobała się prezesowej.

— Rozumiem. odparła, zaciskając usta, że pan się nie usprawiedliwiasz; byłoby trochę trudno to uczynić w oczach osób nieuprzedzonych; co do Róży, sądzę, iż jedynym jej życzeniem być musi uzyskanie przebaczenia męża, mówiłam jej to wczoraj i nie chcę nawet przypuszczać, by mogła mieć jakie inne zamiary.

— Jednakże, wyrzekłem, tak jest, wbrew przypuszczeniom, których pani mieć nie chcesz.

Rzuciła mi zjadliwe spojrzenie.

— No, proszę, spytała ironicznie i jakież to zamiary, jeśli wiedzieć wolno.

Henryk przez ten czas chodził po pokoju,<sup>1</sup> jak to czynił zwykle, gdy był czemś mocno zafrasowany.

— Joachimie, wtrącił, przybliżając się do mnie, sędzę, że ty jeden bierzesz na seryo kaprysy mojej żony i tēn samēn podsycasz je niechcący, ja sam myślałem nad położeniem i nie widzę doprawdy, coby zyskała Róża, upierając się przy zachciankach niepodległości; jest zbyt młoda, by mogła żyć sama, Eugeniusz, tēż wiem to z pewnością, nie myśli jej rozwozić, więc musi powrócić tutaj; ja daję ci na to słowo, gotów jestem przebaczyć jej wszystko, byle na przyszłość okazała się powolną dobrym radom i nie była tak płochą jak dotąd.

Wysłuchałem tego wszystkiego uważnie; ze swego stanowiska; ten człowiek miał słuszność, postępowanie jego było pełne pobłażania i wspaniałomyślności, on rzeczywiście nie był w stanie zrozumieć powodów żony, ani tego, co stanowiło pomiędzy nimi niezwalczoną zaporę.

— Mój biedny Henryku — wyrzekłem — czyż nie miałeś dotąd czasu przekonać się, że to co nazywasz kapryсами Róży, nie da się w żaden sposób pod to ogólne miano podciągnąć.

— Jak Boga kocham — zawołał Henryk z rzadką dobroduszością, ja mojej żony nic a nic nie rozumiem.

— Prawda — odparłem — w tēn leży usprawiedliwienie jej i twoje zarazem, ale przyznaj sam, że ludzie pomimo dobrej woli niemogący się zrozumieć, nie mogą żyć razem.

Tęj konkluzji Henryk wcale się nie spodziewał, a ponieważ słowa te zdawały się faktem potwierdzać oskarżenia Prezesowej, ta ostatnia rzuciła na niego triumfujące spojrzenie.

— Ty bo Joachimie — zawołał zakłopotany mąż Róży — masz o wszystkim dziwne pojęcia, doprawdy zaczynam wierzyć, jak mama, że to ty kładziesz w głowę mojej żony te idee szczególne, niedające się w naszym świecie zastosować.

Teraz on także wyraził jawnie tajemne podejrze-

nia trapiące go od dawna, i nie powinienem się być temu dziwić, a jednak uderzyło mnie to boleśnie.

— Henryku — wyrzekłem — skoro tak sądzisz, powinienbym cofnąć moje pośrednictwo, więc ty sam zapytaj się Róży, jakie dawałem jej rady, wszakże wyznała ci sama, że obecność moja broniła ją długo od pokusy, że otwierałem jej światy myśli, do których z pewnością Eugeniusz nie miałby przystępu.

— W tém właśnie leży nieszczęście, przerwała mi prezesowa, wychowałam moją córkę bogobojnie i cnotliwie, pan rozwijając jej myśli, jesteś sprawcą wszystkiego złego, na co ją było tego uczyć? — dla młodej kobiety myśli są niepotrzebne, — na co myśleć? życie jej bez tego próżnego mrozu byłoby upłynęło spokojnie i szło raz zakreśloną drogą, pan ją zgubiłeś. ✕

Na podobny zarzut, nie było co odpowiedzieć, chyba musiałbym szanownej prezesowej wyklądać abecadło życia, nie miałem wcale tej pretensyi i chciałem pominąwszy zupełnie tę przerwę, zwrócić się do mego dawnego ucznia, ale spostrzegłem, że chociaż nie był tak naiwnym, by wypowiedzieć jawnie podobne zdanie, jednak w głębi ducha, zdawał się je podzielać w zupełności, powinienem się być tego spodziewać, jego zasady musiały doprowadzać do tego rezultatu, a zresztą może i miał słusność, kto wie, czy Róża bez mego wpływu byłaby kiedy doszła do samopoznania? kto wie, czy wówczas nie byłaby szła owczym torem ogółu i przyjęła owo życie bez celu wyraźnego, jakie mniej więcej, według uświęconego wyrażenia Henryka wystarcza wszystkim? Z pewnością zachodziłyby pomiędzy niemi burze i niezgody, bo wszakże te nie są rzeczą wyjątkową, zapewne Róża samem położeniem swoim wiedziona na pokuszenie, byłaby grzeszyła w cichości, bo wszakże i grzechy pięknych i światowych kobiet przeciw wierności małżeńskiej zdarzają się bardzo często, przecież to wszystko nie byłoby wywołało dzisiejszych następstw, Henryk byłby grzecznie zamykał oczy na postęпки żony, by sam ze swojej strony uzyskać równą wolność — nawet surowa prezesowa uwiadomiona przez ploteczki, które namiętnie lubiła, o mi-

łostkach córki, nigdyby się ich urzędownie nie domyślała. Słowem wszystko poszłoby jak najlepiej na najlepszym świecie.

Nieszczęściem ja wnięszalem się w to wszystko, nieszczęściem także Róża nie była codzienną istotą; serca jej nie zmroziło wychowanie, jakie odebrała, myśli nie zabiło powszednie koło pojęć, w jakim ją trzymano, więc może i bezeinnie byłaby ocknęła się prędzej lub później z duchowego letargu i spojrzała trzeźwemi oczyma na wszystko, co ją otaczało, ale ja bezwątpienia przyspieszyłem tę chwilę. słusznie odpowiedzialność spadała na mnie, ja zakłóciłem ten harmonijny świat pozorów, wśród których nikt się nie zaturbował o prawdę i sprawiedliwość.

Wprawdzie na obronę moją mogłem zapytać, jaki pożytek społeczeństwo odnosi z podobnych układów, co warte związku oparte na zobopólnem kłamstwie i udaniu, ale daremniebym to był uczynił; tym ludziom przecież nie szło o jakiś urojony postęp ogółu, ani o moralną wartość jednostek, tu chodziło tylko o to, by Henryk i Róża Wielińscy nie zwrócili na siebie oczów świata, nie przeniewierzyli się przyjętym obyczajom, mniejsza zresztą, co dzieć się miało w ich domu, a tém bardziej, co dzieć się mogło w ich myślach i sercach. Więc ja i oni, staliśmy wyraźnie na dwóch przeciwnych biegunach, pomiędzy nami także porozumienie było niepodobnem, bo chcąc nie chcąc rozchodziliśmy się na każdym punkcie.

Są wyjątkowe chwile w życiu, w których ludzie żyjący długo w pozornej jedności, muszą odkryć sobie wzajem głębie ducha i zasady życia, jeżeli te są niezgodne, dla mnie i mego dawnego ucznia taka chwila nadeszła. Zresztą rozumiałem szybko, że bądź jak bądź, odpowiedzialność za postępek Róży musiała w ich oczach spaść na mnie. W naszym społeczeństwie pełno jest ludzi, którzy w naiwności ducha zaprzeczają wszelkiej inicjatywy kobiecie, i koniecznie w jej działaniach muszą dopatrywać cudzą rękę; prezesowa i Henryk woleli wszystko to, co nie podobało im się w Róży, złożyć na mnie, niż przyjąć je jako pochodzące

z jej istoty. Teraz nie chodziło mi już wcale o ich zdanie, i przyjmując z pokorą brzemień oburzenia, które spadało na mnie, chciałem tylko postawić jasno niezmiennne żądania młodej kobiety; wiedziałem wprawdzie z góry, że matka i mąż nie przystaną na nie, że będą się starali, wszelkie możliwe stawiać jej trudności i usunąć ją z pod mego fatalnego, jak sądzili wpływu, ale zawsze ja wypowiedzieć je musiałem, chociażby na to, by walka przeniosła się na określone pole, raz porzucając te abstrakcye, nie mogące doprowadzić do żadnego rezultatu. Więc odezwałem się znowu już wprost do Henryka.

— Sądzę, że teraz nie o to chodzi, kto zawinił w tej smutnej sprawie, ale o to, by raz wyjść z położenia, w którym znajdujemy się wszyscy.

— Zapewne, wyrzekł mój dawny uczeń, któremu można było powoli wytłumaczyć wiele rzeczy, i naprowadzić na drogę sprawiedliwości; prezesowej jednak ten zwrot nie podobał się wcale.

— Naprzód należałoby, wtrąciła, usunąć Różę z pod szkodliwych wpływów, a wówczas dopiero moglibyśmy posłuchać jej żądań.

— Czemuż nie uczyniłaś pani tego, wyrzekłem zniecierpliwiony, gdy córka garnęła się pod twoją opiekę, kiedy chciała pozostać w Tulniku, a ty pani nie miłosiernie zamknęłaś przed nią drzwi twego domu.

Prezesowa zmierzyła mnie rozniewanym wzrokiem, jakby zapytać chciała, jakim prawem śmiem sądzić jej czyny, a nawet dawać jej nauki, ale prezes, który w milczeniu słuchał toczących się rozpraw, uchwycił tę sposobność wnięszania się do nich.

— To wielka prawda Helniu, żeby Różia była została u nas, nie byłaby u pana Joachima.

Na to Salamonowe zdanie, którego loice nic nie można było zarzucić prezesowa spiorunowała go oczyma.

Może uznała w głębi ducha słuszność mojej uwagi, przecież majestat jej zabraniał przyznać się do winy, lub omyłki, nie raczyła nawet wcale odpowiedzieć mi, ale zwróciła się do męża.

— Zdaje mi się Piotrze, iż wiem co robię, przez

ciąg naszego pożycia miałeś nieraz sposobność przekonać się, iż postęпки moje mają zawsze ważne powody.

Zgromiony w ten sposób prezes, odparł pokornie.

— Prawda, prawda Heluniu, ty masz zawsze swoje powody.

Ta dyskrecya małżeńska, znowu odciągnęła nas od przedmiotu.

— Henryku, wyrzekłem, chciałbym na seryo rozmówić się z tobą.

— I owszem i owszem, odpowiedział pospiesznie, bo te wszystkie próżne słowa i przymówki zaczynały go niecierpliwieć.

Mówiąc to kierował się ku drzwiom, ale ta próba niepodległości wcale nie podobała się prezesowej, która odezwała się cierpko.

— Henryku, los mojej córki obchodzi mnie również jak ciebie, chociaż domyślam się aż nadto, czemu pan Joachim chce wyłączyć mnie z tej ważnej sprawy.

— Nie miałem wcale tej myśli, odparłem chłodno, ja wolę żądania pani Wielińskiej przedstawić od razu zgromadzonej rodzinie, więc zechciej mi pani pozwolić mówić.

Despotyczna kobieta, dotknięta do żywego temi słowy, zamknęła się w uroczystem milczeniu pełnem pogardy, a ja korzystałem z tego, aby oświadczyć postanowienie Róży rozstania się z mężem, z powodu zupełnej niestosowności charakterów i pojęć, która wspólne pożycie dla obojga, czyni równie przykrém; skończyłem, żądając dla niej zapewnienia procentu od sumy posagowej.

Wobec loiki i zdrowego rozsądku nie było można tego odmówić, bo przecież każda ludzka istota powinna mieć prawo do niepodległości i do zarządzania swoją własnością, jednak prezesowa i Henryk przyjęli je z jednogłośnym oburzeniem.

— Doprawdy, zawołał Henryk, zapominając uraz i podejrzeń swoich, powiedz mi Joachimie w końcu o co Rózi chodzi, wytłumacz jej, że puszczaam w zu-

pełną niepamięć to co się stało, że może powrócić tutaj, że nie się nie zmieniło dla niej.

— Henryku, odpartem, są to dobre i pocziwe słowa, nieszczęściem, chociażbyś ty zapomniiał, Róża zawsze pamiętać będzie i jeśli nie w koło niej, to w niej samej zmieniło się bardzo wiele.

— To nie do uwierzenia, powtórzył Henryk, by po tem co zaszło, jam musiał nieledwie prosić ją o przebaczenie.

Pomimo wspaniałomyślnych słów, żona była zawsze dla niego upadłą kobietą, przyjętą do łaski, stosunek ten bez wiedzy jego wychodził na jaw w każdym słowie.

— Przecież sama powinna zrozumieć, mówił dalej, że w tem położeniu nie może obyć się bez męskiej opieki, że tylko ja jeden mogę powrócić jej choć w części utracony szacunek świata i położenie towarzyskie.

— Róża wie o tem dobrze, jest ci wdzięczną za dobre zamiary, jednak pomimo wszystko, ofiar twoich przyjąć nie może.

— Więc cóż chce robić, na kogoż rachuje, zapytał zniecierpliwiony.

— Na to, co jedno nigdy zawieść nas nie może, na samą siebie.

Prezesowa słuchała nas w przymuszonym milczeniu, a jeżeli dla Henryka słowa moje brzmiały dziko, dla niej były one zupełnie niezrozumiałe i niewiedząc już jakim sposobem najdosadniej okazać zgorznienie jakie w niej budziły, wyrzekła nagle.

— Moja córka zwarjowała, nie ma co się ludzić, jej czyny są czynami szaleństwa niczém więcej.

I ja zapewne, com stał się tłumaczem myśli biednej Róży, musiałem być objęty tem miłosiernym przypuszczeniem, więc zrzucając raz wszelki przymus, odpartem.

— W waszym świecie pani, każda prawda i czyn wychodzący po za zwyczaj ogólny, uważany jest za szaleństwo, więc ten wykrzyknik ani mnie dziwi, ani zmienić może istniejące fakta, wątpię jednak, by po-

dobny sąd mógł zachęcić panią Wiclińską do powrotu w dom rodzinny.

— Przyznam się, zawołała kobieta, przyprowadzona do ostateczności, iż nie rozumiem, dla czego słuchamy pana cierpliwie od godziny. Co do Róży, powiedz jej pan odemnie, by nie rachowała na jaką bądź pomoc materyjalną lub moralną z naszej strony, dopóki nie powróci do posłuszeństwa rodzicom i do swoich obowiązków, a co do posagu dodała, nie ma prawa ani do kapitału, ani do procentu, gdyż mąż jest panem dochodów żony i nie potrzebuje wcale troskać się o jej fantazyę.

Spodziewałem się tego z góry, znałem równie dobrze jak i prezesowa, prawa odbierające de facto zamężnym kobietom własność nawet ich osobistego majątku i czyniące je zupełnie zależnemi od widzimisie pana i małżonka, dla tego też zwróciłem się do mego dawnego ucznia, który zdawał się chętnie składać w ręce świekry swoje domowe sprawy.

— Usłyszałem zdanie pani prezesowej, wyrzekłem, wszakże rzecz ta nie od niej, tylko od ciebie zależy, powiedz mi jaką odpowiedź mam odnieść twojej żonie.

Ale Henryk nie miał żadnej ochoty występować tutaj na swoją rękę i sprzeciwiać się orędownicze swojej dla wymarzonych pojęć uczciwości i honoru, wszakżeż on nie rościł sobie prawa do własności żony, chciał tylko odmową swoją zmusić ją do powrotu na ubity gościniec obyczaju.

— Ja, odparł, podzielałam w tym względzie w zupełności zdanie mamy i spuszczałam się na jej sąd.

To także było do przewidzenia, jednakże chciałem mu zostawić czas do namysłu.

— Czy to twoje ostatnie słowo, spytałem, bo skoro pani prezesowa wspomniała o prawach, zwracam jej uwagę, że w razie seperacyi lub rozwodu, kobieta powraca do bezwarunkowej własności swego majątku.

Słowa te uderzyły przykro Henryka, nie miał on bowiem nigdy żadnych sądowych zatargów, więc wzruszył ramionami jak człowiek, którego los postawił po-



między młotem a kowadłem. — Prezesowa nie dała mu też czasu na odpowiedź.

— Zapewne, przerwała z ironiczną wścickłością, pan posuniesz dalej swoją przyjaźń i doradzisz Róży jedno lub drugie.

— Z pewnością pani, odparłem, skoro nie pozostawicie jej państwo innej drogi.

— To nie do uwierzenia, wybuchnął Henryk, zalamując ręce, cóż ja w końcu Róży zawiniłem, powiedz mi to na Boga, Joachimie.

Te słowa były tak szczere, że miałem być mu winien równą odpowiedź.

— Ty nie zawiniłeś nic Henryku, odparłem smutnie, zawiniło położenie i obyczaj przyjęty, nie porozumieliście się co do znaczenia wyrazów, ona brała na seryo to, coś ty miał tylko za utarte konwenansowe frazesa; o to fatalne nieporozumienie rozbija się nie jedno serce i życie, pod wyrazami miłość, małżeństwo, rozumiała tysiące rzeczy, o których tobie się ani śniło, powiedz mi, czy jest na to jakie lekarstwo, czy jesteś w stanie przetrworzyć się z gruntu, przyjąć na seryo wszystko, z czem igrałeś zawsze, lub czy masz prawo żądać od żony, by ona stanowczo zaparła się pragnień swoich?

— Ależ to, czego ona pragnie, jest mrzonką i marzeniem.

— Przekonaj ją o tem, a wówczas zniknie wszystko, co was dzieli.

— Jakżeż ja ją o tem przekonać mogę — spytał Henryk, gotów w tej chwili uczynić w tym względzie wszystko, co było w jego mocy.

Wstrząsnąłem głową i rzekłem poważnie, biorąc jego rękę z prawdziwem współczuciem.

— Czy sądzisz, że gdyby to było podobnem, nie zrobiłbym tego? wierz mi, gdybym widział jakibądź sposób zjednoczenia was trwale myślą i sercem, nie stawałbym tutaj z żądaniami Róży, nie pozwoliłbym jej wymówić słowa rozstania, ani to słowo w czyn wprowadzić.

Henryk był zachwiany, widziałem to, ale prezesowa

wa przerwała znowu, przecinając kwestyę ze zwykłą sobie stanowczością.

— Rozstanie małżonków to grzech i hańba.

— W każdym razie — mówiłem dalej, nie zważając na nią, jestto z pewnością nieszczęście, jedno z z najboleśniejszych; to gmach życia zburzony nagle, który niewiadomo czy z gruzów dźwignąć można, to zerwane tysiączne węzły serca i myśli, to rana w pamięci niezagojona nigdy, tém sroższa, im szlachetniejsza nosi ją istota. Nie myśl, bym o tém nie wiedział. Mówisz, że pragnienia Róży są mrzonką i marzeniem, kto ci daje prawo tak mówić i być sędzią w tej sprawie, której nie rozumiesz, wszak horyzont nie kończy się tam, gdzie nasz wzrok dosięga, ani czucia naszej piersi za miarę ogółu służyć nie mogą. Dla ciebie ideałem życia było to, co czynią wszyscy, miałeś słuszność co do siebie, ale nie masz prawa ideału tego drugim narzucać; w głębi sumienia każdego człowieka jest złożona prawda, i on jej wiernym być musi pod karą upadku; Róża względem świata mylić się może, ale jeśli nie myli się względem samej siebie, ani ty ani ja winić jej o to nie możemy, ani narzucać jej przekonania, przeciw którym buntuje się jej serce. Wierz mi, ona o wiele nieszczęśliwszą jest od ciebie, samotna, potępiona, poznała wartość tego, co odrzucić musi, by nie przeniewierzyć się samej sobie.

Mogłem mówić długo, dla przesowej słowa moje nie zawierały żadnego wyraźnego sensu, były to rzeczy leżące zupełnie po za promieniem jej pojęć, ale Henryk zastanawiał się nad niemi i zaczynał rozumieć, że do roli, jaką odgrywałem, musiały naglić mnie ważne przyczyny, znał mnie, nie byłem w jego oczach ani intrygantem ani szaleńcem, całe życie uczciwości było mi poręczeniem, że z przekonania przynajmniej broniłem tutaj zły jak sądził sprawy. Może pojmował, że to, co czynią wszyscy, nie może służyć bezwarunkowo za normę pragnień i potrzeb każdej jednostki, i że on przerachował się, biorąc je za prawidło życia.

Patrzyłem na niego zwilżonemi oczyma, odzywając się do prostego zmysłu sprawiedliwości, tkwiącego w

każdym uczciwym sercu, miałem nadzieję, że zrozumianym będę, nieszczęściem miałem do zwalczenia upór i złość kobiety, rozciągającej teraz swój wpływ nad Henrykiem; w tej chwili jakabądź polubowna ugoda okazała się niepodobną.

Z tą smutną wiadomością powróciłem do Róży. Rzeczywiście położenie jej było trudnym bardzo, w domu moim znalazła wprawdzie chwilowy przytułek, ale dłuższy pobyt był tutaj niemożliwym; czuliśmy to oboje, zachodziła więc ta najważniejsza doraźna kwestya, gdzie się podziąć miała.

W tych warunkach, nie jedna kobieta schyliłaby głowę przed koniecznością, z nienawiścią w duszy przyjęłaby narzucone jarzmo, i wróciła do komedyi małżeńskiej, w gruncie rzeczy nie możnaby nawet winić tej, coby tak postąpiła, a według sprawiedliwości za upadki ich i grzechy dalsze nie ona odpowiadaćby powinna. Ale Róża nie należała do słabych i lękliwych, posiadała ona w najwyższym stopniu odwagę swoich przekonań, a myśl sama, by dla powszedniego chleba powrócić miała pod dach mężowski, czyniła z góry ten fakt niemożliwym i okrywała jej czoło rumieńcem wstydu. —

Nie dziwiłem się temu, przewidziałem bowiem w najdrobniejszych szczegółach wypadek toczących się negocjacyi. Teraz biedna Róża miała tylko jeden środek w ręku, udać się na drogę sądową i tym sposobem na wzajem dowieść rodzinie stałości swoich przedsięwzięć; nie mogłem jednak tać przed nią, że droga ta była przykrą niezmiernie, a rezultaty niepewne, zresztą to jeszcze nie usuwawało wcale trudności położenia na każdy spór sądowy potrzeba pieniędzy, a ona ich mieć nie mogła aż po ostatecznym skończeniu sprawy, było to więc fałszywe koło, w którym mniej więcej znajduje się zamkniętą każda kobieta, skoro nieszczęśliwa lub upokorzona w domowych stosunkach, zapragnie zerwać kępujące ją więzy. Naturalnie to, co posiadałem, było na usługi Róży, ale to co mnie starczyć mogło, okazało się zupełnie niedostatecznym na utrzymanie młodej kobiety i popieranie kosztownego rozwodowego

procesu, jej zaś projekta pracy oparte były na dziecinnej nieznanomości świata i ludzi. Do pracy takiej, któraby mogła dać jej chociaż najskromniejsze utrzymanie, w warunkach niezbędnych potrzeb, trzeba przygotować się za wczasu i przygotować specjalnie, dziś ona do niej była niezdolną, więc albo zupełnie zależeć musiała od ludzi, którzy wyzyskiwali jej bezbronność, lub przyjąć z musu cudzą pomoc i jej następstwa. —

Co do mnie, wiedziałem naprzód, że głos ogólny potępi mnie w tej sprawie, a nawet przypisać może najbrudniejsze wyrachowania, ludzie zazwyczaj w podobnych razach przypuszczają wszystko prędzej, niż szlachetne pobudki, przygotowałem się na to że nikt nie uwierzy, bym kierował się jedynie uczuciem sprawiedliwości, litością i współczuciem dla nieszczęśliwej kobiety; nie troszczyłem się jednak o to; przez ciąg długiego życia miałem sposobność doświadczyć co znaczą sądy ludzkie, nie potrzebowałem ich pochwał, nie lękałem się nagany i szedłem dalej drogą, którą wytykało mi sumienie, zresztą tutaj najmniej chodziło o mnie, nie byłem tak samolubny, by w obec nieszczęść dotykających Różę zastanawiać się nad moim losem, czyż nie przywykłem od dawna wystarczać sam sobie, pociechy i siły czerpać we własnej piersi; inaczej było z tą młodą pieczołą niedoświadczoną istotą, która z taką odwagą, rzuciła się na cierniste szlaki życia. —

Teraz przyjmowała ona dolę swoją, ze smutnym spokojem, jakby czując że tylko tym sposobem okupić może błędy przeszłości i nie wahała się przed zadłużeniem. Te krótkie dni ciężkich prób i cierpień, przyniosły jej dojrzałość; nie była to już rozmarzona istota, poddająca się pokusom serca bez rozwagi i namysłu, przyjmująca z gorączkowym pośpiechem komedję zręcznego salonowca za prawdziwą miłość, ale kobieta, rozumiejąca znaczenie życia, wartość swoją i wartość swego sponiewieranego serca. Róża dawała dowody dziwnej siły, ani razu nie upadła na duchu, ani razu nie zawahała się w postanowieniu swoim, zdaje mi się nawet, że nie pomyślała więcej o Eugeniu, ten człowiek był umarłym i pogrzebionym

w jej pamięci, że wszystkich dostatków i ulud życia, zostały jej tylko bolesne wspomnienia, a przyszłość groźna, smutna, nierozwiktana, ciążyła nad nią niby chmura gromami brzenienna.

Nie mogłem odgadnąć tego co działo się w głębi jej ducha, ale pokazała się zupełnie na wysokości trudnego położenia, które przyjęła świadomie i rozważnie.

Po ostatniej bytności mojej w Sinogórze nie mieliśmy żadnej komunikacji z jej mieszkańcami, wiedziałem tylko, że prezesostwo wyjechali ztamtąd wraz z Henrykiem, którego zapewne matka Róży lękała się wypuścić z pod swego wpływu.

Wszystko to były rzeczy do przewidzenia, ja też ze swojej strony przygotowywałem się do podróży wraz z młodą kobietą, której byłem obrońcą i jedynym opiekunem, trzeba było oddać sprawę jej przyszłości w ręce prawnika i rzucić na trudną, niepewną, bolesną i drażniącą drogę rozwodową, trzeba było przygotować się na potępienie świata i utratę dobrej sławy na to, by wszystkie tajniki domowego życia wywlekane były na jaw i roztrząsane złośliwie, trzeba było zahartować się na najdotkliwsze ciosy, jakich ludzie nie szczędzą nigdy cierpiącym. Gdyby przynajmniej na tej twardej drodze wspierała ją miłość, gdyby człowiek, dla którego się zgubiła wart był tego? ale nie, ona za jedyną pociechę miała myśl swego zawodu.

Wyjechaliśmy do Warszawy; w wielkiem mieście łatwiej giną w tłumie nieszczęśliwe jednostki, łatwiej ukryć się przed złośliwymi oczyma, zresztą jeśli nie Róża, to ja mogłem pracować, wziąłem niejako na siebie moralną odpowiedzialność jej życia i postanowiłem wspierać ją całą siłą i działalnością moją. Powróciłem do zawodu nauczycielskiego, kilka godzin dziennie dawałem lekcye, a gdy dołączyłem do tego mały dochód, jaki posiadałem, wystarczało na skromne utrzymanie młodej kobiety. W tych czasach próby musiałem ją podziwiać, z łatwością zrzekła się nawyknień bogatej jedynaczki i światowej kobiety, zapomniała od razu wykwintów i zbytków, pracowała w domowym

zakresie, zajmując się gorliwie małym gospodarstwem, ładem i porządkiem swego ubożego mieszkania.

Życie jej upływało surowo bez cienia nawet rozrywki, całym jej towarzystwem byłem ja.

Teraz Róża z nowym zapalem rzuciła się do nauki, dostarczałem jej książek, a ona garnęła się do umysłowej pracy, jakby szukała w niej zapomnienia przeszłości, bolesnej obecnej chwili i niepewnych nadziei.

Ubrana od rana w skromną ciemną wełnianą suknię, trawiła dnie na jednostajnych zajęciach i tylko nad wieczorem wyprowadzałem ją na przechadzkę w odludne strony miasta, lub w lecie za rogatki; tam oddychała swobodnie czystym powietrzem pól, tam zapomniiała może na chwilę gorzkiej rzeczywistości. Była w niej powaga i smutek dziwny, ale czy żałowała przeszłości? za kim tęskniło jej serce? jakie były jej dalsze zamiary? tego nie wypowiedziała nigdy, jam pytać nie śmiał.

Tak upłynęło kilka miesięcy, a sprawa rozwodowa zaledwie się zaczęła; Henryk był za granicą, a prezesowa z charakteryzującym ją bezmyślnym uporem zachowywała względem córki grobowe milczenie, wcale już nie zważając na skutki, jakie milczenie to wywołać mogło. Zapomnienie świata pochłonęło niby w ruchomej fali pamięć młodej kobiety; z dawnego towarzystwa nikt nie odezwał się do niej, mogliśmy więc sądzić oboje, że jesteśmy sami wśród ludzi. Czy jednak tak sądziła Róża? nie wiem — oczy jej czasem zaszele mgłą jakąś, zwracały się w przestrzeń z nieujętych wyrazem, — tęskniła? czy czekała? tylko często zdawało mi się, iż widzę w niej pokutnicę, która wie, że winy jej odpuszczone być muszą, ale nie wdzieram się do tajników jej serca; może były to uczucia, które ani mnie ani sama sobie sformułować nie śmiała.

Czas upływał na pozór jednostajnie, każdy dzień był podobnym do dnia wczorajszego i tak być miało przez nieskończoną ilość dni.

Zwykle ranki przepędzałem na lekcjach i dopiero przychodziłem na obiad do Róży, ona dzieliła ten

czas pomiędzy domowe zatrudnienia i nauki swoje. Urządziłem się tak, by nikt nie mógł jej przerwać ciszy tych godzin — ona witała mnie zawsze z niezmiennym uśmiechem spokoju, który teraz tak często gościł na jej ustach. Z pośpiechem zawsze szedłem do niej, gdy niespodzianie w posępny dzień listopadowy spotkałem Henryka w bramie domu, w którym mieszkała.

Mój dawny uczeń nie zmienił się wcale przez te kilka miesięcy, zawsze swobodny bez troski, ubrany wytwornie, palił spokojnie doskonałe cygaro, oczekując na mnie widocznie. Powitanie jego było o wiele serdeczniejsze niż ostatnie pożegnanie w Sinogórze, w głębi ducha kochał mnie pomimo wszystko, dzisiaj zresztą zdawał się być w bardzo dobrym humorze.

Przystanąłem w bramie z trochę niecierpliwością oczekując na to, co chciał powiedzieć, bo godzina była już spóźnioną.

Henryk uśmiechnął się lekko.

— Cóż ci tak pilno, zapytał, kto inny na moim miejscu, widząc cię tak, mógłby pomyśleć, że złośliwe domysły świata są słuszne.

— Nie dbam wcale o żadne domysły, odparłem niechętnie.

— Świat powiada, ciągnął dalej Henryk, żeś to ty zbałamucił mi żonę.

Co prawda, przygotowałem się na wszystkie potwarze, ale nie na tę jedną, która wydała mi się równie potworną jak śnieszna.

— Jakto, zawołałem, świat obwinia mnie o to, a ty Henryku?

— Ja, wyrzekł mój dawny uczeń, przecież względem ciebie zazdrosnym być nie mogę i pomimo wszelkie pozory, mam zanadto dobrą opinią o Róży — cóż u diabła, wołałaby już mnie jak ciebie, a zresztą, dodał poważniej, znam cię Joachimie, wiem, że jesteś dziwak, fantastyk, zapaleniec, ale w gruncie najuczciwszy człowiek.

To wyznanie sprawiło mi nadzwyczajną przyjemność, miałem ochotę uściśnąć go po dawnemu.

— I czegoś chcesz odemnie, spytałem, bo przecież nie czekałeś tu po to, by mi to wszystko powiedzieć.

— To prawda, chciałem się zobaczyć z Różą, ale takes ją szczelnie zamknął, że bez twego pośrednictwa uczynić tego nie można, czy masz co przeciw temu.

— Naturalnie nic a nic, odparłem, pozwól mi tylko uprzedzić ją o twojem życzeniu.

Poszedłem naprzód i oznajmiłem młodej kobiecie obecność Henryka.

— Czegoś on chce, spytała.

— Tego nie wiem, sam to najlepiej wyjaśni.

— Nie mogę odmówić mu widzenia się, wyrzekła zamyślona, wszakże to do niczego doprowadzić nie może.

Byłem o tém z góry przekonany i nie pojmowałem równie jak ona tego kroku Henryka, przecież położenie jej pogorszyć się tém nie mogło.

Róża powitała go z chłodną grzecznością, twarz jej nie zdradziła żadnego wzruszenia, i żadnej nadziei, lub trwogi, Henryk miał pozór człowieka spełniającego obowiązek towarzyski, nie więcej, zresztą spoglądał na swoją dawną żonę z widoczną ciekawością, jak gdyby to była dla niego zagadka, problemat do rozwiązania, i nie czekając żadnych zapytań, wyrzekł od razu.

— Jak widzę, dziwi cię moja obecność.

— To prawda, odparła otwarcie, zdaje mi się, że w ostatniej rozmowie, wypowiedzieliśmy sobie już wszystko.

Henryk zamyślił się chwilę, jak gdyby szukał w pamięci faktów, o których się odwoływała.

— Oh! to tak dawno, byłeś wtedy strasznie rozdrażnioną, ja także byłem prędko, więc nie chcę pamiętać wszystkich przykrych rzeczy, które zaszły pomiędzy nami.

Widocznie czas i oddalenie osłabiły znacznie w myśli jego doniosłość wypadków, a sądząc drugich podług siebie, wierzył, że i Róża nie brała już tak gwałtownie do serca, dawnych nieporozumień; przez czas pobytu za granicą bawił się doskonale, używał



swobody kawalerskiego życia i powracał pełen pojednawczego ducha, teraz mniej niż kiedykolwiek pojmując upór Róży, i wytrwałość w raz obranej drodze.

— Za powrotem moim, mówił dalej, nie odbierając odpowiedzi, doręczono mi jakieś pozwy, data ich jest dawna, musiałaś to uczynić w chwili gniewu, bo nie sędzę, byś trwała ciągle w twoich romansowych ideach niepodległości, musiałaś przecież poznać, że dla kobiety to wcale rzecz niewygodna, ręczę, że i Joachim dzisiaj tego samego zdania, chciałem ci otwarcie przedłożyć raz jeszcze położenie; nie jest ono wcale tak rozpaczniem jak sądzisz może, ukrywałaś się tak dobrze w Warszawie, że nikt cię prawie nie widział, i nikt nie może powiedzieć na pewno, że jesteś tutaj; tymczasem matka twoja rozgłosiła, że pojechałaś ze mną za granicę, tym sposobem pozory są ocalone, możemy razem powrócić do Sinogóry, porzucisz to smutne, zakonne ubranie, i znów prowadzić będziemy dawne życie, które może mieć swoje niedogodności, ale z pewnością jest dużo przyjemniejszém niż to, które teraz wiedziesz.

Henryk mówił to wszystko, jako rzeczy uprojektowane i zatwierdzone z góry, nie przypuszczając nawet, by ona nie zgodziła się na to z radością.

Róża wysłuchiwała go spokojnie.

— Dziękuję ci bardzo, wyrzekła w końcu, że tak troskliwie myślałeś o mnie, nie zasłużyłam na to.

— Róziu, przerwał, nie rozumiejąc jój wcale i biorąc te słowa za przyzwolenie, zostawmy przeszłość w pokoju, ja niczego więcej nie pragnę, znudziłaś się pewno do syta przez te cztery miesiące, i chętnie powrócisz do świata.

Wstrząsnęła głową.

— Nie powrócę nigdy do świata, wyrzekła z lekkim uśmiechem, jesteś zanadto dobrym Henryku, dziękuję ci za to usposobienie, może posłuży ono na to przynajmniej, byśmy się rozstali bez sporów i niechęci.

Henryk spojrział na nią poważniej.

— Róziu, jako mąż winienem ci opiekę, i dla tego przyszedłem tutaj, bo sędzę, że obowiązkiem moim

jest, podać ci raz jeszcze rękę zgody i rzucić zaslonę na twoje niebaczone postęпки, wszakże zostawiam ci to do woli. Nie sądź, bym grał przed tobą komedię zrozpaczonego męża, lub kochanka, znasz mnie, patrzę na świat rozsądnie i daję ci dobre rady z przekonaniem, że jeśli je odrzucisz, z pewnością pożałujesz tego mocno.

— To być może, odparła łagodnie, dzisiaj jednak czuję się szczęśliwszą, niż byłam kiedykolwiek.

— Szczęśliwszą, zawołał, wpatrując się w nią z najwyższem zdziwieniem, pozwól mi o tém wątpić, bo cóż stanowi twoje szczęście?

I mówiąc to spoglądał w około, jakby szukał tajemnicy jęj życia; odgadła tę myśl jego, bo uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała.

— Nie szukaj daremnie, w samotności mojej nie ma nikogo, nic nie ukrywam, znasz mnie dość, by o tém nie wątpić.

— Wierzę ci na słowo, ale w takim razie, wytłumacz mi szczęście twoje jak je nazywasz, wszak ja mieć go nie chcę.

— Jestem szczęśliwą, odparła, podnosząc na niego błyszczące oczy, bo porzuciłam wreszcie wszystko to, co jest fałszem, blichtrzem, bo żyję według myśli mojej, nie potrzebuję kłamać, udawać, narzucać na twarz uśmiechów, których nie mam w sercu, ani przymuszać się do słów przyjaznych, dla ludzi, którzy nie warcą są wspomnienia nawet.

— Stworzyłam sobie życie zgodne z myślami i uczuciami memi, a tak czyniąc znalazłam spokój i harmonię.

Mówiła te rzeczy, zupełnie niezrozumiale dla niego, spokojnie, a on słuchał ją z lekką ironią, której jednak nie wypowiedział przez grzeczność. Tylko fakt zupełnej sprzeczności pojęć z żoną, zaczynał stawać się dla niego wyraźnym; kobieta, która mogła być szczęśliwą w warunkach, w jakich znajdowała się Róża, i przenosiła smutne położenie dzisiejsze nad dawne życie, wydawała mu się có najmniej szaloną, i budziła w nim tylko rodzaj litosnej pogardy, jaką się ma dla

waryatów. Przecież fakt ten bardzo smutny, jak sądził dla Róży, dla niego w gruncie rzeczy był dość obojętnym, uczynił on wszystko, co było w jego mocy, by uratować żonę, dopełnił względem niej sumiennie obowiązków uczciwego człowieka, dalej nie mógł być za jej los odpowiedzialnym, daremnie starał się ją ratować, ona uparła się ginąć koniecznie, rozważnie, po miesiącach namysłu i doświadczenia. Na podobny upór nie było lekarstwa, przekonawszy się o tem, powstał, bo nie miał tu już nic więcej do czynienia.

— Jak widzę — rzekł — wszelkie rozumowanie jest tutaj próżnem, jednak nie żałuję dzisiejszego kroku, może kiedyś przypomnisz go sobie z wdzięcznością i żalem.

Jednak znać było w jego głosie urazę człowieka, co sądził, że będzie przyjęty z otwartymi rękoma jako zbawca, a którego wspaniałe chęci odrzucone zostały.

— Henryku — wyrzekła Róża — wierz mi, ja wdzięczną jestem za to, co chciałeś uczynić, ale nie-szczęściem tu jak zawsze rozchodzą się pojęcia nasze, ja muszę im wierną pozostać.

— Rozumiesz dobrze — odparł zawsze urażony mąż, że ja ci swoich narzucać nie myślę, nie pozostaje mi więc jak życzyć ci szczęścia na dziwacznej drodze, którą obrałaś.

— Czy szczerze pragniesz szczęścia mego? — spytała młoda kobieta.

— Oh! jak najszczerzej, tylko pozwól sobie powiedzieć, powątpiewam, byś je kiedykolwiek osiągnęła, w każdym razie przeszkadzać ci w tem nie będę. — Wziął za kapelusz i chciał wyjść, gdy nagle wrócił ode drzwi, jak gdyby przypominając sobie rzecz mniejszej wagi.

— A co do stosunków, które pomimowolnie istnieć pomiędzy nami muszą, mogę ci wypłacać corocznie procent od twojej sumy, nie potrzebujesz po to udawać się do sądów.

Róża stała zarumieniona, wszakże to należało jej się wedle sumienia, a przecież rzucał jej to w oczy jako dobrodziejstwo i łaskę. Rzeczywiście było to łaską

z jego strony, droga procesu nie odebrałaby tak prędko własności swojej, więc milczała dotknięta tą smutną koniecznością. Daremnie oddaliła się od męża; ona, jej byt materyalny, a w danym razie i przyszłość cała, wszystko to zależało od złej lub dobrej woli jego, od przychylenia się lub nie do żądania rozwodu, przecież teraz nalegać o to nie mogła, to naprowadziłoby go na domysły, do których nie było powodu, wszakże prócz mnie, ona nie widywała nikogo, nikt inny nie mieszał się do jej życia, a jeśli imię jakie tkwiło w jej sercu, nie mieszało się ono do faktów, należało tylko do dziedziny myśli, ona nawet przedemną z tem się nie zwierzyła.

— Joachimie, wyrzekł Henryk, widząc jej pomieszenie, ty co zajmujesz się materyalnie i moralnie interesami Róży, załatw ze mną te pieniężne sprawy.

Sprawy te, rzeczywiście były pilne, pomimo wysileń moich, młoda kobieta obchodzić się musiała bez wielu rzeczy, uważanych za niezbędne w jej dawnym świecie, chociaż nie zdawała się nigdy zwracać na to uwagi.

Wyszliśmy obadwaj z Henrykiem.

— To nie do uwierzenia, zawołał na wschodach jeszcze, zstępując z pewną trudnością z trzeciego piętra, na którym mieszkała jego dawna żona, trzeba przyznać Joachimie, że nie wiem kogo bardziej podziwiać, mistrza, co tak jak ty umie sfanatyzować swoją uczennicę, czy też wytrwałość tej uczennicy.

Mówił to pół żartem; postępowanie Róży zdawało mu się tak śmiesznem, że się na nie gniewać nie mógł, zresztą jej wytrwałość budziła w nim pewien rodzaj instynktowej trwogi, i w głębi ducha rad był z zaszłego rozłączenia, zharmonizował się on szybko bardzo z nowem życiem, zakosztował napowrót zupełnej swobody, i dziś już przyjmował pogodnie swoje matrymonialne niepowodzenia.

— Powiedz mi wreszcie, wyrzekł po chwili, o kogoż właściwie tutaj idzie.

— Jakto, spytałem, patrząc mu w oczy.

— No, odparł, przecież nie jestem tak naiwnym,

by wierzyć, że Róża czyni to wszystko bez jakiej racjonalnej przyczyny. Tu musi być jakaś ukryta miłość; dałem się wywieść w pole, posądzając Eugeniusza, który jest w tém wszystkiém najzupełniej niewinnym, spotkałem go za granicą, widać użyto go zręcznie dla zamaskowania kogoś, ale kogo? tego doprawdy domyśleć się nie mogę? W każdym razie rzecz dla mnie jasna jak słońce, że moja żona prowadziła romans od dawna.

Uśmiechnąć się musiałem z tego głębokiego odkrycia.

— Daje ci najświętsze słowo, wyrzekłem tylko, że się mylisz.

— Jaktó, zawołał, chcesz wmówić we mnie, że moja żona czyni te wszystkie dziwactwa bez przyczyny, dajże pokój, nie oszukasz mnie, a potem na co? ja przecież nie myślę brać dzisiaj tych rzeczy do serca, nie jestem wcale obowiązany szukać zajścia z tajemnym wielbicielem Róży.

— Róża nie ma żadnego wielbiciela.

Patrzył na mnie czas jakiś niedowierzająco.

— A więc czemużby u licha nie powróciła do Sinogóry, zamiast prowadzić pustelnicze życie w Warszawie, czy przypadkiem nie powzięła ku mnie nienawiści, nie czuję wcale, bym na nią zasłużył.

Do tej pory nie był w stanie zrozumieć prostych pobudek, które kierowały żoną jego.

— Róża jest bardzo młodą, wyrzekłem, i ma prawo oczekiwać od przyszłości ziszczenia tego, czego jej przeszłość nie dała.

— Ha, odparł, jeśli jak zaklęta księżniczka chce oczekiwać błędnego rycerza, ja nie mam nic przeciwko temu.

Było to arcy sprawiedliwe usposobienie, tylko z człowiekiem tak chwiejnym jak Henryk nie można było na nie bezwarunkowo rachować, lada wpływ mógł odwrócić go w przeciwną stronę i przeinaczyć szlachetne postanowienia. Nie czuł się on względem żony obowiązany prawem do niczego, los jej więc zależał od jego dobrej woli, dziś podobało mu się być wspaniało-

myślnym, jutro mógł cofnąć te ustępstwa, wypłacił mi wprawdzie procent od jej posagu, i takowy przyrzekł i nadal wypłacać, nie uczynił tego jednak w żadnej urzędowej formie, gdyż miał wstręt nieprzewyciężony do wszelkich form prawnych, papierów stemplowych i notarialnych aktów; w jego przekonaniu było to dobre dla ludzi, których słowo honoru nie miało obowiązującego znaczenia, a odwoływanie się aż do takich środków, zdradzało brak zaufania, więc stanowiło dla niego rodzaj obrazy. Znałem nie od dziś tę jego niepraktyczną stronę i musiałem poprzestać na tem, co otrzymałem. Na nieszczęście, sprawa rozwodowa, której niepodobna było zagodzić w sposób polubowny, drażniąc go musiała w tym względzie, przedstawiałem mu jednak jej konieczność w obecnym położeniu ich obojga, odwoływałem się do jego uczciwości, aż w końcu obiecał nie sprzeciwiać się postanowieniom żony.

Było to od razu bardzo wiele, więcej niż mogliśmy się spodziewać. Odniósłem Róży te wszystkie pocieszające wieści; nie było to jeszcze zwycięstwem, ale było dobrą nadzieją. Jednakowoż młoda kobieta przyjęła ją z rodzajem dziwnej obojętności, jak gdyby jej marzenia trudniejszymi były jeszcze do ziszczenia.

— Panie Joachimie, wyrzekła tylko, ze zwykłą łagodnością, nie mówmy o przyszłości, czy sądzisz pan, że mi kłamała przed Henrykiem, mówiąc, że mi terazniejszość wystarcza?

— Nie kłamałaś pani, wiem o tém, posiadasz dzisiaj tę niczem nie zmaconą pogodę, niezależną od ludzi i okoliczności, ale to nie jest jeszcze szczęście, do jakiego masz pani prawo.

Wstrząsnęła smutnie głową.

— Ja nie mam już żadnego prawa, wyrzekła, sama dobrowolnie zniszczyłam swoją przyszłość, zmarnowałam życie, nie zapominam o tém nigdy.

Mówiła prawdę, takie było jej przekonanie, jeden tylko człowiek mógł ją rozgrzeszyć, a człowiek ten był daleko. Nieraz myślałem o nim, nieraz pragnąłem zbliżyć tych ludzi zjednoczonych sercem, a cierpiących samotnie, ale nie śmiałem mieszać się pomiędzy nich.

Są rany nie znoszące obcej ręki, są położenia, które chcąc naprawić pogarsza się tylko, czekałem więc w milczeniu, nie tracąc nadziei. Wprawdzie Adam prosił mnie, w razie gdyby Róża potrzebowała pomocy, by udać się do niego, ale ona nie wspomniała go nawet nigdy, więc nie pisałem wcale, gdy niespodzianie odebrałem list następujący:

„Mijają miesiące od dnia pełnego wydarzeń, w którym widzieliśmy się po raz ostatni. Co dzieje się od tego czasu z panem i z nią? Zdaje mi się, że mam prawo zapytać, bo wieści krążące pomiędzy rodziną i sąsiedztwem Róży, nie nauczyły mnie niczego, nie mogłem im wierzyć. Dzisiaj Henryk powrócił sam do Sinogóry, a przesyła zachowuje o córce pogardliwe milczenie. Ale pan jesteś w Warszawie, do ciebie więc udać się mogę, nie powinienesz zostawiać mnie w niepewności, ani brać za złe ostatnich słów moich. Są cierpienia nad siły, są postanowienia uczynione w chwili rozpacz, które stanowczymi być nie mogą. Przez te długie miesiące samotności, badałem serce moje, nie wiem czy kiedy będę w stanie zapomnieć tego, co stało się pomiędzy nami, nie wiem, co ona myśli i czuje, ale wiem, że w niepewności o jej losie dłużej pozostać nie mogę, wspominam po sto razy tę noc gorączkową, w której przeszedłem przez wszystkie piekła i pytam siebie, co znaczyły jej słowa, i zrywam się wśród snów szalonych, a wątpliwość i nadzieja szarpie mi serce.

Czém ona żyje teraz? czém wspomnienie tego człowieka dla niej być może? jaka będzie jej przyszłość, czemu ja nie mam dość mocy, by wyrwać z serca pamięć i uczucie, zrzucić te straszne więzy namiętności, i stanąć wolny w szranki życia? — Daremnie; uczucie to wzrosło ze mną, wpoilo się w istotność moją, gdybyć przynajmniej ona przyszła mi w pomoc, gdybym stanowezo mógł powiedzieć „ta kobieta nie jest mnie godną“ ale pomimo faktu i pozory, postać jej została w myśli mojej nieskalaną, wyższą nad wszystko, niezbrudzoną, dumną i czystą nawet w upadku swoim.“

List ten był szalonym, znać w nim było kruszą-

cy się hart tego człowieka i tę miłość gwałtowną, co zwyciężała wolę jego. Nie pokazałem go Róży, mógł tylko zamącić jej spokój, nie dając jej nic w zamian. Odpisałem mu krótko, że ona jest samotną, choć nie zachwianą w postanowieniu, że pomoc jego okazała się zbyt dużą, więc dla tego nie odwoływałem się do niej, a zresztą nie wchodziłem w uczucia jego, nie miałem prawa odpychać ich ni podżegać. Róża nie była wolną, mogła nią nie być nigdy, lękałem się budzić w obojgu namiętność i nadzieję — zostawiłem to przyszłości.

Tak przeszła zima wśród pracy i zajęć codziennych poważnie i spokojnie. Rozstanie państwa Wielińskich stało się faktem jawnym, świat odkrył ukrycie Róży i chciał się do niego wdrzeć; ta dumna, młoda, odosobniona kobieta, która potrafiła narazić się na jego potępienie i sama sobie wystarczyć, budziła znowu ogólną ciekawość. Różne osoby zaczęły zbliżać się do mnie, zaczepiać i oświadczać się z przyjaźnią, byłem na to głuchy i ślepy; Róża stroniła od ludzi z tym instynktowym wstrętem istoty, co poznała dowodnie ich wartość i lęka się każdego spotkania z obojętnymi, bo ma w głębi piersi ukrytą ranę, którą drasnąć mogą.

Szał zabaw karnawałowych konał u jej cichego progu, nie nęciło jej nic z tego co zwykle zajmuje, spoglądała na wszystko z tą cichą łagodną powagą, harmonizującą dziwnie z jej młodością, chodziła pogrążona w tajemniczej żałobie i żaloby tej nie odrzucała nigdy. Patrzyłem na nią nieraz ze skrywaną trwogą, nie skarzyła się, ale chód jej stawał się coraz powolniejszy, ręce nabierały alabastrowej przezroczystości, a na białe czoło występowały codzien wyraźniejsze niebieskawe żyłki. Były to nic nieznaczące symptomy, a jednak z pierwszymi promieniami wiosennego słońca, starałem się dać towarzysze mojej więcej powietrza i ruchu, starałem się rozweselić powagę jej myśli i wlać nowe nadzieje w jej więdnące serce.

Wyjeżdżaliśmy zwykle rano na długie spacerunki za miasto i zostawiwszy konie z powozem, zapuszczaliśmy się daleko wśród pól i lasów. Wówczas śledziliśmy



rozwijające się rośliny i miryady jestestw w ziemi, powietrzu i wodzie, które dobroczynne słońce powołuje do życia. Róża zajmowała się tém wszystkiem z żywością, która opuściła dawno jej ruchy.

Tak dnia jednego chodziliśmy oboje, po żyznej równinie, ciągnącej się w około wielkiego miasta; ciepły ożywczy powiew wiosny napełniał piersi rozkoszą, pączki drzew rozwijały się w słońcu, zboża mały się nieporównaną zielonością, pierwsze kwiaty zakwitwały na łąkach, rzadkie motyle uwijały się wśród nich kręcącym lotem, pszczoły brzęczały wesoło.

Róża szła wsparta na mojem ramieniu, wzrok jej był zamglony, jej pierś zdawała się kipić wiosennem życiem, spoglądała na widnokrąg bez chmury, zamknięty z jednej strony siniejącemi lasami, a z drugiej miastem strzelającym w górę tysiącem wież i kopuł i westchnęła cicho:

— Panie Joachimie, szepnęła.

Ale ja nie zważał na nią, od jakiegoś czasu wzrok mój wyteżał się na ciemną postać mężką, kierującą się ku nam ścieżką pomiędzy zbożami, ruchy jego budziły moje wspomnienia, aż wreszcie rozpoznałem wyraźnie Adama, zrozumiałem od razu, że nie przypadek postawił go na naszej drodze. Róża odwrócona dostrzedz go nie mogła, a ja milczałem czekając na niego z bijącym sercem, w końcu szelest jego kroków zwrócił uwagę młodej kobiety i obejrzała się nieudbale, ale zaledwie wzrok jej padł na niego, stanęła jak wryta.

— Panie Joachimie, szepnęła, zaledwie słyszalnym głosem, jakby pytając, czy ją oczy nie mylą, to Adam.

Nie potrzebowałem potwierdzać, on był już przy niej i znowu ci ludzie spojrzeli sobie oko w oko.

Róża zmieniła się bardzo od dnia, w którym widział ją po raz ostatni, nie było to już miękkie rozpieszczone dziecko, jakie znał kiedyś, ani kobieta w strasznej chwili łamiącej jej życie, ale istota napiętnowana powagą cierpienia, wyrobiona cichym smutkiem

dni ostatnich, piękna duchową pięknnością, która wyszlachetniła jej rysy i nadała im wdzięk najwyższy.

Adam stanął olśniony i to pierwsze spojrzenie powiedziało mu wszystko, nie potrzebował o nic pytać, odpowiedź leżała wyryta na jej jasnym czole, w kryształowych źrenicach, w dumnym zagięciu jej ust malinowych.

I przez chwilę było pomiędzy nimi uroczyste milczenie, spojrzenie topiło się w spojrzeniu, porozumiewały się ich serca. Widziałem jak jego surowe rysy! miękły, aż wreszcie pochylił przed nią czoło z cichym poszanowaniem.

— Nie potrzebowałaś mnie Rózo, wyrzekł zaledwie słyszalnym głosem, a jednak ja znowu przychodzę do ciebie.

Słowa te wyszły z ust jego drżące, urywane, ona wyciągnęła ku niemu rękę.

— Zanim się dotknę ręki twojej Rózo, ty musisz mi przebaczyć.

— Przebaczyć tobie, szepnęła, czém mogłeś mnie obrazić?

— Obraziły cię myśli moje i wspomnienia, obrażało cię serce, które ci zaufać nie mogło, obraziła cię marna duma, co w brew woli odpychała mnie od ciebie. Ale dziś patrzę na ciebie i powiadam w głębi ducha: jam nie zasłużył na przebaczenie, a jednak wiem, że ty mi przebaczysz w imię tego wielkiego słowa w które wierzymy oboje w brew ludziom i światu, w imię miłości.

Ona słuchała go upojona, a patrząc na nich radoowało się i moje stare serce.

Od dnia tego minęło wiele dni bólów i niepowodzeń, lata upłynęły zanim ich losy niepewne rozstrzygniętymi zostały i prawa ludzkie uświęciły związek tych dwóch serc od dawna złączonych.

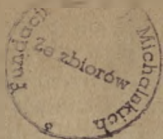
W ciągu tego czasu walk żadne z nich nie upadło na duchu, żadne nie zwątpiło o przyszłości, żadne nie zamaściło czystej harmonii uczucia, wypróbowanego wszystkimi bólami życia.

Od dnia tego i ja spokojny byłem o przyszłość,

Róża odzyskała dawną swobodę i zdrowie, a w obec tego, co już przecierpiała, trudności obecnej chwili łatwe były do zniesienia.

Henryk widząc, że nie zdoła przełamać uporu żony, zezwolił na rozwód, a sam znalazł pociechę w wesoleńm życiu, które tak lubił; powiadają jednak, iż nie zrażony niefortunną próbą małżeńską, stara się znowu o młodą pannę wzorowo wychowaną. Mam nadzieję, iż nie dozna drugiego zawodu; dla szczęścia mężów podobnych Henrykowi żony takie jak Róża należą do nadzwyczajnych wyjątków, zresztą nauczony poprzedniem doświadczeniem, Henryk strzedz ją będzie starannie od wszelkich myśli i nie dopuści z pewnością do domu takich jak ja dziwaków.

K O N I E C .



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-000 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42





<http://rcin.org.pl>

F

2165